

Regionalne Stowarzyszenie  
Twórców Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego  
w Raciążu



Miasto  
Raciąż

MCKSiR  
w Raciążu



Gmina  
Raciąż

ISBN 978-83-65267-92-4

**Księga Pamięci** Wspomnienia i wywiady mieszkańców Raciąża

# Księga Pamięci



Program  
Rozwoju  
Obszarów  
Wiejskich  
na lata 2007-2013

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”

Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Publikacja pt. „Księga Pamięci. Wspomnienia i wywiady mieszkańców Raciąża” opracowana przez Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu, w ramach projektu grantowego pn. „Aktywna Wieś”, współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania 19.2 „Wsparcie na wdrażanie operacji w ramach strategii rozwoju lokalnego kierowanego przez społeczność” objętego Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020.

# **Księga Pamięci**

**Wspomnienia i wywiady  
mieszkańców Raciąża**



Krystyna Chyczewska  
Marianna Góralska  
Bernadeta Leszczyńska  
Stefan Modrzejewski

# **Księga Pamięci**

**Wspomnienia i wywiady  
mieszkańców Raciąża**

Raciąż 2019

**PUBLIKACJA WYDANA Z OKAZJI 80 ROCZNICY WYBUCHU  
II WOJNY ŚWIATOWEJ**

**Wybór tekstów i opracowanie:**

Krystyna Chyczewska  
Marianna Góralska  
Bernadeta Leszczyńska  
Stefan Modrzejewski

**Wydawca**

Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
w Raciążu

© Copyright by Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu

**ISBN 978-83-65267-92-4**

**Opracowanie graficzne i skład**

Adam Szerszeniewski

**Korekta**

Krystyna Chyczewska

**Wybór zdjęć i dokumentów**

Mieczysław Arceusz, Jan Chądryński

**Zdjęcia i dokumenty ze zbiorów**

zbiory prywatne  
źródła internetowe

**Projekt okładki**

Marianna Góralska  
Adam Szerszeniewski

**Druk i oprawa**

IDG

31-315 Kraków, ul. Radzikowskiego 100J/51  
wydawnictwo@idgreklama.pl

*„Chcąc mieć PRZYSZŁOŚĆ, należy mieć PRZESZŁOŚĆ...”*

*Cyprian Kamil Norwid*

## **PREZES REGIONALNEGO STOWARZYSZENIA TWÓRCÓW KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO W RACIAŻU**

*Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu powołane zostało w 2017 roku. Powstanie stowarzyszenia zapoczątkowała zorganizowana w Bibliotece Publicznej wystawa rękodzieła pań, posiadających piękną pasję tworzenia różnych robótek ręcznych, mieszkających w Raciążu i okolicach.*

*Głównym celem stowarzyszenia jest podtrzymywanie i upowszechnianie tradycji narodowej i regionalnej poprzez szerzenie wśród dorosłych, młodzieży i dzieci tradycji ojców – przekazywania dziedzictwa młodym pokoleniom.*

*Oprócz rękodzielniczek działających w klubie „BabyRobią” do stowarzyszenia należą także inni twórcy: malarze, pisarze, poeci, przedstawiciele sztuki kulinarnej. Członkowie Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu mogą pochwalić się ważnymi osiągnięciami. Są to wystawy rękodzieła i obrazów oraz różne warsztaty dla dzieci i dorosłych.*

*W 2017 roku stowarzyszenie rozpoczęło cykl spotkań „Pytaj, jeśli jeszcze możesz i masz kogo”. Spotkania te dały początek niniejszej publikacji – „Księgi Pamięci. Wspomnienia i wywiady mieszkańców Raciąża”, która jest pierwszym opracowaniem wydanym przez stowarzyszenie, mającym na celu zebranie i zapisanie wspomnień ludzi o czasach okupacji oraz przekazanie ich przyszłym pokoleniom.*

*Działalność stowarzyszenia wspierają Burmistrz Miasta Raciąża Mariusz Godlewski oraz Dyrektor Miejskiego Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji im. Ryszarda Kaczorowskiego w Raciążu Artur Adamski, którym serdecznie dziękuję.*

*Bardzo dziękuję osobom, które zechciały podzielić się swoimi przeżyciami i wspomnieniami: Barbarze Brzosko, Annie Fabrykiewicz, Annie Barbarze Talaśce, Zofii Oprzałkowskiej, Teresie Pniewskiej.*

*Dziękuję tym, którzy przeprowadzili interesujące wywiady: Mariuszowi Godlewskiemu, Mariannie Góralskiej, Bernadecie Leszczyńskiej, udostępnili swoje opracowania, spisane wspomnienia, dokumenty i zdjęcia – Mieczysławowi Arceuszowi, Wiesławie Bońkowskiej, Janowi Chądzyńskiemu, Markowi Kowalskiemu, Alinie Rzeszotarskiej, Teresie Wrzosek, Annie Lidii Wychódzkiej.*

*Słowa wdzięczności kieruję do członków stowarzyszenia – twórców słowa, mających w swoim dotychczasowym dorobku interesujące publikacje monograficzne, opracowania, wiersze, opowiadania i artykuły dotyczące miasta i okolic, którzy nie szczędząc swojego cennego czasu, podjęli się trudu opracowania całości publikacji. Są to: Krystyna Chyczewska, Marianna Góralska, Bernadeta Leszczyńska i Stefan Modrzejewski.*

*Dziękuję również Adamowi Szerszeniewskiemu za opracowanie graficzne całości publikacji.*

*Książka mogła powstać dzięki środkom pozyskanym na realizację zadania w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na podstawie umowy zawartej z Lokalną Grupą Działania „Przyjazne Mazowsze” w Płońsku. Serdecznie dziękuję za uznanie dla działań na rzecz zachowania pamięci o mieszkańcach naszego miasta i wsparcie w postaci przyznania grantu.*

*Dziękuję wszystkim, którzy przyczyni się do powstania publikacji.*

*Danuta Kantorowska*



## BURMISTRZ MIASTA RACIĄŻKA

*Dla każdego miasta bardzo ważną rzeczą, jeśli nie najważniejszą, są ludzie i ich historie. To, co przeżyli, co wiąże ich z tym miastem, ponieważ to oni budują społeczność lokalną. Pamięć przechowywana przez tych ludzi jest bardzo cenna zarówno dla nas, jak i dla przyszłych pokoleń. Z jednej strony mówi o tym jak to było, jak ludzie ze sobą żyli, jak się poznawali, i niestety też jak ginęli, a z drugiej ma wpływ na naszą przyszłość, ponieważ bazując na tych doświadczeniach możemy lepiej postępować, o pewne rzeczy bardziej walczyć, a także zwracać na nie uwagę. Ta publikacja jest tak cenna, ponieważ dotyczy Raciążka i ludzi, którzy mieszkali tu podczas wojny i o tym opowiedzieli.*

*Serdeczne podziękowania należą się tym, którzy zechcieli się wypowiedzieć w tej książce, czyli wszystkim mieszkańcom oraz tym, którzy przekazali wspomnienia swoich bliskich. Dziękuję również członkom stowarzyszenia, którzy podjęli się zebrania materiału do książki i i jej przygotowania - pani Danucie Kantorowskiej, panu Stefanowi Modrzejewskiemu, pani Krystynie Chyczewskiej, pani Bernadecie Leszczyńskiej, pani Mariannie Góralskiej.*

*Naszym obowiązkiem jest zachowanie pamięci o ludziach, którzy tutaj żyli i mieszkali oraz przekazanie jej kolejnym pokoleniom. Depozytariuszy pamięci tamtych czasów jest coraz mniej, dlatego jak powiedział ks. Jan Twardowski „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”. Również coraz mniej ludzi ma możliwość, żeby wysłuchać opowieści z czasów wojennych, których ja słuchałem od swojej babci będąc dzieckiem. Ta książka daje właśnie taką szansę, żeby przeczytać o tym, jak żyło się ludziom w okresie okupacji.*

Mariusz Godlewski





## DYREKTOR MCKSiR ARTUR ADAMSKI

*Główną misją i celem działania Miejskiego Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji im. Ryszarda Kaczorowskiego w Raciążu jest otwarcie raciąskiej kultury na potrzeby mieszkańców, umożliwienie realizacji ich pomysłów oraz wspólna realizacja ciekawych działań. To właśnie lokalni artyści i twórcy, pełni pasji i zaangażowania zgłosili się do raciąskiego centrum kultury blisko dwa lata temu. I tak o to po wspólnie podjętych działania powstało*

*Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu.*

*W ubiegłym roku współpracowaliśmy przy tworzeniu projektu, w ramach którego powstała niniejsza niezwykła publikacja. Jest ona ważna dla naszego regionu, ponieważ powstała na podstawie lokalnych historii opowiedzianych przez osoby zamieszkujące Miasto i Gminę Raciąż.*

*„Księga Pamięci - wspomnienia i wywiady mieszkańców Raciąża” powstawała dzięki cyklicznie prowadzonym spotkaniom o tematyce dotyczącej historii miasta i okolic oraz wspomnień mieszkańców, które odbywają się w bibliotece, wchodzącej w struktury MCKSiR. Tym bardziej cieszy fakt, że udało nam się stworzyć miejsce i utworzyć zespół, z którym mieszkańcy Raciąża i okolic chętnie podejmują inicjatywy. Prowadzone spotkania z mieszkańcami, mają na celu gromadzenie wspomnień, a w konsekwencji wydanie niniejszej książki. Stanowią one podwaliny pod planowaną Pracownię Dokumentacji Dziejów Miasta i Okolic – miejsce, w którym będą gromadzone i zachowane dla przyszłych pokoleń materiały, wspomnienia, historia oraz tradycja naszego miasta i okolic. Tak, jak niniejsza publikacja, która wpisuje się w nurt planowanych działań, a dzięki której uda się zachować lokalne dziedzictwo, pamięć świadków trudnej historii naszego kraju. Wydarzenia w niej opisane niech będą cenną nauką i przestrogą dla przyszłych pokoleń. Myślę, że publikacja wydana z okazji 80 rocznicy wybuchu II Wojny Światowej skłoni młode pokolenia do refleksji i wdzięczności dla pokoleń, które walczyły i ginęły za wolność, z której teraz wszyscy możemy korzystać.*

*To dla mnie bardzo ważne, że w naszym mieście jest coraz więcej osób, które angażują się w działania prospołeczne. Chciałbym serdecznie pogratulować i podziękować osobom, które przyczyniły się do realizacji projektu oraz powstania książki pn. „Księga Pamięci - wspomnienia i wywiady mieszkańców Raciąża”, która uratuje od zapomnienia historię naszego regionu. Dziękuję Państwu: Danucie Kantorowskiej, Stefanowi Modrzejewskiemu, Krystynie Chyczewskiej, Bernadecie Leszczyńskiej, Mariannie Góralskiej, Mieczysławowi Arceuszowi, Janowi Chądzyńskiemu, Paulinie Adamiak oraz Adamowi Szerszeniewskiemu.*

*Artur Adamski*

# PRZEDMOWA

Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu, powstałe w 2017 roku, rozpoczęło cykl spotkań „Pytaj, jeśli jeszcze możesz i masz kogo”. Zapraszano ludzi pamiętających okres wojny i czasy powojenne. Spotkania te dały początek publikacji – „Księga Pamięci. Wspomnienia i wywiady mieszkańców Raciąża.”

Tytuł „Księga Pamięci” w naszym przekonaniu przywraca godność tym wszystkim ofiarom prześladowań i bezprawia, jakiego dopuścili się Niemcy i sowieci w czasie okupacji.

W książce znajdziemy opowieści przybliżające gehennę osób związanych z Raciążem, np. wymordowanie ludności żydowskiej przez Niemców, losy wielu ludzi mordowanych, bitych za drobne nawet przewinienia, opowieści o trudach czasu powojennego.

Od pamiętnego września 1939 roku minęło osiemdziesiąt lat. Każdego roku w Polsce obchodzi się kolejną rocznicę tragicznej i samotnej walki z hitlerowskim i sowieckim agresorem.

Na podbitych terenach Hitler konsekwentnie realizował zbrodnicze przedsięwzięcia polegające na wysiedlaniu Polaków, aby przygotować miejsce dla kolonistów niemieckich, którzy mieli germanizować zajmowane obszary.

Już we wrześniu '39 roku terenem realizacji tych pomysłów było północne Mazowsze. W październiku tego roku zostało wcielone do Prus Wschodnich i nazwane rejencją ciechanowską. W ciągu następnych kilku lat wypędzono i zgładzono kilkadziesiąt tysięcy obywateli polskich w ogromnej większości narodowości żydowskiej. Wyrzucano ich z własnych domów, gdzie zostawili dorobek swojego życia, a ci, którzy pozostali, musieli ciężko pracować dla potrzeb okupanta. Wysiedleńcy najczęściej trafiali do obozu przejściowego w Działdowie, gdzie byli poddawani selekcji i ograbiani ze wszystkiego, co ze sobą zabrali. Później wywieziono ich w nieznane, najczęściej do obozów koncentracyjnych. Wiele rodzin osiedlono przymusowo na południu Polski, u biednych góralskich gospodarzy.

Dla mieszkańców Raciąża lata okupacji był to czas ciągłego lęku, zagrożenia życia i niepewności jutra. Obawa o własne życie i swoich najbliższych wyzwalała w nich różne emocje i postawy. W większości panowała życzliwość i solidarność, ale bywały też czyny mało chwalebne.

Wspomnienia o tamtych czasach znajdziecie państwo na kartach tej książki, przedstawione słowami uczestników owych wydarzeń. Wielu z nich już nie żyje, ale zdążyli opowiedzieć o swoich przeżyciach.

Po osiemdziesięciu latach od wybuchu II wojny światowej maleje w naszym kraju zainteresowanie tymi wydarzeniami. Publikacji poświęconych wspomnieniom osób,

które przeżyły na naszym terenie okrucieństwo wojny jest niewiele. Dlatego szczególne podziękowania należą się tym wszystkim, którzy mimo podeszłego wieku zdecydowali się opowiedzieć o tych trudnych i niebezpiecznych czasach. Przyszłe pokolenia powinny o tym wiedzieć i pamiętać.

Mamy nadzieję, że ta publikacja wywoła większe zaciekawienie wojennymi losami Polaków na tym terenie, a być może jeszcze bardziej rozbudzi zainteresowanie historią naszego miasta i okolic.

Kultywowanie pamięci o tamtych tragicznych wydarzeniach to obowiązek przyszłych pokoleń. Trzeba ocalić od zapomnienia wszystkie wydarzenia mające wartość historyczną.

*Krystyna Chyczewska*

*Stefan Modrzejewski*

# **CZĘŚĆ I**

## **WSPOMNIENIA**

## Stanisław Arceusz



**Stanisław Arceusz** (1912-1973) uczestnik kampanii wrześniowej, od 19.09.1939r. w niewoli sowieckiej, żołnierz 5 Dywizji Piechoty 2 Korpusu Polskiego Armii Polskiej gen. Władysława Andersa w ZSRR, ranny pod Monte Cassino, zdemobilizowany w Anglii, powrócił do kraju w 1947r. Po wojnie pracował w Raciążu, związany z miejscową orkiestrą strażacką.

# Stanisław Arceusz

*Krótką biografia napisana dla potomnych  
przez syna Mieczysława*



Wydanie II: wrzesień 2013 r

© *Wszelkie prawa zastrzeżone*

## I. Lata przedwojenne.

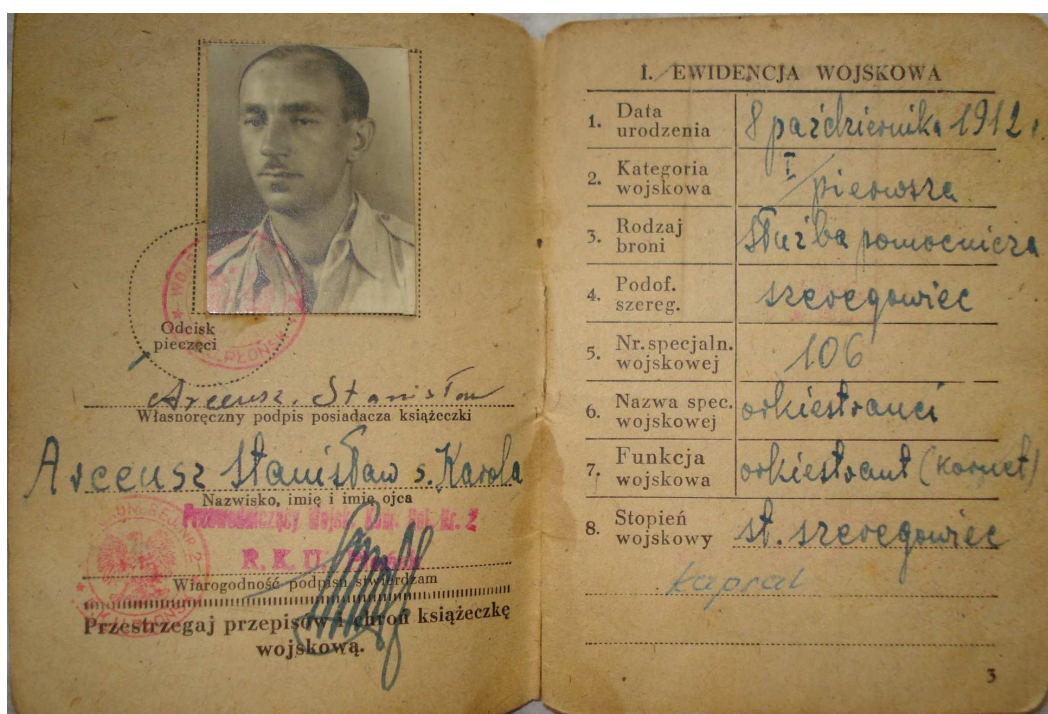
Ojciec mój, Stanisław Arceusz urodził się w Raciążu 8 października 1912 roku w rodzinie rzemieślniczej jako syn Michaliny i Karola.

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Raciążu rozpoczął naukę zawodu w zakładzie szewskim swojego ojca. Jednocześnie uczył się gry na trąbce.

Do chwili powołania do wojska pracował razem z ojcem, a w soboty i niedziele grał na trąbce w zespole muzycznym na weselach i zabawach.

17 kwietnia 1934 r. został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej w 32 Pułku Piechoty w Modlinie.

W sierpniu 1938 r. brał udział w 4 – tygodniowych ćwiczeniach rezerwy w 13 Pułku Piechoty w Pułtusk.



Kopia strony książeczki wojskowej.

## II. Lata tułaczki wojennej.

W sierpniu 1939 roku, gdy wojna była coraz bliższa ponownie trafił do 13 Pułku Piechoty w Pułtusku.

Od 1 września 1939 brał udział w wojnie z Niemcami, między innymi pod Pułtuskiem, Brześciem nad Bugiem, Włodzimierzem.

19 września 1939 r. dostał się do niewoli radzieckiej i został internowany do obozu w rejon Workuty w obwodzie Komi w Związku Radzieckim.

NKWD zapakowało rozbrojonych żołnierzy do wagonu „bydłęcego”. Była w nim dziura w podłodze, piec „Żelaźniak”, 2 poziomy jakby drewnianych pryczy po bokach. Po tygodniu pociąg ruszył i jechał około miesiąca na wschód. Codziennie do jedzenia dawano jedynie kromkę chleba i wodę. Po drodze sporo osób zmarło z wycieńczenia. Po przyjeździe na miejsce przeznaczenia ludzi z wagonów włączono na noc do wielkiego baraku. Następnego dnia ciężarówkami zawieziono do „posiołka” – baraku już przygotowanego na ich przybycie. Było tam około 40 wykonanych z bali drewnianych baraków porzucanych w lesie, żadnego ogrodzenia, bo i tak nie było, dokąd uciekać.



*Oryginalny Dom Sybiraka w Szymbarku.*



*Kuchnia w baraku mieszkalnym.*





*Dwupoziomowa „sypialnia” w baraku. U góry przydziałowe buty.*

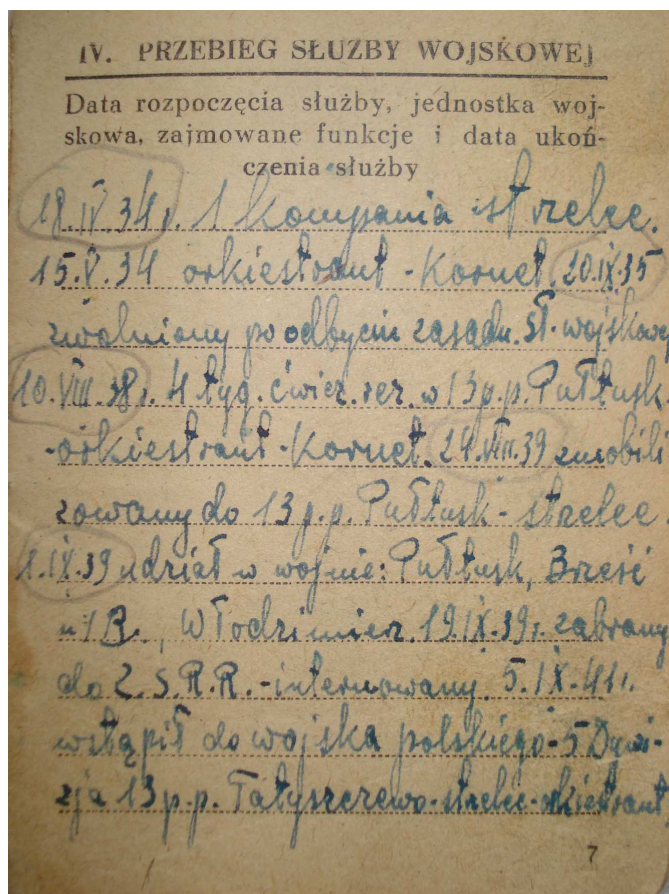
Okręg Komi jest synonimem męczeńskiej śmierci wielu tysięcy więźniów, głównie politycznych, jak i wojennych zesłańców z okresu 2 wojny światowej, a także wcześniejszych okresów prześladowania, w tym wielu Polaków. Leżące poza kręgiem polarnym miasto Workuta jest symbolem radzieckiej polityki wyniszczenia wszelkich przejawów politycznego oporu w krajach „podbitych” lub „wyzwolonych” w kontekście izolowania jednostek i ugrupowań politycznych oraz wrogów socjalizmu.

W okręgu Komi istniało kilkanaście obozów, z których ten w Workucie należał do tych krańcowo okrutnych. Od roku 1930 do 1960 przebywało w nim około 78 tysięcy ludzi zatrudnionych głównie w kopalniach węgla i uranu. Wybudowali też linię kolej-

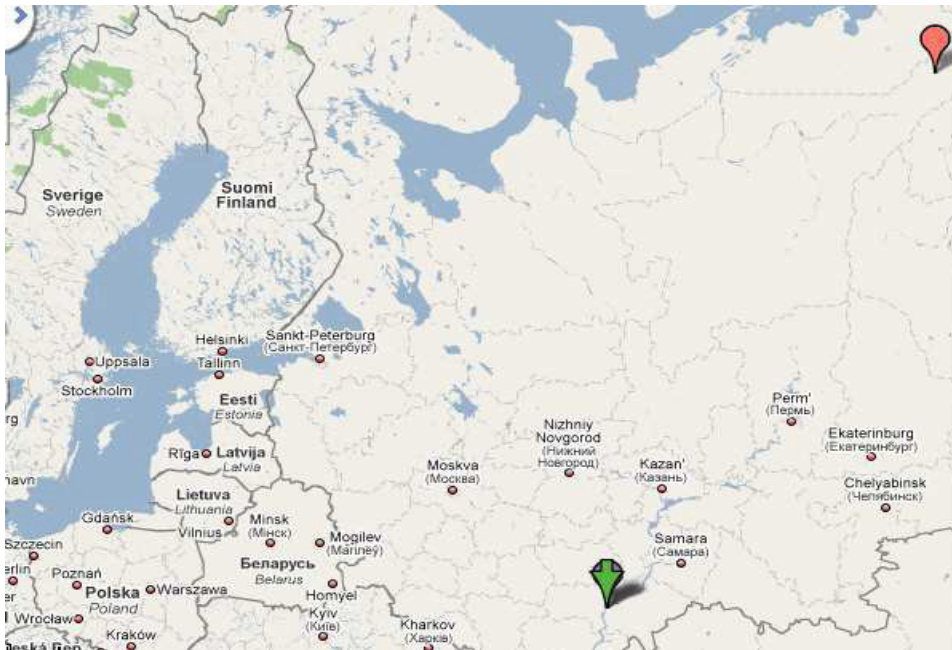
wą Workuta - Petschora kosztem tysięcy zmarłych z wyczerpania. Stanisław Arceusz pracował przy budowie linii kolejowej. Dzienna racja żywnościowa wynosiła 300 gram czarnego rozmoczonego w wodzie chleba o konsystencji gliny, którym trzeba było racjonalnie gospodarować. Taki chleb rzucony na sufit przylepiał się do niego i trudno go było odlepić. W czasie snu chleb wszyscy trzymali pod zagłówkiem. W nocy szczury wykradły chleb, więc odbywały się pogonie za uciekającymi do nory szczurami. W lecie było lepiej, gdyż oprócz chleba można było pożywić się ugotowaną zupą z liści z drzewa.

Jak wyczerpujący był pobyt i obozowa „dieta” niech świadczy fakt, iż po przybyciu do obozu w Tatischewie Ojciec mój ważył tylko 37 kg.

Okręg Komi wraz z Workutą był częścią systemu GUŁAG, opisanym przez Sołżenicyna w książce „Archipelag Gułag”.

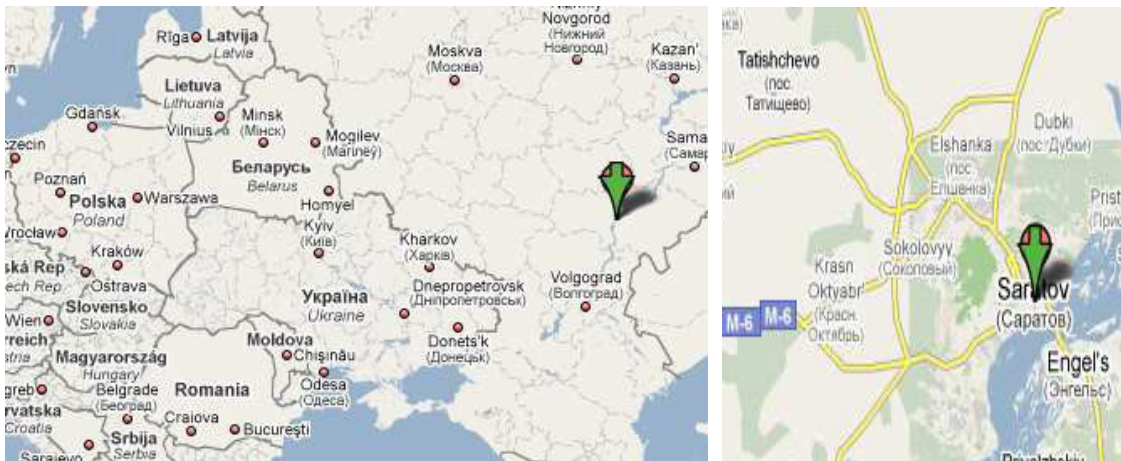


*Kopia strony książeczki wojskowej.*



*Trasa „podróży” z Brześcia do Warkuty w okręgu Komi (kolor czerwony), a następnie do obozu przejściowego do Tatiszczewa w okręgu Saratow.*

W sierpniu 1941 na terenie ZSRR rozpoczęło się formowanie Armii Polskiej pod dowództwem generała Władysława Andersa. 5 września 1941 r. Stanisław Arceusz wstąpił do 5 Kresowej Dywizji Piechoty wchodzącej w skład 2 Korpusu Polskiego Armii Polskiej w ZSRR. Pierwszym dowódcą 5 KDP był generał Zygmunt Bohusz-Szyszko. Obozem treningowym dla 5 KDP była miejscowość Tatiszczewo w obwodzie Saratow.



*Mapką sytuacyjną obozu przejściowego Tatiszczewo w okręgu Saratow nad Wołgą.*



*Kopia legitymacji odznaki 5 Kresowej Dywizji Piechoty.*

Biały ślad to wydrapany zarys mapy Polski przed 1939 r. Mapę kazał wydrapać pracownik UB, po zapytaniu czy o taką Polskę Ojciec walczył.



*Fotografia odznaki 5 KDP.*



*Fotografia odznaki 2 KP.*

W październiku 1942 r w obozie przejściowym Stanisław Arceusz dowiaduje się o śmierci swojej matki.

97 Nr. 305 M.E.

Deutsches Rotes Kreuz  
THE BRITISH RED CROSS  
OF ST. JOHN

Foreign Relations  
Department.

Expéditeur SEN. R Absender

Name Arceusz  
Nom  
Christian name Stanisław  
Vorname Prénom  
Address  
Adresse

RED CROSS MESSAGE BUREAU, 231,  
60 BRITISH RED CROSS, LONDON.

MESSAGE Mitteilung  
(Not more than 25 words) (25 mots au maximum) (Nicht über 25 Worte)

Kochani rodzice, jestem zdrow, serdecznie  
pozdrawiam Was, rodzinę i znajomych.

Stach

Date Datum 14.10.42

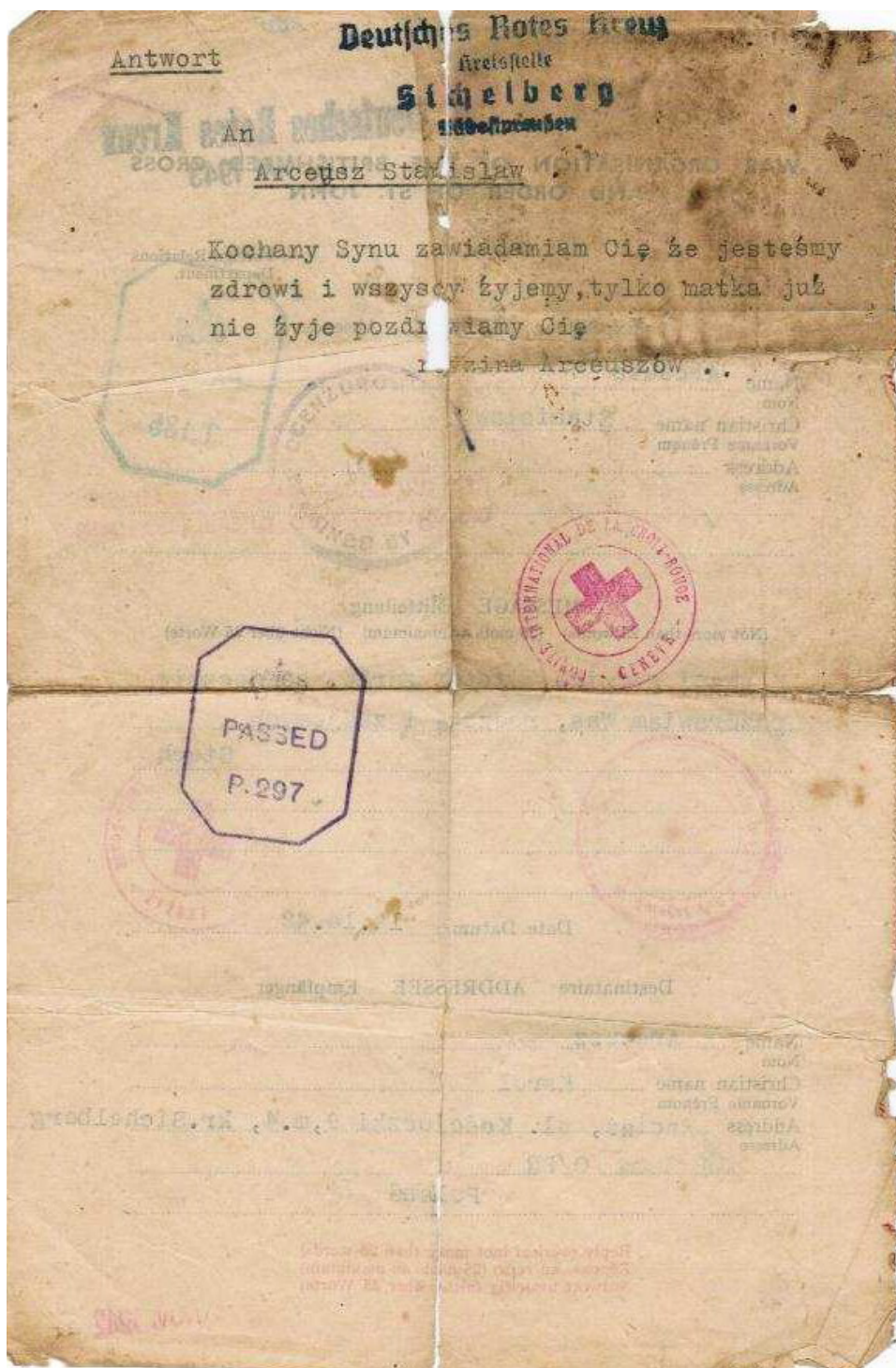
Destinataire ADDRESSEE Empfänger

Name Arceusz  
Nom  
Christian name Karol  
Vorname Prénom  
Address Raciąż, ul. Kościuszki 9, m.4, kr. Sichelberg  
Adresse  
Hamań O/PR  
Poland

Reply overleaf (not more than 25 words)  
Réponse au verso (25 mots au maximum)  
Antwort umseitig (nicht über 25 Worte)

NOV. 1942

Kopia telegramu str.1.



*Kopia telegramu str.2.*



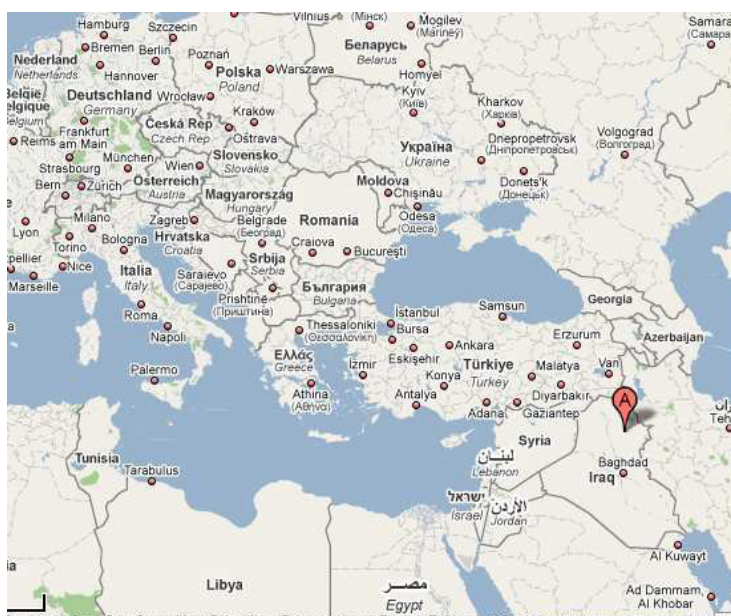
*Kopia zdjęcia - wigilia 1941 r Tatiszczewo.  
Stanisław Arceusz stoi w I rzędzie 4 od lewej.*

Ewakuacja Polskiej Armii z terenu ZSRR rozpoczęła się 14 sierpnia 1942 r . Drogą morską przez Morze Kaspijskie docierają do portu Pahlevi w Iranie. 10 grudnia 1942 5 KDP została przetransportowana do Kirkuku w Iraku.

Duży nacisk w szkoleniu położono na walkę w górach, bo tak ukształtowany teren przewidywano w przyszłości dla 5 KDP. Nowym dowódcą jednostki został mianowany generał Nikodem Sulik.



*Kopie zdjęcia z Pahlevi.  
Stanisław Arceusz 1 od prawej.*



*Mapka sytuacyjna obozu w Kirkuku.*

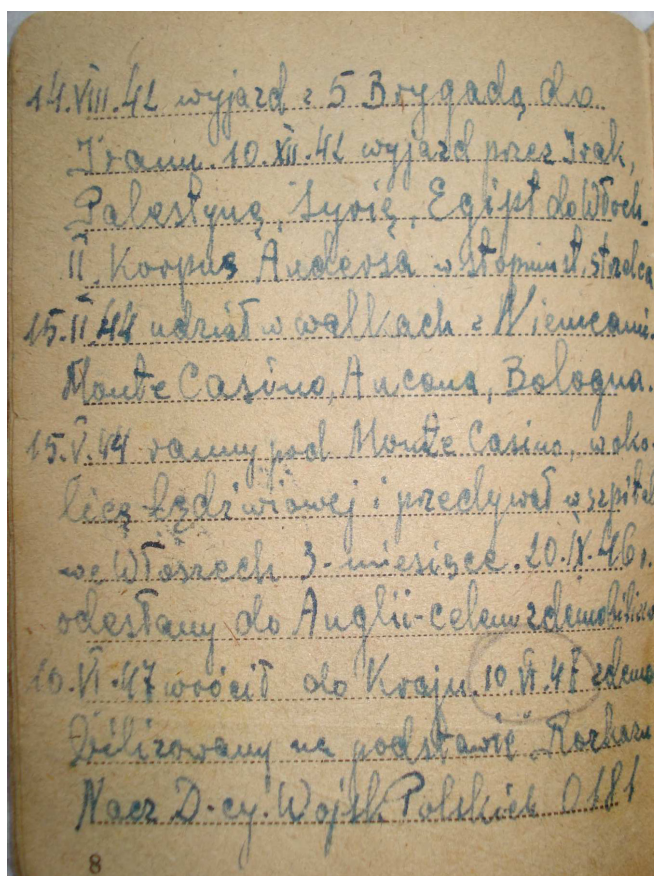


*Kopie zdjęć - obóz treningowy w Kirkuku.  
Stanisław Arceusz zaznaczony strzałką.*





Kopia zdjęcia - obóz treningowy w Kirkuku.  
Stanisław Arceusz stoi – najwyżej.



Kopia strony książeczki wojskowej.

Dywizja osiąga pełną gotowość bojową w maju 1943 r. 5 września 1943 roku 5 KDP została załadowana na ciężarówki i przemieściła się do Palestyny w rejonie Mughzi - Nuseirat, gdzie odbyły się ostatnie etapy szkolenia. 10 grudnia 1943 roku dywizja przez Syrię i Liban zostaje przeniesiona do Egiptu do Port Saidu, aby stamtąd drogą morską przedostać się do Włoch do portu Tarent.



*Kopia zdjęcia 16 XI 1943 Jerozolim.*



*Stanisław Arceusz zaznaczony strzałką.*



*Kopie zdjęć z Palestyny i Tel Avivu –XI / XII 1943 r.*



Kopie zdjęć z Palestyny i Tel Avivu – XI / XII 1943 r.

Dowództwo 5 Wz. Bryg. Piech.

Przepustka

stopień / Rank/	starszy stawelec
nazwisko i imię / Name/	Arceusz Stanista H
oddział / Unit/	5. Wz. Bryg. Piech. Karat. Główna

ma pozwolenie na wydalenie się z oddziału do m. Tripoli, do tej części miasta, która jest dozwolona dla żołnierzy.

Ważna od dnia 21.XI.1943r.  
do dnia 21.XI.1943r do godz. 20<sup>00</sup>

Uł. p. dnia 21.XI.1943r.

was permission to be absent from his Unit lines to Tripoli, proceed within the limits of bounds laid down for his route. on the 21.XI.1943r. to 21.XI.1943r. h. 20<sup>00</sup> for recreational purposes.

*Arceusz Stanista H*

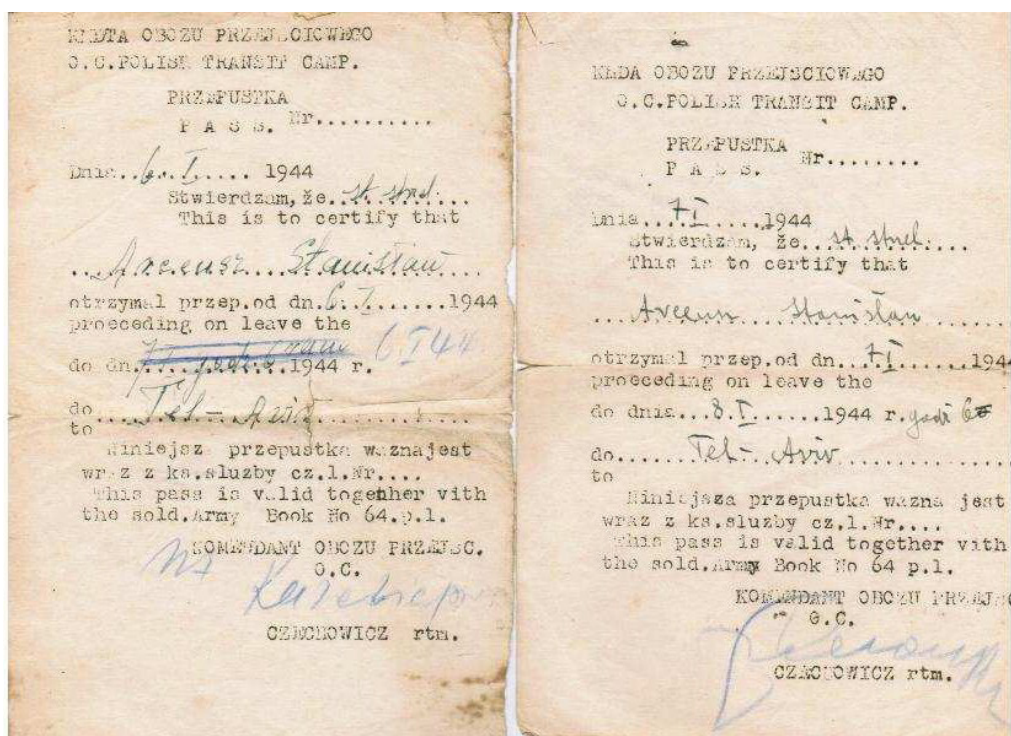
Kopia przepustki do Tripolisu – 21.XI.1943 r.

Wiel. Bryg. Piech. M. p. dnia 12 XI 1943  
 Kwat. Głow. PRZEPUSTKA  
 Dla St. str. Arcusza Stanisława z kwat. Głow. Wiel. Bryg. Piech.  
 Ktoremu pozwala na opuszczenie rejonu zakwaterowania i udania się do  
 m. Tel-Awiv w sprawach osobistych.  
 Przepustka ważna na dzień 12 XI 1943r. godz. 22<sup>00</sup>  
 Szef Sztabu Wiel. Bryg. Piech.  
 (-) JAGŁA KŁAN mjr. dypl.

Kwat. St. 5 Wiel. Bryg. Piech. M. p. dnia 9 XI 43r.  
 Przepustka  
 Dla st. str. Arcusza Stanisława z  
 Kwat. St. 5 Bryg. udania się do Tel-Awiv  
 w sprawach osobistych. Wazna od dn.  
 9 XI 43r do dnia 9 XI 43 do godz. 24<sup>00</sup>  
 Komendant. Kwat. St.  
 J. Muszyński  
 (-) Jagiński por.

KOMENDA OCHRONY ZWIĄZKU ARM. IT  
 COMD. ARMY RESERVE UNIT CENTRE  
 PRZEPUSTKA-PASS  
 Data 29.11 ..... 1943  
 Dated .....  
 Stwierdzam, że kap. Arcusz Stanisław  
 This is to certify that  
 Otrzymał przep. dn. 15 stycznia ..... 1944  
 Proceeding on leave the 15 January .....  
 Do Tel-Aviv, Hajfa, Jerozolima  
 To .....  
 Niniejsza przepustka ważna jest  
 wraz z ks. służby 82 Sk. ...  
 this pass is valid together with  
 the Sold. Army Book in G.P. Part 1.  
 KOMENDANT OZA.  
 L/Col

Kopie przepustek do Tel Avivu - X/XI/XII 1943 r.



Kopie przepustek do Tel Avivu – I / 1944 r.

Na froncie włoskim 5 KDP została skierowana nad rzekę Sangro, a następnie skierowano ją pod Monte Cassino. Stanisław Arceusz w czasie walk pod Monte Cassino został ranny w okolicy łądźwi krzyżowych i przez 3 miesiące przebywał w szpitalu. Za udział w walce pod Monte Cassino został odznaczony Krzyżem Monte Cassino, a za odniesione rany otrzymał medal Gwiazda za rany.



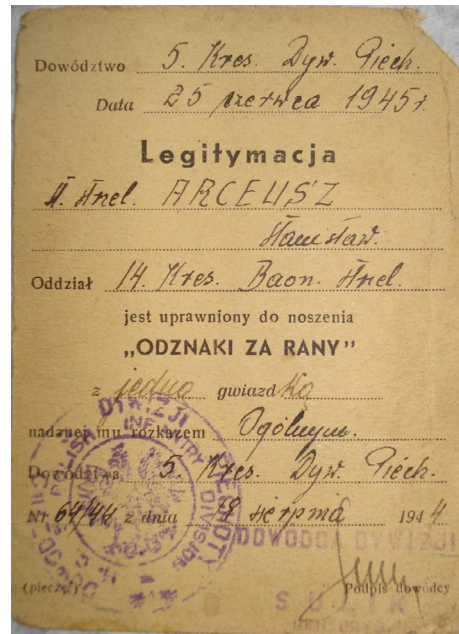
Kopia legitymacji Krzyża Monte Cassino.



*Kopia legitymacji Krzyża Monte Cassino.*



*Fotografie awersu i rewersu Krzyża Monte Cassino.*

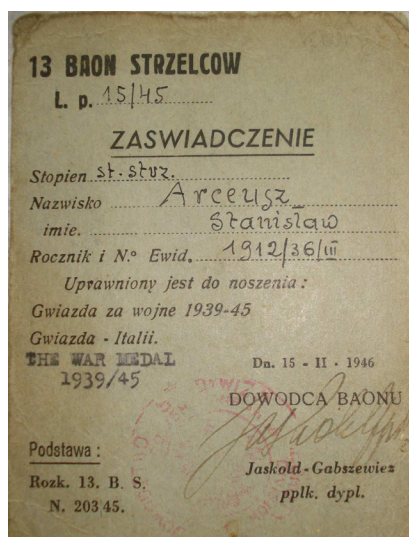


*Kopie legitymacji i odznaczenia Gwiazda Za Rany.*

Po zwycięstwie pod Monte Cassino 5 KDP wraz z 2 Korpusem Polskim przeszła na odpoczynek do odwodów. Do walki wróciła na początku czerwca 1944 r.

Zadaniem 5 KDP było ściganie cofającego się wroga w kierunku na Ankone, a następnie w kierunku Bolonii. Przełamanie frontu pod Bolonią i wyzwolenie tego miasta miało decydujące znaczenie dla zadania Niemcom ostatecznej klęski na froncie włoskim. Oddziały 2 Korpusu Polskiego wkroczyły do Bolonii witane owacyjnie przez miejscową ludność.

Za udział w walce we Włoszech Stanisław Arceusz otrzymał medal Gwiazda Italii.



*Kopia legitymacji odznaczenia Gwiazda Italii.*



*Fotografia odznaczenia Gwiazda Italii.*



*Fotografie baretek posiadanych odznaczeń.*





*Kopia fotografii z San Benedetto. Stanisław Arceusz 1 od prawej.*



*Kopia fotografii z San Benedetto. Stanisław Arceusz zaznaczony strzałką.*



*Kopia fotografii z San Benedetto. Stanisław Arceusz zaznaczony strzałką.*



*Kopia fotografii z San Benedetto. Stanisław Arceusz gra na kornecie 2 od prawej.*



*Kopia fotografii z San Benedetto. Stanisław Arceusz gra na kornecie 2 od prawej.*



*Kopia fotografii - doskonalenie gry w szpitalu.*



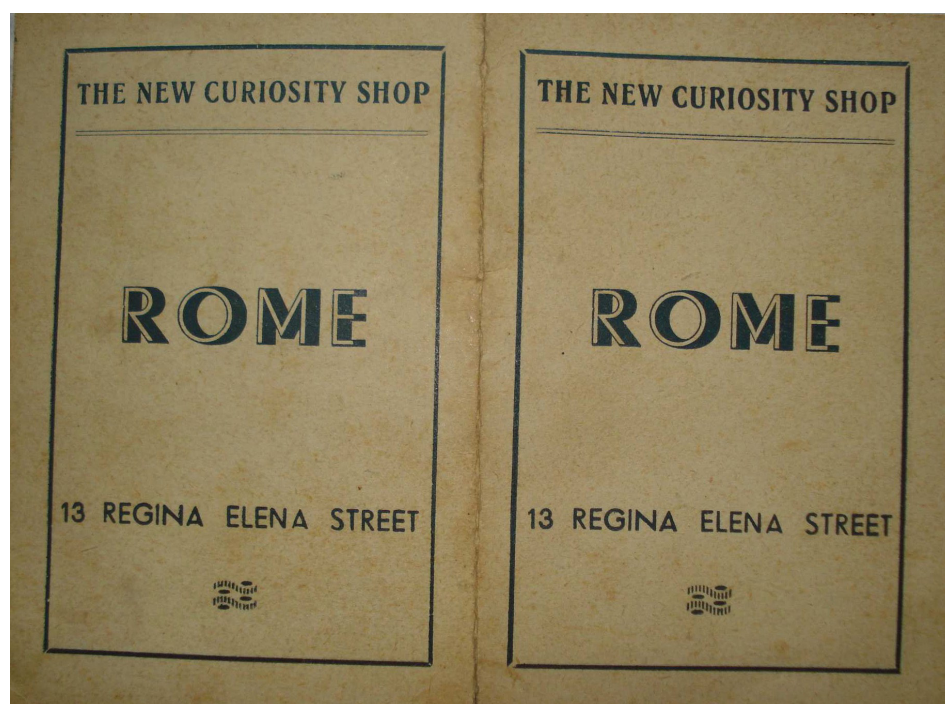
*Kopia fotografii z Rzymu.*



*Fotografia pamiątkowej papierošnicy z Włoch z 1946 r.*

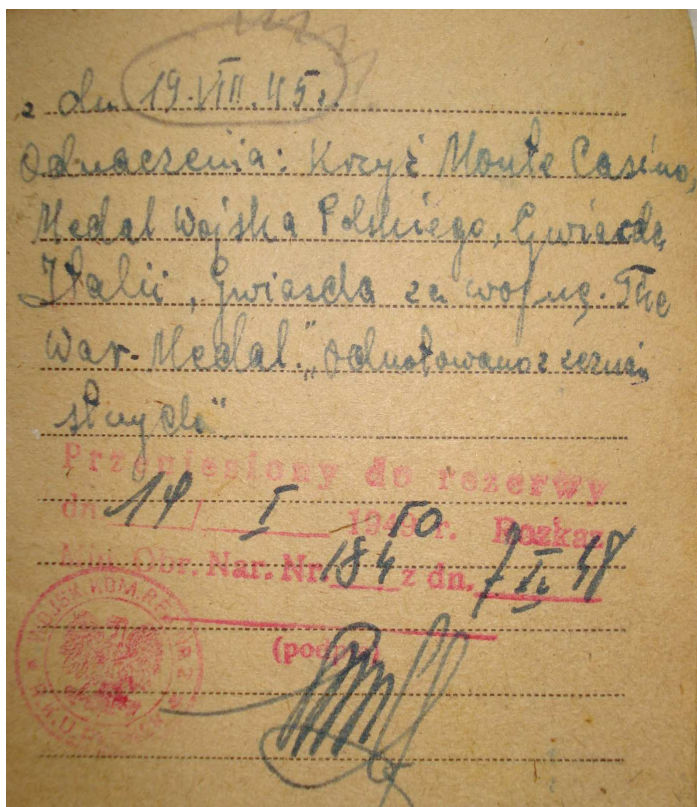


*Fotografie awersu i rewersu medalu Za Wolność Waszą i Naszą.*

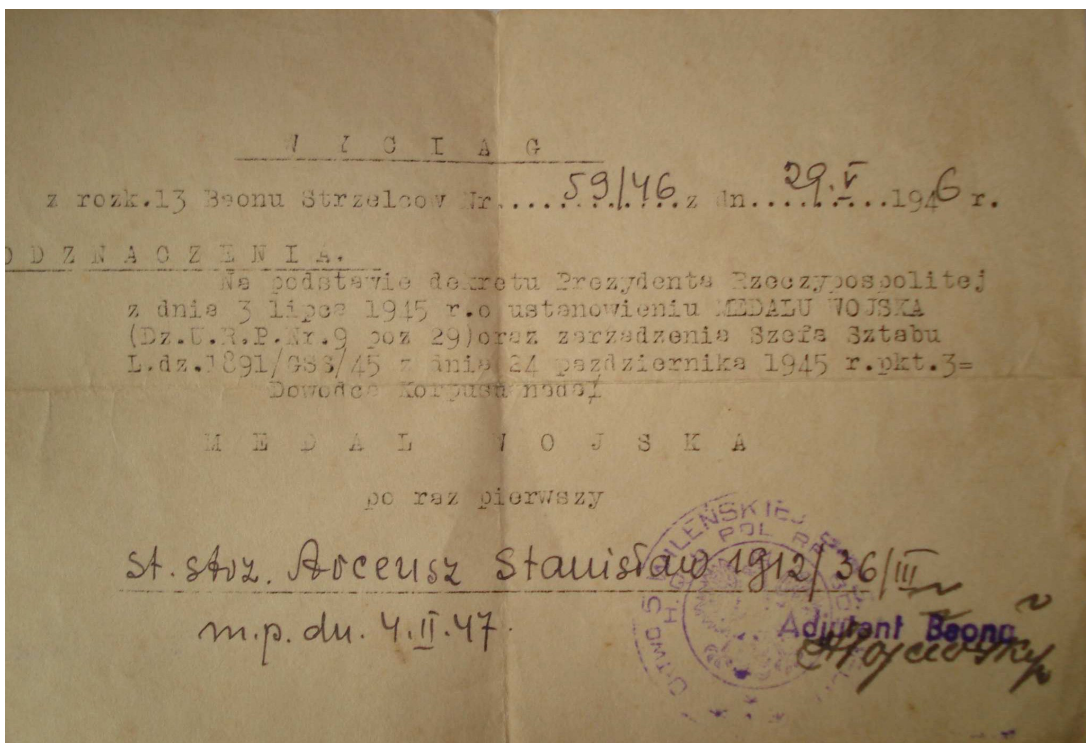


*Pamiątkowe zdjęcie z Rzymu.*

Po wojnie 5 Kresowa Dywizja Piechoty weszła w skład Brytyjskich Sił Okupacyjnych na terenie Włoch. Dywizja została przetransportowana do Anglii w 1947 roku i tam została zdemobilizowana.



Kopia strony książeczki wojskowej.



Kopia wyciągu z nadania odznaczenia Medal Wojska.



*Fotografia Medalu Wojska.*



*Fotografia odznaczenia Nowej Zelandii.*

### III. Powrót do kraju.

11 czerwca 1947 r. Stanisław Arceusz stęskniony wraca do Polski.

Wzór do poz. 32a Instrukcji 1. Geziele dla PUR-u  
2. D... b...  
3. ... przewoźnik grupy

**Ministerstwo Administracji Publicznej**  
Państwowy Urząd Repatriacyjny

ZASWIADCZENIE Nr **160729** Gd.

na ulgowy przejazd osoby, przybywającej lub powracającej w ramach akcji repatriacyjnej z krajów Europy Zachodniej i Południowej z krajów ZSRR, oraz na uzyskanie ulgi na przewóz mienia, z kredytowaniem opłat na rachunek PUR.

Ob. Arceusz Stanisław  
imię i nazwisko

legitymujący się jako repatriant dowodem 2040 Nr 2040  
z dnia 11.06.47 wydanym przez Państwowy Urząd Repatriacyjny  
przybył do Polski z terytorium ZSRR  
udaje się z grupą, osób, powracających w łącznej  
ilości osób 2  
słownie dwóch  
od stacji Jelazna  
do stacji Gdańsk

i ma prawo do:

1. jednorazowego przejazdu w klasie 3 pociągu, w którym dopuszczony jest przewóz osób za opłatą, według tabeli T 75.
2. Przejazdu wraz z grupą, pociągiem specjalnym z obliczeniem przewoźnego według stawki zł 3 gr 50 za osiokm.
3. Nadania przewozu mienia, jako przesyłka zwyczajna wagonowa z obliczeniem przewoźnego za wagon według stawki 50 gr za 1 osiokm.\*\*)
4. Nadania do przewozu mienia, jako zwyczajna przesyłka drobna z obliczeniem przewoźnego według stawki klas I i II obniżone o 50%\*\*)
5. Nadania do przewozu mienia, jako przesyłka pospieszna z obliczeniem przewoźnego według stawek klasy Pd obniżone o 50%\*\*)
6. Nadania do przewozu mienia, jako przesyłka pospieszna przyspieszona z obliczeniem przewoźnego według stawki Pd. obniżona o 25%\*\*)
7. Nadania do przewozu mienia, jako bagaż lub przesyłkę ekspresową za opłatą według tabeli BE za zniżką 50%.

Niniejsze zaświadczenie jest ważne tylko z jednoczesnym okazaniem listu ewakuacyjnego (dla powracających z ZSRR) lub zaświadczenia Punktu Przyjęcia PUR (koloru różowego) dla powracających z krajów Europy Zachodniej i Południowej.

Ważne do dnia 11.06.47 1947 r.  
(najwyżej 14 dni od daty wystawienia)

Gdańsk dnia 11.06.47 1947 r.  
(podpis podróżnego lub przewodnika)

Pieczątka: **PAŃSTWOWY URZĄD REPATRIACYJNY**  
(podpis wystawcy)

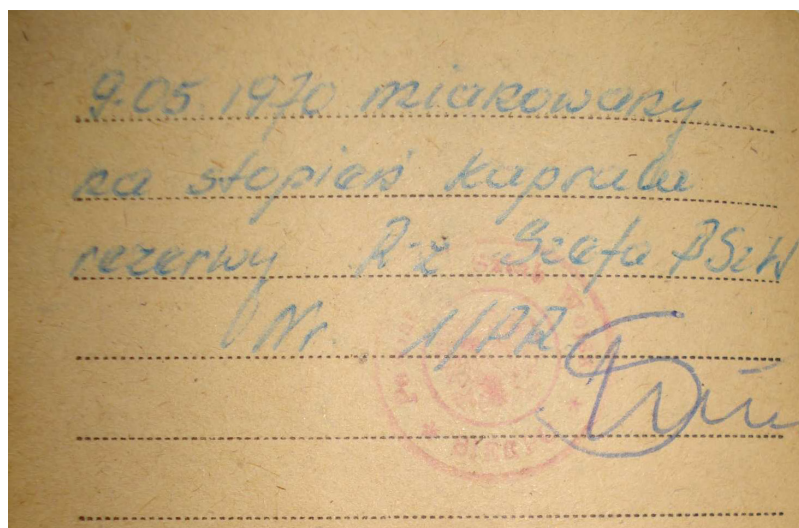
Niepotrzebne skreślić.  
\*\*) Do każdego listu przewozowego, kwifu bagażowego, lub listu ekspresowego należy dołączyć oddzielnie zaświadczenie.

Kopia zaświadczenia z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Gdańsku.

Powrót do kraju okazał się bolesny, żołnierze wracający do Polski po 2 latach od zakończenia wojny byli otoczeni „szczególną” opieką agentów Urzędu Bezpieczeństwa. Szczególną opiekę nad Stanisławem Arceuszem roztoczył agent UB z Sierpca o nazwisku Ziółkowski lub Ziółek. Przez dwa lata „odwiedzał” Ojca w domu w różnych godzinach rannych i nocnych wypytyując o powód powrotu, czyim jest szpiegiem, dla kogo pracuje. Nie uzyskawszy zadowalających odpowiedzi stawiał Ojca pod ścianą z rękami podniesionymi do góry i strzelał nad głowę.

Jako wróg ludu ojciec nie mógł znaleźć pracy. Utrzymywał się z grania w zespole muzycznym na zabawach i weselach, oraz ze sprzedaży materiałów i innych dóbr, które przywiózł z Anglii. Jak twierdzi i tak miał szczęście, gdyż wielu repatriantów z Armii Andersa osadzano w więzieniach i konfiskowano ich majątki. 23 marca 1948 r. Stanisław Arceusz ożenił się z Haliną Krysiewicz, która pamięta nocne wizyty ubowca Ziółka, kiedy to w środku nocy była wypraszana z mieszkania i przez długie godziny, często na mrozie oczekiwała z niepokojem na wyniki przesłuchań.

W 1950 r. Stanisław Arceusz został przeniesiony do rezerwy, a 9 maja 1970 r. mianowany został do stopnia Kaprała. Nigdy jednak nie spełniło się Jego marzenie o podróży na Monte Cassino i oddaniu hołdu poległym towarzyszom broni, jak również pełnego uznania i rehabilitacji za doznane krzywdy i upokorzenia.

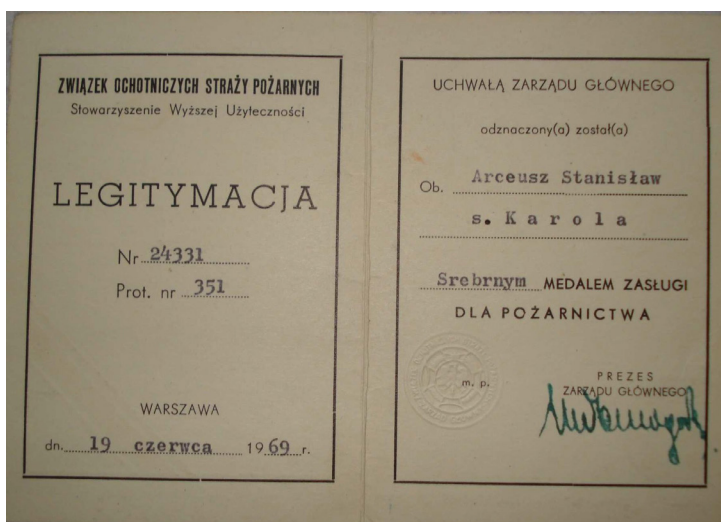


*Kopia strony Książeczki Wojskowej.*

W 1950 r Stanisław Arceusz został zatrudniony w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Raciążu, w której pracował do końca życia.



Oprócz pracy w GS SCh grał w zespole muzycznym na zabawach i weselach. Było to bardzo męczące. Wielokrotnie po całonocnym graniu na jednej zabawie szedł grać następną noc. Lubił muzykę. Oprócz gry we własnym zespole muzycznym grał również w zespole orkiestry dętej Ochotniczej Straży Pożarnej w Raciążu. Za wkład pracy w straży 19 czerwca 1969 r. został odznaczony Srebrnym Medalem Zasługi dla Pożarnictwa.



*Kopia legitymacji Medalu Zasługi dla Pożarnictwa.*



*Fotografie awersu i rewersu Medalu Zasługi dla Pożarnictwa.*



*Fotografia Zespołu Orkiestry Dętej OSP Raciąż.  
Stanisław Arceusz w I rzędzie 3 od lewej.*



*Fotografia Zespołu Orkiestry Dętej OSP Raciąż.  
Stanisław Arceusz w I rzędzie 3 od prawej.*

W trakcie małżeństwa na świat przyszło troje dzieci:

w 1950 r syn Mieczysław

w 1952 r syn Mirosław

w 1959 r córka Anna.

Stanisław Arceusz zmarł na atak serca 23 marca 1973 r. Jest pochowany na cmentarzu w Raciążu.



*Grobowiec, w którym pochowany jest Stanisław Arceusz.*

W lokalnej gazecie Głos Raciąża nr 5 (154) z 2006 r. ukazał się artykuł o Ś.P. Ojcu, jak już wcześniej zaznaczono zbyt późno. Poniżej kserokopia tego artykułu.

# Sylwetki

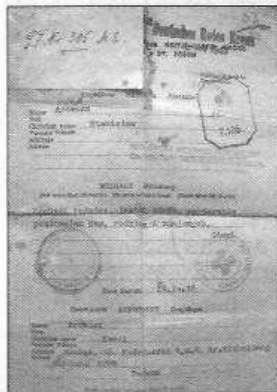


Stanisław Arceusz, zdjęcie z lat powojennych, już po powrocie do kraju

## Stanisław Arceusz 1912 – 1973

18 maja mija 62. rocznica jednej z najważniejszych bitew II wojny światowej — pod Monte Cassino, bitwy tak bardzo ważnej dla polskiego żołnierza. Tę twierdzę niemiecką, która była nie do zdobycia przez Anglików, Amerykanów i Francuzów, udało się zdobyć Polakom. Wśród walczących pod Monte Cassino żołnierzy polskich był nasz krajan Stanisław Arceusz.

Urodził się w Raciążu 8 października 1912 roku w rodzinie rzemieślniczej, jako syn Michaliny i Karola. Uczył się u ojca rzemiosła, by mieć w ręku fach. Mając 22 lata został powołany do wojska (17 kwietnia 1934 r.), by odbyć służbę zasadniczą. Jego jednostką podstawową był 32 Pułki Piechoty w Modlinie. W 1938 roku Stanisław Arceusz brał udział w 4-tygodniowych ćwiczeniach rezerwy, tym razem w 13 Pułku Piechoty w Pułtuskach. Trafił do tej jednostki ponownie,



List Stanisława Arceusza z internowania do rodziców

gdy wojna była coraz bliżej. Stanisław Arceusz walczył m.in. pod Pułtuskim, Brześciem nad Bugiem, Włodzimierzem. 19 września 1939 roku dostał się do niewoli radzieckiej i został internowany. Z internowania trafił do armii generała Władysława Andersa, która powstała na terenie ZSRR, na mocy porozumienia zawartego między rządem polskim na uchodźstwie a władzami sowieckimi. Jako strzelec przeszedł z 5 brygadą długi szlak bojowy, który wiódł przez Iran, Palestynę, Syrię, Egipt

i Włochy. Uczestniczył w kampanii włoskiej jako żołnierz



Halina Arceusz przechowuje pamiątki po mężu

II Korpusu. W bitwie pod Monte Cassino został ranny. Wiele miesięcy wracał do pełni sił we włoskim szpitalu.

20 września 1946 r. został odesłany z Włoch do Anglii celem demobilizacji. Do Polski wrócił 10 czerwca 1947 r., założył rodzinę. 23 marca 1948 r. ożenił się z Haliną, na świat przyszła trójka dzieci. Pracowa w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, z którą był związany przez 25 lat.

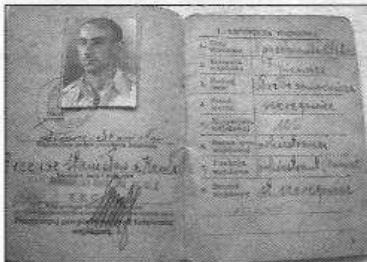
Bardzo kochał muzykę, był członkiem strażackiej orkiestry dętej. Wiele razy wracał we wspomnieniach do bitwy pod Monte Cassino, opowiadał o swoich kolegach — żołnierzach, którzy tam polegli. Żona Halina, synowie Mietek i Mirek oraz córka Ania z zapartym tchem słuchał jego wspomnień. Marzył, aby choć jeden raz znaleźć się na ziemi włoskiej, oddać hołd kolegom leżącym na polskim cmentarzu. Wzruszał się do łez, grając na trąbce ulubionych utworów: „Ciszę” i „Czerwone maki”. Nie udało mu się jednak zrealizować swojego marzenia. Czasy nie sprzyjały takim wyjazdom.

Halina Arceusz z wielką pieczołowitością przechowuje pamiątki po mężu. Są wśród nich order, Krzyż Monte Cassino, przepustki, fotografie, list z internowania do rodziców...

Przed laty wraz z grupą mieszkańców Raciąża byłam na polskim cmentarzu na Monte Cassino. Byłam dumna kładąc wiązankę kwiatów na grobie polskich bohaterów. Bucałam, że towarzyszy nam duch zmarłego krajana.

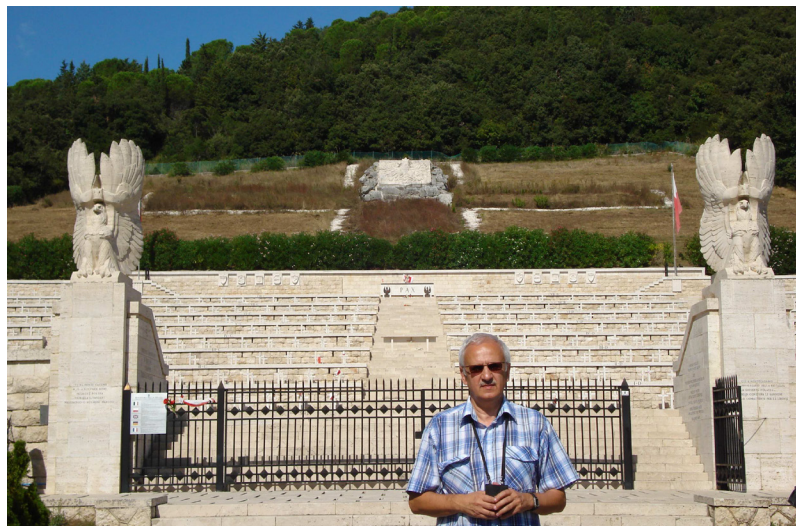
Stanisław Arceusz zmarł nagle 23 marca 1973 roku.

Ewa Adamska



#### IV. Symboliczna wymiana.

Wielkie marzenie Ojca o podróży na Monte Cassino nie spełniło się nigdy. Symbolicznie dokonał tego syn Mieczysław we wrześniu 2013 roku, a więc po czterdziestu latach od śmierci Ojca.



*Syn Mieczysław na cmentarzu na Monte Cassino.*

Z okolic grobowca Ojca w Raciążu została pobrana garstka ziemi i przewieziona na Monte Cassino.



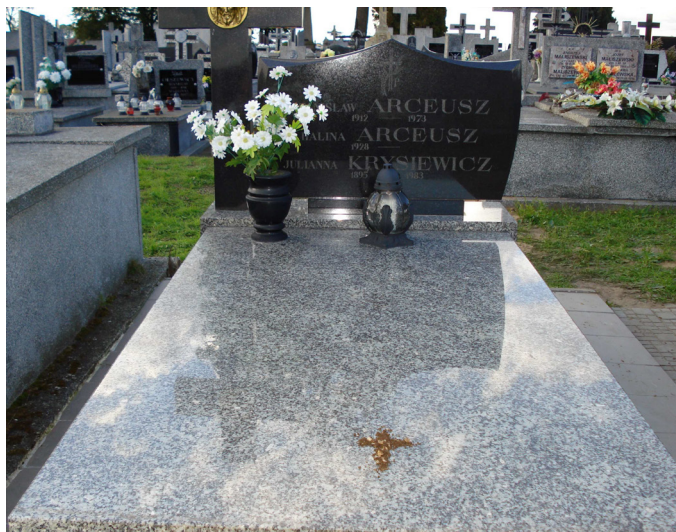
*Pobieranie ziemi z okolic grobowca w Raciążu.*

Na cmentarzu Monte Cassino na grobowcu ppor. Alfonsa Kocerby Żołnierza 5 Kresowej Dywizji Piechoty (być może dowódcy i współtowarzysza z pola walki) usypano krzyż z ziemi pobranej w Raciążu.  
Resztę ziemi rozsypano na cmentarzu na Monte Cassino.



*Krzyż usypany z ziemi z Raciąża na grobowcu w Monte Cassino.*

Pobrano również garstkę ziemi z cmentarza na Monte Cassino, przewieziono na cmentarz do Raciąża i usypano z tej ziemi krzyż na grobowcu Ojca.



*Krzyż usypany z ziemi z Monte Cassino na grobowcu w Raciążu.*

Wiatr rozwiął usypane z ziemi symbole, ale w ten sposób nastąpiła symboliczna podróż z ziemi polskiej do włoskiej i znowu do polskiej, a Ojciec symbolicznie dotarł na Monte Cassino, jak również symbolicznie przekazał pamiątkę z Polski, oraz posiada symboliczną pamiątkę z ziemi włoskiej.

## V. Ulotna pamięć

Cmentarz na Monte Cassino istnieje i jest pielęgnowany dzięki emigracji polskiej. Odwiedzają go głównie Polacy.



*Napis przy wejściu na cmentarz na Monte Cassino.*

Pamięć i wdzięczność Włochów jest specyficzna. Włochom, szczególnie młodym Monte Cassino kojarzy się głównie z ruletką i hazardem. Przejawem „wdzięczności” społeczeństwa włoskiego jest tablica pamiątkowa umieszczona w miejscowości Cassino leżącej u podnóża góry na której znajduje się cmentarz.



*Tablica pamiątkowa w Cassino.*

Na tablicy tej napisano, iż społeczeństwo Cassino jest wdzięczne jedynie żołnierzom amerykańskim i włoskim, którzy jako jedyni przynieśli wolność miastu. Smutne to.



## **Anna Fabrykiewicz**



**Anna Fabrykiewicz** z domu Pawelecka, urodziła się w 1937 roku w Raciążu, gdzie spędziła dzieciństwo. Po wojnie ukończyła tu szkołę podstawową i średnią. W 1967 roku wyjechała do Płocka, gdzie obecnie mieszka.

## Wspomnienia z czasów okupacji

### Anny Fabrykiewicz

Urodziłam się 1 marca 1937 roku w Raciążu. Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa związane z II wojną światową dotyczy zrzucenia bomb na Raciąż. Miałam 2,5 roku i stałam z moim wujkiem przy swoim domu, znajdującym się przy ulicy Kościelnej. Wtedy spadły bomby, jedna spadła za kościołem, a druga na łące za rzeką. Mama wracała wtedy z miasta i wszyscy uciekaliśmy do domu.

Drugie wspomnienie dotyczy pogłoski o puszczeniu gazu. Mieliśmy duży, murowany i szczelny dom. Kiedy poszła fama o gazie, to dwie rodziny sąsiadów przyszły do nas, aby razem z nami się schronić. Było nas dużo, był wielki hałas, ale ostatecznie pogłoska się nie sprawdziła i wszyscy rozeszli się do swoich domów.

Inne wspomnienie to, kiedy byłam trochę starsza przeżywałam pewnego niemieckiego chłopca, a on poszczuł mnie psem. Przestraszyłam się, zaczęłam uciekać i przewróciłam się na ulicy. Pies mnie jednak nie dopadł, bo jacyś ludzie go odstraszyli. Ten obraz mam przed oczami do dziś.

Pamiętam, że Niemcy chcieli wykwaterować nas z domu i osadzić w nim księdza, którego wyrzucili z plebanii. Na plebanię wprowadzono Niemca. Ksiądz jednak upomniął się o nas i chciał żebyśmy pozostali w swoim domu, w którym on również zamieszkał.

W czasie okupacji panowała ogólna bieda. My mieliśmy co jeść, bo rodzice prowadzili gospodarstwo, hodowali drób oraz świniaki. Mieliśmy 21 hektarów ziemi. Ksiądz miał rodzinę na wsi, w miejscowości Ziemiąny, więc przywoził owoce, warzywa i inne płody rolne. W pamięci mojej pozostała pewna sytuacja dotycząca Żydów. Jakiś Żyd dał mojej cici coś cennego na przechowanie. Po jakimś czasie ciocia mu to oddała, za co on jej bardzo dziękował. Chodziły pogłoski, że wielu ludzi nie chciało Żydom oddawać rzeczy, które pozostawili u nich na przechowanie. Synagoga znajdowała się przy ulicy Kilińskiego 12, zaś Niemcy kwaterowali przy ulicy Warszawskiej, w bardzo ładnym dużym piętrowym domu (u państwa Kornatowskich), obecnie Warszawska 34. Tam była Gestapo. Z mojej ulicy, dwa domy dalej, wywiezieni zostali państwo Ciscy. Chyba do Krościenka, aż na południe Polski. Wrócili po wojnie.

Za kościołem, za rzeką Raciążnicą znajdował się jakiś obóz. Był ogrodzony drutem

kolczastym i byli tam sami mężczyźni. Z ciocią poszliśmy zanieść im jedzenie. Ciocia się zatrzymała, a ja z bochnem chleba podeszłam do ogrodzenia. Chleb wziął ode mnie jakiś mężczyzna.

Zimą 1945 roku słychać było zbliżający się front i strzelaninę w okolicach Kraszewa-Gaczuł. Wszyscy spaliśmy w ubraniach, paltach, kożuchach, żeby w razie potrzeby być gotowym do ucieczki. Pamiętam moment, kiedy nasz nauczyciel, i jednocześnie sąsiad, pan Stanisław Żochowski oraz ksiądz Sankowski, siedzieliśmy w oficynie naszego domu i modliliśmy się. Widać było ogień i słychać huk. To było pod koniec wojny.

Niemcy odeszli z Raciąża, a weszli Rosjanie. Całe tabuny ludzi, głównie z Pułtusa, przejeżdżali wozami przez miasto. Na noc zatrzymywali się w kościele. Z mamą nosiliśmy tym ludziom gorące mleko i kawę. Po kilku dniach ludzie pojechali dalej. Było coraz bliżej wyzwolenia.

Po wojnie chodziłam do szkoły powszechnej w Raciążu, która mieściła się przy ul. Kilińskiego 56, a później do szkoły średniej, która znajdowała się przy ulicy Kilińskiego 12 (w dawnej Synagodze).

Zaraz po wojnie, przed lekcjami odmawialiśmy modlitwę, lecz gdy nadszedł czas „komuny”, odmawiania modlitwy w szkole zabroniono.

Kiedy byłam w szkole średniej, powstała tam organizacja ZHP. Ja nie zostałam do niej przyjęta, bo byłam córką „kułaka”.

W czasach powojennych władza ludowa prześladowała dużych przedwojennych gospodarzy. Naszą rodzinę także. Pamiętam z tych czasów, że w oknie gospody wisiał plakat przedstawiający ojca w kapeluszu z wielkim brzuchem, na furze ziemniaków. Gospoda ta znajdowała się w starym drewniaku, w rynku, obecnie ulica Piłsudskiego 2. Na wielu budynkach użyteczności publicznej wymalowane były zieloną farbą, wielkimi literami napisy „oporny kułak”.

W Raciążu pozostałam do roku 1967. Potem wyprowadziliśmy się do Płocka, gdzie mieszkam do chwili obecnej.



*Od lewej: Ojciec, mama, znajoma rodziny, Ania, Genia, brat mamy.*



*Od lewej: Anna Fabrykiewicz z siostrą Genią.*

*Wspomnień Anny Fabrykiewicz wysłuchała Danuta Kantorowska.*

*Płock, marzec 2019.*

## Krystyna Kowalska



**Krystyna Kowalska** (1928-2014) z domu Staniszewska, czasie okupacji mieszkała w Raciążu. Po zakończeniu wojny tu ukończyła szkołę, założyła rodzinę i mieszkała aż do śmierci.

## Ze wspomnień Krystyny Kowalskiej

1 września 1939 roku w piątek, kiedy wybuchła wojna (byłam wówczas jedenastoletnią dziewczynką) zdałam do V klasy szkoły podstawowej i szykowałam się do rozpoczęcia roku szkolnego. Wczesnym rankiem wybrałam się ze swoją mamą na rynek (dzisiejszy plac A. Mickiewicza). Jak co piątek odbywał się tam targ. Burmistrz miasta stojąc na wozie przekazywał mieszkańcom, co należy robić w przypadku bombardowania. Nagle Niemcy zrzucili bombę na łąki pomiędzy kościołem a stacją kolejową. Ludzie zaczęli uciekać do domów. Wieczorem tata stanął w drzwiach i nie chciał nikogo wypuścić. Ja będąc ciekawską dziewczynką wcisnęłam się pomiędzy ręce ojca i zobaczyłam wielką czerwoną łunę na niebie, słyszałam huk wybuchających pocisków i granatów, i zaczęłam płakać.

Na drugi dzień do Raciąża przybyli uchodźcy uciekający z Mławy przed Niemcami za Wisłę, ponieważ kiedyś wierzono, że Niemcy za Wisłę nie przejdą. Uchodźcy przebywali w Raciążu dwa dni, potem ruszyli dalej. My wraz z rodziną uciekliśmy na wieś do miejscowości Cieśle.

W poniedziałek 4 września Niemcy zajęli Raciąż. Zebrali wszystkie dzieci i kazali nam pielic łyzkami bruk na rynku. Szkoły zamknięto. Uczyliśmy się w prywatnych domach po kryjomu.

Żydzi mieszkający w Raciążu zostali wysiedleni w 1942 roku. Niemcy chodzili po domach i w pół godziny kazali Żydom spakować się i udać się do synagogi. Zanim zaprowadzili ich do pociągu, musieli oddać wszystkie pieniądze i kosztowności. Potem zaczęła grać orkiestra i pomaszzerowali w rytmie marsza do pociągu. Zostali wywiezieni do Oświęcimia i innych obozów koncentracyjnych.

W czasie okupacji trafiłam na plantację roślin służących do produkcji kauczuku (pola pomiędzy Raciążem a Łempinem). Było tam ponad 100 osób, które zajmowały się pielęgnacją i zbiorem tych roślin. Później pomagałam opiekować się dzieckiem u rodziny Volksdeuschów. Źle się czułam opiekując się niemieckim dzieckiem.

W 1944 roku w Raciążu stacjonowała niemiecka kompania przedfrontowa. Zatrzymała się w rzeźni przy ulicy Rzeźnianej. W niemieckim wojsku były Ukrainki, które zostały wywiezione do obozu koncentracyjnego. Niemcy zrobili łaźnię dla żołnierzy przy ulicy Mławskiej. Nie wszyscy Niemcy byli źli. Kucharz niemiecki pomagał Polakom. Kiedy

zostało mu zupy albo mięsa oddawał mojej rodzinie i sąsiadom.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że Niemcy chcą wszystkich mieszkańców Raciąża zebrać na ulicy Kilińskiego w niewiadomym celu. Moja rodzina musiała znów uciekać z Raciąża, tym razem przed Rosjanami. Uciekliśmy na Budy Kraszewskie. Niestety okazało się, że zamiast uciec przed agresorem weszliśmy w sam ogień walki. Niewielki oddział Niemców zatrzymał się na Kraszewie. Przyszli Rosjanie. Oficer rosyjski wyciągnął mapę i mówił o Kraszewie. Niemcy stawiali opór. Słysząc było odgłosy walki i znowu zobaczyłam czerwoną łunę i zaczęłam płakać. Nad ranem wszystko ucichło. Po bitwie w Kraszewie zabitych Rosjan położono na środku rynku a na wierzchu ułożono ciało Marusi. Ja zebrałam inne dzieci i razem poszliśmy pieszo do Raciąża. Stanęliśmy przed mostem, a ja podeszłam do żołnierza stojącego na moście. Chwilę z nim rozmawiałam. Wreszcie nadjechał inny żołnierz w białym mundurze. Tamten żołnierz, gdy go zobaczył, szybko zbiegł z mostu, a ja tknięta jakimś przeczuciem ruszyłam w przeciwnym kierunku. Dobiegłam na koniec ulicy Zawoda i usłyszałam huk. Odwróciłam się i zobaczyłam, że most został wysadzony.

W czasie okupacji okna musiały być zasłonięte. Nie wolno było palić światła. Palono lampy karbidowe. Kościół służył za magazyn zboża. W Raciążu przed wojną mieszkał niemiecki szpieg, który po zajęciu przez Niemców miasta ujawnił się i chodził ubrany w mundur.

Pewnego dnia Niemcy część mieszkańców zaprowadzili do kościoła. Ja też byłam wśród tych ludzi. Gdy byłam w kościele przemknęłam się i weszłam na wieżę kościelną, jednak nie udało mi się uciec. Gdy Niemcy wypuścili mieszkańców z kościoła zaprowadzili nas na rynek, który był zastawiony wozami, na które zostaliśmy załadowani. Wywieźli nas aż pod Płock. W czasie postoju pozwolono nam umyć się pod pompką, spaliśmy w stodole na sianie. Na drugi dzień pojechaliśmy dalej. Jechaliśmy na Wyszogród. Siostra i brat chcieli mnie zepchnąć z wozu, ponieważ stwierdzili, że będzie im lżej (przyp.red. przekonani, że chociaż ją uda się w ten sposób ocalić). Przy drodze stała chata, gdy zostałam zepchnięta z wozu to wbiegłam do tego domu, gdzie się ukryłam. Pani, która tam mieszkała, dała mi jedzenie, picie i przenocowała mnie.

Rosjanie byli dzicy i robili, co chcieli, gwałcili i grabili. Mój tata, Jan, pracował w rzeźni i dostawał mięso. Ksiądz proboszcz Jakubowski został wywieziony do obozu w Dachau. Potem przysłano księdza Gosika, który mieszkał w organistówce. Nauczycieli, lekarzy i urzędników wywieziono do obozów koncentracyjnych. Obowiązywał zakaz uboju. Było mało żywności, która była na kartki. Pewna pani z Kinik została skazana na karę śmierci za ubój świniaka.

Mąż mój Edward został wysłany na front do Modlina, gdzie był kucharzem. Kiedy Niemcy zajęli Modlin, ładował bomby na samoloty.



*Krystyna Kowalska z mężem Edwardem*

Zygmunt i Tadeusz Jebasowie należeli do ROAKu (Ruch Oporu Armii Krajowej). Jeden zastrzelił kasjerkę w Olsztynie i został skazany na karę śmierci a drugiego zastrzelili w kartoflach. Alina Kopacz również należąca do ROAKu została schwytana i torturowana we więzieniu w Płońsku przy ulicy Warszawskiej, gdzie znajdowała się siedziba Gestapo.

Raz Niemcy zaprosili mnie na obiad. Uciekłam do sąsiadki, ale i tak Niemiec mnie znalazł. Dostałam kotleta schabowego i czerwoną kapustę. Nic nie zjadłam. Potem zostałam wysłana po kawę. Niemiec Hans zagadał mnie i przewróciłam się na schodach. W dzbanku wybiła się dziura. Hans dał mi garnek i zaniósł kawę w garnku. Na szczęście Niemcy nic mi nie zrobili. Po tym zdarzeniu powiedziałam jednak, że nie

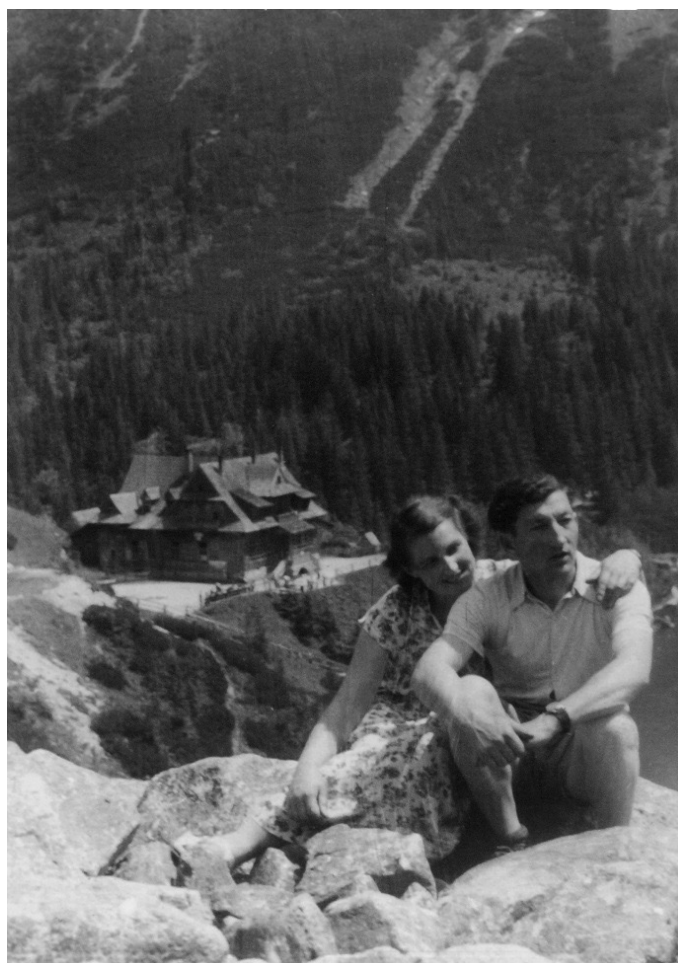


będę pracować u tych oficerów. Poszłam do Niemców na kuchnię i obierałam ziemniaki. Oficer przyszedł za mną i gdy zobaczył, że obieram ziemniaki popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział i wyszedł.

Mimo, że wojna skończyła się dawno temu, wspomnienia o niej i przeżycia wryły się głęboko w moją pamięć. Tak silne przeżycia, nie łatwo zapomnieć, towarzyszą człowiekowi już do końca życia.



*Od lewej: Krystyna Kowalska*



*Krystyna Kowalska z mężem*

*Na podstawie nagrania wspomnienia Krystyny Kowalskiej opracowała Marianna Góralska, Raciąż 2016.*

## Irena Olizar



**Irena Olizar** (1926-2005). Urodziła się w miasteczku Łunna w pobliżu Grodna. Po śmierci ojca wychowywała się z matką do Świsłoczy k/Wołówkowskiej, gdzie w 1939 r. zdała egzamin do gimnazjum. Tam z matką, ojczymem oraz przyrodnim bratem mieszkali do 1943 r. W tym samym roku wyjechali do rodziców ojczyma do Łunny. W sierpniu 1948 r. razem z grupą żołnierzy AK aresztowana przez MWD, sądzona i skazana na 25 lat więzienia. W 1949 roku wywieziona do łagrów na Syberię, gdzie w nieludzkich warunkach spędziła 8 lat. W 1957 r. w ramach repatriacji, z matką i ojczymem, wróciła do Polski. Po ukończeniu średniej szkoły farmaceutycznej w Warszawie zamieszkała z rodzicami w Raciążu i pracowała w aptece. 19 maja 2005 r. została pochowana na cmentarzu w Raciążu.

## **IRENA OLIZAR**

**(tekst relacji nagranej w 1989 roku w Raciążu**

**przez M. Giżejewską)**

Urodziłam się 23 sierpnia 1926 roku w małym miasteczku – Łunna nad Niemnem, w pobliżu Grodna. Dziadkowie mieli mały własny domek z ogródkiem. Mieszkałam tam z mamą. Moja mama była niezamożna, ale bardzo ładna. Wyszła za mąż za Polaka, który przyjechał ze Stanów Zjednoczonych. Małżeństwo to jednak trwało krótko – mój ojciec wyjechał do Stanów zaledwie parę tygodni po ślubie i potem bardzo mało mamie pomagał. Tak więc mieszkaliśmy we dwie z mamą u dziadków. Dla mnie najukochańszy był mój dziadek. Gdy byłam mała, to na pytanie kto jest dla ciebie najlepszy, odpowiadałam dyplomatycznie: „Jak nie ma dziadka, to i babcia dobra. A gdy nie ma babci – to i mama dobra”. Ogród i kwitnący sad do dziś wspominam, takie były piękne. Dziadziuś zajmował się pszczołami i ogrodnictwem.

Do szkoły chodziłam w Łunnie. Wkrótce potem, po śmierci ojca, który zginął w wypadku w Chicago, mama wyszła za mąż po raz drugi i wyjechała do Świsłoczy k/ Wołkowyska, małego, zabytkowego miasteczka, dawnej posiadłości Tyszkiewiczów. W ich trzynastokrzydłowym pałacu mieściło się wówczas gimnazjum koedukacyjne im. Traugutta. Przed laty uczył się w Świsłoczy R. Traugutt. Chodziłam tam do szkoły i był to chyba najprzyjemniejszy okres w moim dzieciństwie, bo szkoła mnie całkowicie pochłaniała. Nauczyciele wychowywali nas bardzo patriotycznie, a ja do wszystkiego się włączałam. Najpierw – do zuchów, mimo że mama nie bardzo się na to zgadzała. Pamiętam przyrzeczenie zuchów, na którym wręczano gwiazdki. Ja niedawno przyjechałam i nie miałam jeszcze mundurka. Ale nauczycielka była mądra i wyrozumiała, pozwoliła mi przyjść w czarnym fartuchu. Dostałam gwiazdkę – i mama skapitulowała. Potem należałam oczywiście do harcerstwa. Mając 13 lat byłam już zastępową – jedyną w tym wieku w drużynie. Dobrze się uczyłam – przez całą szkołę powszechną

nie miałam żadnej trójki. Przez pewien czas byłam prymuską w szkole (nie w klasie).

W 1939 roku na wiosnę zdawałam egzamin do gimnazjum – było to bardzo duże przeżycie. Zdałam jednak bardzo dobrze. W maju miałyśmy przyrzeczenie harcerskie – dostałam krzyż harcerski, który jakimś cudem ocalał z pożarów i konfiskaty mienia – mam go do dziś, ale legitymacji nie zdążyli nam wręczyć – wybuchła wojna. Na wakacje pojechaliśmy z przyrodnim bratem do babci do Łunny. Tam przeżyliśmy początek wojny. Był piątek. Widziałam lecące samoloty – najpierw z biało-czerwoną kratą, potem ze swastyką. Było to straszne, ale cały czas nie wierzyłam, by Polska mogła przegrać w tej wojnie. Do Świsłoczy nie można już było potem normalnie dojechać. Przyjechał ojczym i z nim wracaliśmy do domu różnymi środkami lokomocji. Po drodze trzeba było wysiadać i chować się w rowach, bo samoloty niemieckie ostrzeliwały wsie i pola. W Świsłoczy rok szkolny zacząć się dopiero 9 września. Ale na krótko była to polska szkoła. Pamiętam, jak czekaliśmy na wejście Niemców. Ojczym z synem uciekli na wschód, a ja zostałam z mamą. Pewnego dnia poszliśmy do magistratu i tam spotkałyśmy ułana – pięknego mężczyznę, ale śmiertelnie zmęczonego po potyczce z Niemcami. Zabili mu konia, on wziął siodło i przyszedł do Świsłoczy prosić o kwaterę. Ja to usłyszałam, zaczęłam nalegać, żebyśmy wzięły do siebie tego ułana. Wyperswadowano mi to jednak tłumacząc, że z naszego domu trudniej by mu było uciekać jak przyjdą Niemcy. Tego dnia kładłam się spać ze świadomością, że jutro przyjdą do nas Niemcy i że Polska traci niepodległość. Było to straszne przeżycie, do dzisiaj potrafię się w nie wczuć. Po paru dniach wrócił ojczym z synem, ponieważ dowiedzieli się przez radio, że Rosja wkracza na nasze tereny. Po 17 września odkryłam, że ludzie, o których zupełnie inaczej dotąd myślałam, chodzą w czerwonych opaskach – okazali się komunistami. Byli wśród nich nasi znajomi – do tej pory bardzo przyjacielscy, m.in. Rosjanin, który podszedł do nas i z radością oznajmił mamie, że idą bolszewicy. Byłam wściekła na niego. Nie chodziło mi jednak konkretnie o bolszewików, tylko o tych, którzy zdradziecko zaatakowali nasz kraj. Wychowano nas patriotycznie, ale bez szowinizmu, nie nastawiano przeciwko komuś, zwłaszcza sąsiadom.

18 września przyszli bolszewicy. Przed nimi przez Świsłocz przejechali żołnierze z III-go pułku strzelców konnych z Wołkowyska. Wracali z frontu do swoich koszarów, ale okazało się, że koszarzy zostały już rozgrabione przez miejscową ludność niepolską. Uciekali więc na południe. Zaraz po ich przejechaniu przez bramę miejską, Białorusini i Żydzi z czerwonymi opaskami witali sowiecki czołg. Pamiętam kiosk z gazetami, który prowadził inwalida – bez nóg. On to wdrapał się na kiosk i własnoręcznie zawiesił na nim czerwoną flagę. Czołg gonił ten oddział strzelców i dogonił ich jeszcze w Świsłoczy. Widziałam, jak klapa czołgu się otwiera i jakiś żołnierz wychyla się i mówi

po polsku: „Panowie, poddajcie się”. A oficer do swoich żołnierzy: „Na koń”. Żołnierze zaczęli uciekać ulicą Kraszewskiego, na końcu której był nieczynny kościółek unicki. Za tym kościółkiem Rosjanie ich dogonili i pobili. Było kilku rannych – zaniósł im potem jedzenie do szpitala. Jeszcze w 1939 roku NKWD wyrzuciło nas z mieszkania, w którym zamieszkał naczelnik tego urzędu, ojczyzna zaś usunięto z pracy. Ponieważ nie mieli fachowca – po miesiącu ojciec wrócił do pracy. Zamieszkaliśmy w mniejszym i skromniejszym mieszkaniu u znajomych.

W szkole do Bożego Narodzenia byli jeszcze nasi nauczyciele. Natomiast w II-gim półroczu przyszli nauczyciele rosyjscy nie znający zupełnie języka polskiego – my rosyjskiego, więc z konieczności musieliśmy się uczyć rosyjskiego. Szkoła była białoruska, lecz ani my ani nauczyciele nie znaliśmy tego języka, panował rosyjski. I już poziom nauki był nie ten i chęć do niej nie ta. Miałam wówczas już trójki. Nie dlatego, że nie potrafiłam opanować materiału, ale nie chciałam się tego uczyć. Tak trwało do 22 czerwca 1941 roku, kiedy tym razem Niemcy napadli i Rosjanie uciekali w popłochu, często nawet w bieliźnie. Przedtem były wywozy – wiele rodzin wywieziono do Rosji, wśród nich nasze koleżanki i kolegów szkolnych z rodzicami. Wywożenia zaczęły się już w lutym 1940 roku, a zima była wówczas bardzo sroga, dużo śniegu, do - 25°C mrozu. Upatrzonym uprzednio ofiarom NKWD dawało się 1-2 godzin czasu na spakowanie rzeczy, odbywało się to zawsze w nocy. Następnie całą rodzinę wraz z dziećmi i starcami oraz zebrany w popłochu ręcznym bagażem ładowano pod konwojem do bydłowych nieopalanых wagonów. Dorosłych mężczyzn aresztowano i odprawiano do łagrów, a ich rodziny w zaplombowanych wagonach – w głąb Rosji, najczęściej do Kazachstanu. Dzieci i ludzie starzy często zamarzali w tych strasznych warunkach, nie wytrzymywali „luksusu” tej podróży. Wówczas ich trupy wyrzucano bez żenady do tajgi na pożarcie wilków. Następną falę wywozów nastąpiła w kwietniu 1940 roku według znanego już scenariusza. W 1941 roku w maju i w czerwcu tuż przed wojną hitlerowsko-stalinowską znowu wznowiono wywozy. W tej turze też byliśmy na liście, wyznaczono nasz transport na piątek 27 czerwca – tuż po wybuchu wojny. Świadczyły o tym znalezione potem spisy. Tego okrucieństwa nie zdążyli jednak wykonać na nas i sporej części ludności polskiej. Wojna wybuchła 22.06.1941 roku. Od początku wojny spaliliśmy stale w ubraniach czekając na odwety ze strony bolszewików, jakimi grozili. Wojska rosyjskie nie chciały zabierać „swoich”, czyli rodzin rosyjskich, które błagały, żeby ich oficerowie zabrali przed Niemcami. Pamiętam te płaczące kobiety z dziećmi, niektórym udało się dostać na wojskowe ciężarówki... Pamiętam, że dziecko jednej z kobiet nie chciało za żadne skarby wejść na ciężarówkę i zostało z matką. Potem okazało się, że tę ciężarówkę kilka kilometrów za miastem zbombardowano i wszyscy zginęli... dziecko widocznie to czuło.

W czerwcu 1941 roku siedzieliśmy w piwnicy u sąsiadów, chroniąc się przed niemieckimi nalotami i ostrzałem artylerii. Artyleria niemiecka bombardowała Świsłocz przez 10 godzin, wieczorem Niemcy zajęli miasto. Myśleliśmy, że tej nocy będzie można normalnie się przespać. Rozebraliśmy się i poszliśmy spać. Tymczasem nad ranem obudził nas jakiś straszny huk. Zerwałam się, patrzę, a wokół unosi się chmura pyłu i z pokoju widać niebo. Okazało się, że przez pomyłkę Niemcy zbombardowali swoich, w tym dom naszego gospodarza. Pył, huk, strach. Byliśmy rozebrani, więc chwyciłam mamy jesionkę (a był wówczas upał) i wszyscy zeszliśmy do piwnicy gospodarza, bo do naszej już nie zdążyliśmy (była dalej). Pełno było szkła, pokrwawiliśmy sobie nogi. W tym czasie ojczym wyszedł i rozmawiał ze swoim pracownikiem z apteki, dzielił ich tylko płot. W pewnej chwili tamten padł zabity, a ojciec został ... cały. Zaraz potem bomba uderzyła za dom i odłamek uderzył w naszą piwnicę – tę, do której nie zdążyliśmy dojść, a w której schronił się gospodarz z narzeczoną. Dziewczyna została zabita...

W domu zaczął się pożar. Ojczym z synem powyrzucali z domu pościel i trochę rzeczy do leja po bombie, wprost z okna i tylko tyle nam zostało, bo wszystko zaraz spłonęło. Uciekliśmy przez zgliszcza i dymy do gospodarstwa znajomych – pp. Szaciłowskich. Ja byłam tylko w koszuli i jesionce, ale moja koleżanka, która ubrała się w dwie sukienki w trakcie ucieczki – dała mi jedną. Wieczorem Niemcy zaczęli ustawiać armaty tuż pod oknami, w krzakach bzu. Całą noc trwała kanonada. Siedzieliśmy w piwnicy, nic nam się nie stało, ale strachu było sporo. Następnego dnia przyszła olbrzymia burza – grzmoty, ulewa, ale tego już słuchałam z przyjemnością i od tego czasu nie boję się burzy.

Niemcy zostali na tamtych terenach do 1944 roku. My jednak długo nie mieszkaliśmy w Świsłoczy – na szczęście, bo Niemcy w 1943 roku bardzo wielu Polaków rozstrzelali z namowy komitetu Białoruskiego (była to organizacja proniemiecka i bardzo antypolska). PP Szaciłowscy, u których schroniliśmy się po bombardowaniu, również zostali rozstrzelani, ksiądz, nauczycielstwo, nasi koledzy i koleżanki – głównie polska inteligencja. Przed wojną nie odczuwało się antagonizmów narodowościowych, zwłaszcza z Białorusinami, chodzili z nami do szkoły, byli w naszym harcerstwie. A potem donosili niektórzy na swoich kolegów, wtrącali ich do sowieckich więzień.

Po tym nalocie i zniszczeniu domu ludzie przynosili nam różne rzeczy w prezencie, bo przecież nic nie mieliśmy oprócz pościeli. W końcu ojciec zdecydował, że pojedziemy do Łunny, gdzie mieszkali jego rodzice i mamy. Do Wołkowyska dojechaliśmy koleją, potem 22 km pieszo i wreszcie jakąś furmanką. Okazało się, że rodziców ojca bolszewicy wywieźli razem z wnuczką. Ojciec na wszelki wypadek wysłał furmankę po staruszków, ponieważ chodziły słuchy o rozbitych wagonach z ludźmi. Po kilku dniach

starszowie wrócili spod Lidy – transport ludzi Niemcy rzeczywiście zbombardowali, a bolszewicy uciekli w popłochu.

W czasie okupacji niemieckiej przyjeżdżali różni ludzie z kraju, wielu łączników z AK. Zaczęła się organizacja lokalnych oddziałów AK. Każdy szanujący się Polak musiał do nich należeć. Ja oczywiście też – jako harcerka. Początkowo nosiliśmy opatrunki dla rannych żołnierzy. Niemcy zabraniali sprzedaży w aptece opatrunków i leków dezynfekujących. Każdego, kto je kupował należało zameldować w żandarmerii. Dookoła Łunny była partyzantka polska, sowiecka również. Granica Ostpreissen-Ostland biegła przez Niemen i na drugą stronę było raczej trudno się przedostać, zwłaszcza, że most był zerwany. Przez Niemen kursował prom. Przewoziliśmy opatrunki, bibułę, leki. Do szkoły wtedy nie chodziliśmy, uczyłam się prywatnie u pani Wincenty Falkowskiej. Poza tym pracowałam (żeby mnie nie wywieźli do Niemiec) w aptece mojego dziadka, ojca ojczyma. Realizowałam recepty, była to zupełnie poważna praca. Mimo wszystko i tak chcieli mnie wywieźć. Musiałam uciekać do miasteczka Roś, oddalonego o 24 km od Łunny, gdzie też pracowałam w aptece, również przy wykonywaniu recept. Na niedzielę jechałam na rowerze do domu. Było tam towarzystwo – 3 panów: lekarz, jego brat – student medycyny i syn właściciela pobliskiego majątku, wówczas nasz plutonowy ps. „Brzoza”. Przychodzili do nas na karty (oficjalnie). Było to trochę niebezpieczne, bo Niemcy chodzili po domach i sprawdzali wszystkich. Ale dzięki temu, że mama dobrze znała niemiecki, mieli do nas inne podejście. W pobliżu Łunny mieszkał lekarz – Rosjanin, który działał w Komitecie Białoruskim i knuł spiski przeciwko Polakom. Powiedział nam o tym później żandarm niemiecki – okrutny człowiek, który kazał nas inwigilować. Potem już żandarm opowiadał, że lekarz zasypywał go donosami, zwłaszcza o nas, np. o tym, że w naszym domu działa tajna organizacja. Jakoś się z tego wykręciliśmy, mimo, że żandarm często nas odwiedzał o różnych porach dnia. W końcu lekarz musiał wyjechać – jakoby uciekał przed partyzantami. A u nas bywało kilku podoficerów, których mama ostrzegła. Dzięki temu w Łunnie było mało ofiar.

W 1944 roku front zaczął się przesuwac na zachód i Niemcy uciekali. Nasz dom z apteką stał przy szosie, widzieliśmy jak Niemcy pędzili rosyjskich jeńców. Strasznie się z nimi obchodzili – zupełnie jak z bydłem, a ci ludzie byli brudni, głodni. Ja z okna zaczęłam rzucać im chleb, o który jeńcy błagali między sobą, a Niemcy biblii ich za to wszystkich. Przestałam więc rzucać. Były to okropne sceny. Rosjanie również źle obchodzili się później z jeńcami niemieckimi, tamtych również dokarmałam w miarę możliwości, uważałam, że to są wszak ludzie.

Łunna została zajęta przez wojska rosyjskie w 15 lipca 1944 roku. Ale przedtem cała rodzina, prócz ojca wyjechała na wieś. Niemcy kazali ojcu spakować wszystko w



aptece, bo chcieli go zabrać ze sobą. Ojciec jednak uciekł, a Niemcy podpalili aptekę i nie pozwolili jej nikomu ratować. A był to dorobek całego życia dziadka. Bardzo to przeżył, ale i tak sowietci by to zabrali. Musieliśmy jakoś dalej żyć. Ojciec ze swoim bratem zorganizowali aptekę z leków, które się uratowały w piwnicy. Apteka była już jednak państwowa.

Po drugim wkroczeniu Sowietów panowało przygnębienie, nie było już tylu morderstw, jak w czasie pierwszej inwazji (np. w 1939 roku rozstrzelano na oczach całej rodziny posła na sejm, kalekę – p. Boładzia i wielu innych, głównie właścicieli majątków, których zwali „pomieszczyki”). Ale po „wyzwoleniu” Rosjanie byli też straszni. 12-ego i 13-ego grudnia 1944 roku Rosjanie postanowili oczyścić sobie tyły i aresztowali wszystkich Polaków od Wilna aż po Stanisławów i Terespol – wszystkich mężczyzn, m.in. niektórych Białorusinów. Ojca, jego brata i syna wywieziono do obozu. Zostałyśmy same. Mama nigdy nie pracowała zawodowo jak zresztą większość kobiet przed II wojną, więc musiałam pracować ja, aby rodzinę utrzymać. Pracowałam w aptece. A jeszcze musiałam wysyłać paczki do obozu. Dziadek prowadził księgowość w aptece, nie tak jednak jak sobie życzyli bolszewicy. Zawiozłam kiedyś sporządzone przez niego sprawozdanie do Grodna, a tam zaczęli wydziwiać: jak ten wasz dziad prowadzi księgowość, co on tam wyczynia, to nic, że on ma 86 lat, on jeszcze może siedzieć w więzieniu. Przeraziłam się i zaczęłam ja sama to prowadzić, mimo, że nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Pytałam się różnych znajomych i wreszcie tak się wyćwiczyłam, że byłam najlepszą księgową w całym rejonie, a miałam 18 lat. Oboje z dziadkiem pracowaliśmy w aptece jako pracownicy państwowi. Musiałam przecież zarobić na rodzinę i na paczki do obozu. A wszystko znowu straciliśmy. Dziadek był farmaceutą o dużym stażu, mógł więc być kierownikiem apteki, mimo zaawansowanego wieku, ja nie miałam wykształcenia, ale byłam młoda, sprytna i już przez 3 lata pracowałam w aptece. Zarząd Aptek zaś nie miał farmaceutów, wszyscy byli w wojsku – trwała wojna. Z konieczności zaakceptowali więc nasz nietypowy „duet”. Towary do apteki woziło się ze stacji w Grodnie – koleją, a potem na plecach 6 km. Najtrudniejsze było jednak wysyłanie tych paczek do obozu, bo nie chcieli przyjmować. Ja znalazłam jednak takie „źródło”, dawałam łapówki i moje paczki zawsze dochodziły. Tak ciągnęło się to dwa lata, dopóki ojczym nie wrócił. Brat po powrocie z łagru, już po roku szybko się ożenił i wyjechał do Polski. My zostaliśmy. Mieszkałam w Grodnie, gdzie brałam korepetycje, w ciągu roku szkolnego przerobiłam cztery klasy i zdałam maturę jako eksternistka w rosyjskiej szkole średniej. Znałam już dobrze rosyjski. Jeszcze w trakcie nauki zaczęto mnie wzywać na przesłuchania do NKWD. Po przesłuchaniach, które z reguły odbywały się w nocy, odprowadzali mnie do domu – i to mnie najbardziej denerwowało. A korespondowałam wtedy z jednym z tych trzech panów – panem Tarasowiczem

„Brzozą”. Listy były oczywiście czytane i często zatrzymywane. Na przesłuchaniach pytali mnie o niego – siedział wtedy w obozie w Komi – za co siedzi, a jeśli nie wiem to mam się dowiedzieć. Odpowiadałam, że to mnie nie interesuje, jak chcą, to niech sami się dowiedzą. Śledczy: to znaczy, że nie chcecie nam pomóc? Ja: ja wam pomóc? Wykluczone! Wzięli mnie wtedy w trzy ognie: czym się zajmuję, czym się interesuję, co wiem o różnych naszych znajomych itp. Powiedziałam, że teraz interesuję się tylko książkami i zaczęłam wymieniać mnóstwo książek, które przeczytałam. Śledczy powiedział, że starczy, więc następne pytanie: kogo znam z wcześniejszych aresztowanych? Zaczęłam wymieniać tych, którzy zmarli w obozach. A on znowu na mnie popatrzył i powiedział: starczy. Mnie jedną z całej naszej grupy wywieźli potem na Kołymę, to znaczy tam, skąd się nigdy nie wraca, jedną tylko miałam korzyść z tego śledztwa: nigdy więcej nie proponowano mi „współpracy”.

Po zrobieniu matury chciałam zdawać na psychologię, ale w Grodnie wydziału nie było, więc do Instytutu Pedagogicznego na Wydział Języków Obcych przyjęto mnie w 1948 roku. I dokumenty, które złożyłam przeleżały tam aż do mojego powrotu z obozów. Przetęńczyłam bal maturalny, byli na nim bardzo mili koledzy (Rosjanie), którzy mi pomagali na maturze, m.in. dostałam ściągę z historii partii. Na wyciągnięty przeze mnie bilet z trzema pytaniami nie znałam odpowiedzi. Jeden z kolegów przez okno się o tym dowiedział od innych kolegów i choć nie miał zdawać w tym dniu, przyszedł, żeby przynieść mi ściągę.

17 sierpnia 1948 roku przyszło NKWD i aresztowało nas wszystkich, ojczyma, matkę i mnie bez żadnych zarzutów. Był jeszcze 8-letni chłopak – wychowanek rodziców, któremu zostawiłam pierścionek i zegarek z poleceniem oddania go babci. Zaprowadzili nas – wszystkich z AK do ciężarówki. Przejeżdżaliśmy koło domu dziadków, zobaczyli nas, przeszli na skrót do promu, tam siedzieli i płakali. Już więcej Dziadka nie widziałam, to było moje ostatnie spotkanie z Nim.

Zawieźli nas do Grodna, do piwnic MWD i po dwóch dniach przesłuchań – aresztowali. Okazało się, że zostaliśmy wydani przez członka naszej organizacji, jednego spośród nas. Był sekretarzem drużyny i wydał wszystkie dokumenty jakie posiadał, z nazwiskami, adresami, pseudonimami. Swoją drogą dużo ludzi z AK wpadło z powodu takiego rozporządzenia nie tylko w Łunnie i nie tylko na skutek zdrady.

Chcieli jeszcze na nasze głowy rzucić inną sprawę. W okolicach Łunny pewien milicjant śledził partyzantów i oni go w końcu zastrzelili. Ja tylko tyle miałam z tym wspólnego, że widziałam jego pogrzeb w Grodnie. Ale oni pokojarzyli ze sobą różne fakty: wykryli tajną organizację i zabójstwo zwalili na jej barki, bo partyzantka była

nieuchwytna. A winowajca musiał być. W naszym miejscowym AK było około 60 osób, wykryli tylko 19.

Zawieźli nas do piwnic i zaczęło się śledztwo, bardzo uciążliwe, bo nie można było spać – w dzień nie wolno było, a w nocy przesłuchiwali – wzywali po 3-4 razy w ciągu nocy lub przez całą noc prowadzili śledztwo. Nic z nas nie wydusili. Ja stawiałam się mocno, w ogóle się nie bałam. Na przykład śledczy mówi: „Wasi oficerowie tylko damy zabawiać potrafią”. To już było po Katyniu, o którym wiedzieliśmy, więc powiedziałam: „Co? Damy zabawiać? Niech mi kto pokaże waleczniejszego w świecie żołnierza od polskiego”. – „No cóż, waszej Polski za trzy tygodnie nie stało” – A ja na to: „Bo wyście nam nóż w plecy wsadzili, napadli zdradziecko”. A dlaczego to wy – tylko od jednego Niemca – aż pod Moskwę uciekaliście? – „No, ale myśmy potem zwyciężyli”. – „Tak? Zwyciężyliście. Dojechaliście na amerykańskiej tuszonce i na amerykańskiej broni”. Śledczy stracił rezon i zaczął mówić już innym tonem. Po takiej wymianie zdań spodziewałam się strasznego bicia i ku mojemu ogólnemu zdziwieniu śledczy zostawił mnie samą w pokoju (czego nie wolno było robić) i wyszedł. Dopiero po pewnym czasie przyszedł drugi. Wszyscy przyznaliśmy się do AK, ale niczego innego się nie dowiedzieli. Wszak dokumenty już były u nich, nie było więc sensu upierać się i znosić tortury.

Torturowany tylko był nasz plutonowy „Sęp”, ponieważ miał broń i na niego chcieli rzucić zabójstwo milicjanta. („Brzoza” już był aresztowany). Tak go zbili, zmasakrowali, że po 8 dniach jego rodzona siostra go nie poznała. Siostra ta przechowywała jego broń, jakiś nagan. Gdy wezwali ją na świadka i skonfrontowali z bratem, śledczy zapytał: „Znacie tego człowieka?”, a ona mówi, że nie. I dopiero, gdy brat odezwał się głosem jak z podziemi – „Mila, oddaj broń” – rozpoznała go. Jak wróciła potem do celi, to myślałam, że ta kobieta straci zmysły, taka była przerażona tą masakrą.

Mnie jednak nie bili, tylko męczyli psychicznie, głodzili. Paczki dostawaliśmy dopiero po zakończeniu śledztwa. Ojczyzna wypuścili po 10 dniach, a nas z matką zatrzymano i sądzono z tego samego paragrafu białoruskiego kk 63-1, 70 i 76, co znaczyło: zdradę ojczyzny, terror i przynależność do wrogiej organizacji.

Zaczął się proces. Najpierw podpisano papiery u prokuratora. Sądził nas sąd wojskowy – Wojenny Trybunał – w październiku 1948 roku. Z 19 osób 15 dostało najwyższy wymiar kary czyli wyrok śmierci z zamianą na 25 lat pracy w ciężkich obozach plus 5 lat pozbawienia praw i konfiskatę mienia, 2 osoby – po 10 lat łagrów i 2 zwolniono. Kara śmierci była wtedy zawieszona. Mama i ja też dostałyśmy karę po 25 lat. Zawieźli nas do śledczego więzienia. Jeszcze przed zakończeniem śledztwa zawieźli

mnie do piwnic MWD i zaczęli wałkować sprawy, o których absolutnie nie powinni byli wiedzieć. O dostarczaniu leków i opatrunków partyzantom w okolicy jednej szlacheckiej wsi, w której wszyscy należeli do AK. Przeraziłam się, że ich wykryją, zaprzeczyłam wszystkiemu i o dziwo dali mi spokój. O tym jednak mogła wiedzieć tylko moja mama i człowiek, który te leki odbierał. Potem okazało się, że moja mama, doprowadzona do obłądu, musiała im coś powiedzieć.

W więzieniu dawali jakieś środki odurzające, po których ludzie mówili wszystko. Stwierdziłam to na przykładzie mojej mamy i wielu jeszcze innych osób, które były obłąkane, w stanie furii. I ja sama po tym więzieniu okropnie straciłam pamięć tak, że dopiero po 6 latach zaczęłam sobie przypominać osoby, rozmowy, fakty i powoli zaczęłam czytać. W ciągu tych sześciu lat czytanie sprawiało mi ból głowy, wprowadzało w psychiczny zamęt. Pamiętam, że dostałam zastrzyk, rzekomo przeciw durowi. Dlatego przypuszczam, że oni do jedzenia lub w innej postaci dawali jakieś trucizny (skopolamina?), a mamę zastraszała, pokazując jej buteleczkę: mów, bo widzisz, co zaraz dostaniesz. Mamę posadzili w celi obok mnie, słyszałam, jak się zachowywała, śpiewała, szalała, wykrzykiwała. To było straszne, przedtem była zdrowa. Lekarka zaszepiona przeze mnie, na pytanie co zrobili z moją mamą, odpowiedziała lekceważąco, że to chwilowa psychoza. Wówczas zrozumiałam, że chcieli od niej wydana AK z całej wsi, a ja to miałam potwierdzić. Zdziwiłam się nawet, że mnie nie torturowali, oni jednak wiedzieli, że to były zeznania osoby obłąkanej.

W więzieniu odebrano nam medaliki, paski, sznurowadła, szpilki do włosów i ostre rzeczy. Kiedyś kazano nam sprzątnąć dyżurkę, w której przedtem rewidowano grupę złapanych partyzantów. W kącie leżał cały stos medalików, ostrych narzędzi, sznurowadeł. Kazano nam to wyrzucić. Pilnował nas strażnik więzienny. W pewnym momencie, myśląc, że on na mnie nie patrzy, schyliłam się i wzięłam jeden medalik. Zaraz krzyknął: pokaż co wzięłaś? Ja na to, że nic. Wiedziałam, że on nie może mnie zrewidować, a zanim przyjdzie kobieta, już nic nie będę miała. Więc mi powiedział: jeśli mi pokażesz, co wzięłaś to ci to oddam. Nie miałam wielkiego wyboru, pokazałam medalik, a dozorca: weź sobie. Zaszylałam ten medalik w kołnierzu płaszczka, przeszedł jakimś cudem przez wszystkie rewizje, a te były bardzo szczegółowe, sprawdzano każdy szew w ubraniu i wrócił ze mną do domu. Mam go do dzisiaj i uważam prawie za relikwię.

W styczniu 1949 roku zostałam wywieziona na etap. Cała podróż trwała miesiąc, zatrzymywaliśmy się m.in. w Orszy, w Moskwie, w Kazaniu, Świerdłowsku, Nowosybirsku i wreszcie dotarliśmy do Tajsztetu. Najpierw do obozu przejściowego, potem do zwykłego, na 112 kilometrów, licząc od Tajsztetu, wzdłuż linii kolejowej, prowadzącej do

Bracka odległego o około 300 kilometrów. W tym obozie przebywali przed nami jeńcy japońscy. Było więc względnie czysto, dużo dekoracji z białej brzozy. W porównaniu do innych obozów było wspaniale. Spotkałam tam wiele Polek, m.in. Teresę Skalską. Były tam same polityczne, bo był to obóz „specjalnego reżimu” (łagiera osobowo reżima). W tym obozie mieliśmy paskudnego naczelnika reżimu.

Około 75% więźniarek było Ukrainkami, również polityczne, skazane za zdradę ojczyzny, tzw. Banderówki. W naszym baraku było kilka tylko złodziejek, recydywistek. Ukrainki często pięknie śpiewały, m.in. pieśń ze słowami, że „Kijów będzie stolicą, a Moskwa powali się”. Słyszały to te bandytki, doniosły naczelnikowi obozu i cały nasz barak – około 150 osób zamknięto, tzn. wyprowadzano nas na dzień do pracy, ale zaraz po powrocie zamykano na zamki. Do środka wstawiano ogromny pararóg, który trzeba było rano wynosić. Błatniaczki wydały trzy dziewczyny, które to śpiewały. Zostały zabrane do karceru, gdzie wpuszczano bandytki, żeby je bić. Przez pewien czas nie wiedziałyśmy, kto doniósł, Ukrainki patrzyły na mnie podejrzliwie, bo siedziałam obok śpiewających. Powiedziałam im, że po pierwsze wiedzą, że ja nie donoszę, po drugie – bardzo lubię ich pieśni, choć nie zawsze rozumiałam słowa, tylko słuchałam melodii i tym razem nie zwróciłam uwagi na nie, a po trzecie – nie miałabym nic przeciwko temu, żeby „powaliła się Moskwa”. Potem doszliśmy do tego, kto wydał. Tamte dziewczyny dostały, biedne, nowy wyrok. A nas trzymano miesiąc w takim rygorze, z rewizjami baraku i osobistymi.

Pewnego dnia dostałam paczkę z domu, w której były ciastka, w tekturowym, białym pudełku. Dziewczyny namówiły mnie, żeby z tego pudełka zrobić karty do wróżenia. Te, które umiały ładnie rysować, zrobiły talię kolorowymi farbami (wykradzionymi z jakiegoś warsztatu). Talia ta służyła do wróżenia i wędrowała po całym baraku, Nagle rewizja, kazano nam wyjść z baraku. Wsunęłam te karty do rękawa, a byłam jeszcze wtedy niedoświadczonym więźniem. Przed barakiem zobaczyłam naczelnika reżimu. Cofnęłam się więc, żeby gdzieś w baraku karty schować, ale tam już była rewizja. Wsadziłam więc je za drzwi, lecz naczelnik wszedł zaraz za mną i oczywiście natychmiast te karty znalazł. Stałam przy baraku i czekałam, co będzie dalej. Naczelnik wyszedł, podniósł karty do góry i zapytał, czyje są. Odpowiedziałam od razu, że moje – nie chciałam, żeby znów cały barak odbywał karę zamknięcia – a on się zdziwił i zapytał: wasze? i kazał wystąpić z szeregu. Stoję i denerwuję się (a byłam przekonana, że czeka mnie karcer), czy cały barak przez to nie będzie cierpieć. Dopiero po rewizji osobistej całej kolumny więźniarek nastąpiło zdumiewające dla mnie rozwiązanie. Naczelnik zaczął krzyczeć na jakąś Rosjankę (już nie pamiętam za co), że: „po co to kłamać, ot człowiek się przyznał. I ja mu darowałam.” A tę Rosjankę od razu zapędził

do karceru. Ze mną jednak zaczął śledztwo. „Po co wam były te karty? „Wyście pewno mnie chciały przegrać w karty?” – a ja jeszcze wtedy nie znałam zwyczajów u kryminalistów i zdumiona tłumaczyłam mu, że myśmy tylko wróżyły. W końcu ostentacyjnie podarł karty, a mi się ich żal zrobiło. Ale żadnej kary za to nie dostałam.

Po pracy chodiliśmy do lasu – rąbać drzewo. Chodiliśmy także nad rzekę Czuzsza, nad którą był most kolejowy, a pod nim jeszcze nie rozebrane rusztowania z ciężkich, grubych kołców drewnianych. Kazano nam je rozebrać. Pewnego razu, gdy kilka dziewcząt pracowało na górze, wszystko się zawaliło i dziewczyny spadły na ziemię. Jedna z nich miała połamaną miednicę, ale reszcie nic się nie stało. Ja z innymi więźniarkami znajdowałam się wówczas pod mostem. W ostatniej chwili zdążyliśmy uciec przed spadającym rusztowaniem.

W obozie na 112 km było jedzenie dość znośne, podstawą był chleb, zdarzało się jednak, że dostawałyśmy także odrobinę mięsa. Przed Wielkanocą postanowiłam pościć w Wielki Piątek i nie jeść chleba. Ale już przy powrocie z pracy koleżanki mnie prowadziły, bo nie miałam siły iść. I więcej tego nie robiłam, zrozumiałam, że w takim obozie codziennie jest Wielki Piątek.

17 czerwca pojawiły się stada, miliony złośliwych muszek, które oprócz tego, że dosłownie wyżerały nam dziury we wszystkich odkrytych miejscach, to jeszcze okropnie działały na nerwy, ich jad tak musiał działać. Te bestie boją się tylko wiatru, a w tajdze jest zupełny brak wiatru. Gnębiły nas również z „moszką”, ale te były większe, nie mogły więc przejść przez tiul, tzw. „nakomarnik”. Oprócz tego plaga komarów trwała tam około 6 tygodni, wówczas kiedy „moszka” – przez całe syberyjskie lato, jeszcze w październiku latały pojedyncze natręty.

Po pewnym czasie wywieziono mnie na wschód, na 238 km (od Tajszetu) w kierunku Bracka. Był to obóz karny, dużo ostrzejszy niż poprzedni. Może wystali mnie tam za moje sprzeciwy, zdecydowaną postawę kontra oprawcom radzieckim. W sądzie w „ostatnim słowie” powiedziałam, że żałuję iż za mało zrobiłam, jeśli chodzi o działalność w AK.

Na tym 238 km zaczęła się makabra. Ten okres jest dla mnie jak makabryczny sen – najgorszy okres życia obozowego. Było nas tam 500. Karmiono tak, że trzodzie chlewnej mogłyśmy zazdrościć jedzenia. Było to lato syberyjskie – sierpień... Jedzenia, chleb nalewany do formy, rzadki – jak go zdusić, to leciała z niego woda. Zupa okropna – zaprawiana (zamiast tłuszczem) proszkiem rybnym cuchnącym, gorzkim, okropnym do tego stopnia, że prosiłyśmy, żeby nam tego nie dawano, a jeśli już trzeba, to żeby dawali osobno, bo to wszystko razem było niejadalne nawet w tak strasznych

warunkach. A zupa to była po prostu osolona woda. Raz jedna dziewczyna spośród 30-stu krzyknęła: „Słuchajcie, mamy dziś zupę grochową” – znalazła w niej bowiem dwie łuski grochu... Oprócz tego dostawałyśmy ryby, śledzie i inne, najczęściej z robakami albo zgniłe. Ja tego – mimo głodu nie mogłam jeść.

Praca była ponad ludzkie siły, nie tylko kobiece, ale ludzkie. Kułyśmy skałę wzdłuż linii kolejowej, porządkowałyśmy tak zwane płótno kolejowe. Nie było tam żadnych osiedli, tylko przeprowadzony dopiero co tor kolejowy, trzeba było robić rowy wzdłuż torów i podsypywać szyny. Najgorsze było kucie skały tępymi narzędziami. Tę skałę wysadzili dopiero wtedy, kiedy już prawie było wszystko gotowe.

Kiedyś cały dzień padał deszcz, suchej nitki na nas nie było. Oprócz tego nie można było nic robić, bo rowy były pełne gliny, która przyczepiała się do nóg razem z okruchami skał i wszystko „wynosiło się” z tych rowów. Przychodzi naczelnik obozu. Brygadierka zwraca się do niego: „Proszę nas zwolnić dzisiaj i puścić do obozu. Jesteśmy zupełnie mokre i ta nasza praca na nic się nie przyda. Lepiej jutro dwie godziny dłużej popracować i zrobić wszystko”. Naczelnik popatrzył na nią i powiedział: „mnie nie potrzebna wasza praca, tylko wasza męka”. Pewnego razu pracowałyśmy przy regulowaniu linii kolejowej. Był tylko jeden tor, naprędcy i byle jak położony. Pociągi tam kursujące ciągle się wywracały i całe składy leżały na poboczach. Kazano więc nam za pomocą lewara podnieść dość długi kawałek toru wraz z podkładami na wysokość powyżej metra i podsypać piaskiem i żwirem. Przed miejscem robót postawiono odpowiedni znak. Aż tu naraz słyszemy nadjeżdżający pociąg z oznakowanej strony, przeraźliwie gwiżdżący i jadący z olbrzymią szybkością. W ostatniej sekundzie zdołałyśmy uskoczyć w bok, a pociąg przeleciał po podniesionym torze ... i nie wykoleił się, zgniół tylko lewar. Przeleciał stację i pędzi dalej, a tu z przeciwnej strony już wyszedł inny pociąg. Na szczęście musiał jechać pod górę i wytracił szybkość, a na stacji stał akurat inny parowóz, który go ściągnął na stację. Okazało się, że przestały działać hamulce i pociąg pędził z góry bez kontroli. Siedzący w wagonach z piaskiem ludzie chowali tylko głowy, nikt z nich nie myślał, że przeżyje. Nie mam pojęcia jak ten pociąg przeleciał po torach w powietrzu i nie wywrócił się, nam w tym wypadku również groziło niebezpieczeństwo.

Służba obozowa była częściowo złożona z kobiet więźniarek, które na ogół nam współczuły. Na 238 km była felczerka – Rosjanka, która starała się nam pomóc. Natomiast władze obozowe były obrzydliwe, męczyli nas na różne sposoby, zwłaszcza głodem i ciężką pracą. Moje koleżanki były do tego stopnia głodne, że chodziły po śmietnikach i wybierały z nich rybie głowy (więcej tam nic nie można było znaleźć). Ja też miałam chęć tak zrobić, ale wstyd mi było przed sobą. Nie mogłam się tak upodlić, bo

przecież jestem Polką i nie mogę sprawić wstydu mojej Ojczyźnie – w żaden sposób.

Racjonowano nam wodę. 50 metrów od obozu płynęła rzeczka, wody nie było w niej dużo, ale można było przywieźć tyle ile trzeba. Przywozili jej jednak zbyt mało, aby nas udręczyć – dostawałyśmy 1 litr dziennie na osobę. Można z nią było robić co się chce – myć się, pić, prać – wszystko z tego 1 litra. Naturalnie, wszystko wypijałyśmy, bo było lato upalne, a praca ciężka. Chowano się czasem trochę wody na zapas, pod prycze, ale inne kobiety zawsze ją wypatrzyły i wypijały. Ja sama chodziłam do kuchni kraść wodę (wszystkie kradłyśmy). Z higieną było okropnie – żarły nas wszy i pluskwy, łaźnia była co 10 dni, ale tam też dostawało się mało wody. Prać nie było wolno. Oddawało się do prania 3 sztuki ubrania, ale „sztuka” to był zarówno biustonosz jak i spodnie.

W lecie w pracy na powietrzu strasznie dokuczała „meszka”. Kiedyś wyszłam tylko w pończochach, nie wiedząc jeszcze, że te bestie jak poczują krew, to się zaraz rzucają całymi chmarami – i dosłownie w ciągu paru minut nie miałam nie pogryzionego miejsca na nogach, często kilkakrotnie gryzły w to samo miejsce. Zamiast nóg miałam więc dwie krwawiące rany. Działo to fatalnie na system nerwowy, jad tych obrzydliwych meszek doprowadzał do szału. Wtedy zdesperowana i wykończona nerwowo postanowiłam, że wyjdę na „zaprietkę” (za strefę oznaczoną tabliczkami, za którą nie było wolno wyjść. Jeśli się wyszło, to konwój strzelał bez uprzedzenia). Wydawało mi się, że już więcej tego nie wytrzymam. I tu okazała się wielka solidarność moich dziewczyn obozowych. Ukrainki wyznaczyły spośród siebie jedną młodszą dziewczynę, której kazały mnie pilnować, żebym nie wyszła poza tę strefę graniczną. Dzięki temu żyję... (nie wiem zupełnie jak uszło uwagi konwojentów, że aż dwie dziewczyny nie pracowały, obie siedziałyśmy).

Nie ulega bowiem wątpliwości, że zastrzeliliby mnie. Byłam świadkiem, jak próbowali zmusić jedną dziewczynę, żeby wyszła poza tę strefę i zastrzelić ją (za coś się naraziła konwojentom), ale postawa nas wszystkich była taka, że im się to nie udało. Po tym wypadku chodziłam już w spodniach.

A oto jak wyglądał dzień pracy w obozie karnym na 238 kilometrze latem. Do pracy chodziło się o świcie. Obiekt pracy był w pobliżu. Wzdłuż toru kolejowego wznosiły się skały. Ponieważ znajdowały się zbyt blisko toru, należało je „oddalić”, a więc kuć za pomocą stępionych kilofów i łomów, wykopać rowy, odłamki skał wywieźć taczkami na pewną odległość. Praca była nieludzko ciężka, ręce do łokci miałyśmy spuchnięte, palce u dłonie nie chciały się zamykać ani otwierać, trzeba było pomagać sobie drugą ręką, aby wykonać jedną z tych czynności. W nocy bolały, nie można było spać.



Do dzisiaj mam uszkodzony palec od tłuczenia łomem w skały. Najgorsze były jednak chmary drobnych meszek, które żywiły się krwią. Napadały więc nas i gryzły. Nie można było zostawić ani skrawka nieodstłoniętego ciała, ponieważ natychmiast wyżerały dziury w ciele, tylko skóra na dłoniach była tak stwardniała, że jej nie mogły przegryźć. Musiałyśmy więc zawiązywać spodnie u dołu, rękawy, na twarz ubierać tzw. „nako-marnik”, czyli czarny worek z grubego materiału z niewielkim kawałkiem tiulu na twarz. Konwojenci mieli „nakomarniki” całe z tiulu, a więc przewiewne. Lata syberyjskie są upalne – w tajdze zupełny brak wiatru i ciężka praca. Pot spływał z nas ciurkiem, wody było brak, duszno niesamowicie. Konwojenci zaganiaли nas do pracy, nie pozwalali na chwilę odpoczynku. Wyznaczyli tzw. „zaprietkę”, czyli linię oznaczoną tabliczkami, której nie wolno było przekroczyć pod karą śmierci. Na załatwienie potrzeb fizjologicznych i odejście w tym celu kilku kroków, należało prosić konwojenta o pozwolenie, on pozwalał albo nie, w zależności od swojego widzimisie, czasami mówił „siadaj tu”, W końcu umęczony i udręczony człowiek wracał do obozu. Tu dostawało się litr wody i jakąś obrzydliwą lurę zwaną bałandą, chleb 700 g. Zgniłą rybę z robakami dostawałyśmy rano. W baraku były przeznaczone dla nas dwie deski na pryczach, bez żadnej pościeli do spania, ubranie, w którym się chodziło do pracy zastępowało ją. W nocy z kolei żarły nas pluskwy, chmara obrzydliwych pluskiew i wszy. Spuchnięte do łokci ręce bolały, nie dawały spać.

W zimie gnębiły nas przeklęte muszki i komary, z wodą zaś było mniej kłopotu, ponieważ topiłyśmy sobie śnieg w znalezionych puszkach po konserwach na piecach – beczkach po benzynie ułożonych poziomo, w których się paliło, jeżeli był opał, tzn. jeżeli pozwolono nam przynieść do obozu kawałek drzewa. Natomiast mrozy dawały się mocno we znaki, dochodziło do ponad  $-60^{\circ}\text{C}$  (nie mogłyśmy tego sprawdzić). Zanim doszło się do pracy, trzeba było kilkakrotnie rozcierać śniegiem zbieleiałe od mrozu policzki, nosy, brody, czoła. Wycieńczone organizmy bez odrobiny tkanki tłuszczowej były szczególnie podatne na odmrożenia. Podobnie było ze stopami w źle wysuszonych walonkach i dłońmi w mokrych rękawiczkach. Szczęśliwie dla mnie nie amputowano mi odmrożonej nogi ani ręki, udało się je rozruszać i w ten sposób rozgrzać. Natomiast przez cały rok schodziła mi poczerniała skóra z twarzy, ze stóp, z dłoni, z ramion od dźwigania ciężkich bali z drzewa, głównie modrzewia, a modrzew jest chyba jedynym tak ciężkim drzewem, że nie daje się spławiać, tonąc w wodzie. Często stawał mi przed oczami obraz Grottgera „Dźwiganie krzyża”. Tam wyobraźnia artysty kazała dorysować krzyż, który dźwigali idący na Sybir polscy powstańcy z 1863 roku, tutaj ten krzyż był autentyczny i bardzo ciężki. Dźwigały go młode, polskie dziewczyny, którym miłość do Ojczyzny kazała stanąć obok ojców i braci i w miarę sił walczyć o Jej wolność.

Pracowałyśmy również przy kuciu kilofami rowów wzdłuż torów kolejowych, w zamrzniętej na skałę ziemi. Do pracy kazano nam chodzić piątkami, trzymając się pod ręce. Na wstępie naczelnik konwoju czytał nam „modlitwę”... iść prosto, nie oglądać się, nie rozmawiać, krok w prawo, krok w lewo, uważam za ucieczkę. Konwój strzela bez uprzedzenia. Zaczęłam chorować z wyczerpania. Robiły mi się wrzody na ciele – do dzisiaj to czuję. Przyjechał pułkownik – lekarz i komisja. Wchodziło się na badanie nago, lekarz stał parę metrów dalej i nie dotykał żadnej z nas, kazał obracać się przodem, tyłem i spytał mnie, dlaczego ja mam obrzęknięte nogi. Odpowiedziałam, że nie wiem. On na to, że to na pewno od pogryzienia przez muszkę. Wyjaśniłam, że ja nie puchnę od meszki (niektórzy puchli bardzo). Lekarz jednak chciał, żeby to była opuchlizna od meszki, więc pokrzyczał, postukał pięścią i kazał zgłosić się do kierowniczkii „sanczasti” – z jego polecenia. Ona natychmiast dała mi zwolnienie z robót poza-obozowych i dostałam pracę w obozie – daleko lżejszą: piłowanie drzewa na opał, pomoc przy kuchni, porządkowanie obozu itp. Ta moja opuchlizna to była cynga (awitaminoza – skorbut). Ale potem zaziębiłam się silnie. Leżałam w baraku, dziewczyny przykrywały mnie czym się dało, a ja miałam takie dreszcze, że pod tymi łachmanami podskakiwałam pod sufit. Była duża gorączka 39-40°C, zapalenie płuc. Dopiero po kilku dniach zabrano mnie do szpitala. Było tam o tyle lepiej, że nie musiałam latać do ubikacji, w baraku leżałam na górnej pryczy i kilka razy w nocy musiałam wychodzić na odległy kraniec obozu poza barak. W szpitalu leżałam parę tygodni. Leżało tam w jednej sali pięć czarnych kościotrupów – spalonych od słońca, z odmrożoną w zimie i latem schodzącą skórą. Po tej chorobie zostałam zupełną „dochodiagą”, tzn. dogorywającą.

W zimie 1950 roku wywieziono nas (63 kobiety) do szpitala na 38 kilometrze – w kierunku Tajszetu. Podróż odbywała się w potwornych warunkach: mróz - 50°C, w nieopalanym towarowym wagonach, bez jedzenia, bez wody do picia. Jechaliśmy trzy doby (mimo, że było to około 100 km), bo odstawiano nas często na bocznice na kilka godzin albo na całą noc. Zamiast ubikacji było korytko wychodzące na zewnątrz. Prycz nie było, więc wszystkie siedziałyśmy na podłodze. Tłoczno, ciasno, dochodząc do tego korytka deptało się dosłownie po innych. Korytko na tym mrozie zamarzało bardzo szybko, poprosiłyśmy więc konwojenta, żeby dał nam łom do przebicia otworu. Zaczęłyśmy walić łomem i korytko nam wypadło – została dziura w ścianie. I wtedy było najgorzej, bo zimno, głód, pragnienie można było znieść, ale nie brak ubikacji. W kącie wagonu stała beczka, prawdopodobnie na wodę, ale pusta, na której leżała jakaś deseczka. Zaproponowałam więc, żeby załatwiać się do tej beczki. Wkrótce jednak beczka była pełna. Zaczęłyśmy walić w drzwi, żeby konwój nam otworzył i pozwolił wylać beczkę. Krzyczałyśmy, prosiliśmy – nie było żadnej reakcji. A wszystkie

byliśmy bardzo chore. Jedna z dziewczyn postanowiła udać, że zrobiło się jej słabo i że chcemy lekarza. Stałyśmy wtedy na bocznicy, była noc. Po pewnym czasie przychodzi lekarz. Prędko opowiedziałyśmy mu, że nie mamy drzewa na opał, wody, a na dodatek pełną beczkę. Lekarz wysłuchał nas, zbadał tę dziewczynę i kazał dać wody. Nas „zatkało”, bo przecież przed chwilą mówiłyśmy mu, że nie mamy wody, a ten swoje: „słyszycie, dajcie mi wody, bo ja muszę dać chorej lekarstwo”. Jedna z dziewczyn powtórzyła głośno i twardo: u nas nie ma wody. A ten się zdziwił: „jak to?”, a w tym, na czym siedzę nie ma wody? Aha. To wyście mnie podłe dziewczyny na paraszy posadziły? – wtedy dopiero wszystko sobie uświadomił. Był tak wściekły, iż powiedział, że nic nie dostaniemy. Ale mimo to, jak wyszedł, to wszystkie wybuchłyśmy śmiechem. Tyle było naszej satysfakcji, że posiedział na paraszy. Lekarz przysłał tylko przez konwojenta krople dla dziewczyny, ale nie pozwolono nam pełnej beczki wylać, ani nie dano wody ni jedzenia.

Kobiety są jednak zupełnie inne od mężczyzn. Tym pociągami (1 wagon z kobietami i 9 z mężczyznami) jechali także mężczyźni chorzy, również do szpitala. Wśród nich był jeden Japończyk, który nie mógł iść o własnych siłach. Po przyjeździe na miejsce wyładowano nas i kazano iść do obozu odległego od stacji o około 150 metrów. Konwój kazał więźniom prowadzić tego Japończyka, ale mężczyźni zaraz zaczęli krzyzczeć: on udaje, on może iść, on jest zdrow. A widać było, że jest bardzo chory. Dopiero jak konwojent „huknął”, to dwóch mężczyzn – więźniów zaprowadziło go do obozu. Zanim wszyscy doszli do łaźni przy szpitalu, to ten biedak już nie żył.

Wśród kobiet nic podobnego nie mogło mieć miejsca. Jeżeli było coś ciężkiego do zrobienia – kucie skał czy dźwiganie drzewa – to myśmy wszystkie się za to brały, pomagałyśmy sobie, niezależnie od narodowości czy innych spraw. Jeżeli komuś było ciężko czy niedobrze, to myśmy dane pomagały, bez rozkazu konwojenta.

Mężczyźni wcale nie mieli cięższej pracy niż my. Kobiety robiły to samo co oni, np. przy tych skałach czy potem na Kołymie w cegielni. Potem pracę w cegielni uznano za zbyt ciężką dla kobiet.

Kiedyś przechodziłam obok jakiegoś mężczyzny i litowałam się nad nim – jaki biedny człowiek, stał taki w nowym ubraniu, zmarznięty, z nosa mu kapało... Ale potem pomyślałam: ejże? biedny? A ja? Ja przecież jestem w takiej samej sytuacji, a z nosa mi nie kapie i nie jestem taka nedorajda jak on, chociaż mam stare połatanie ubranie. Mam wrażenie, że to był kryminalista. Więźniowie polityczni byli w sytuacji równie trudnej, co my, może jeszcze gorzej byli traktowani. Widziałam też jeńców japońskich – pracowali przy moście – powieszali się jak pająki i ten most malowali (112 km). Ja-

pończycy byli wykształceni, prawie każdy z nich miał skończone studia.

Przy moście w obozie oni niwelowali brzegi, a my wywoziłyśmy ziemię. Japończycy byli w starych, połatanych ubraniach, ale nigdy z dziurami, za paskiem wisiał ręczniczek, byli czyści, porządni, schludni.

Wywoziłyśmy ziemię na bardzo wysokich i wąskich trapach. Ja przeważnie wywoziłam ziemię. Z dołu dziewczyny wyrzucały ziemię na górę – do taczki – z rozmachem ze trzy metry do góry. Ale jak o jedną łopatę więcej wrzuciły to taczka spadała razem ze mną. Takich „skoków” dziennie było z pięć. Trochę się potłukłam, pośmiałyśmy się i nic. Ale raz potłukłam się tak porządnie, że odbiłam sobie pośladek i zaczął się formować wrzód przy kości. Dostałam gorączki, poszłam do „sanczasti” – tam posmarowali mnie jodyną i już. I nawet nie dali zwolnienia. Na obiekt pracy chodziła jakaś pielęgniarka i smarowała mi pośladek jodyną w czasie pracy. I jednak – o cudzie młodości – wrzód się rozszedł.

Wracam jednak do szpitala. Byłam tam jeden dzień. W czasie badania jedna z pielęgniarek powiedziała do drugiej: „zdrowa”. Zostałam odwieziona do innego obozu, tzw. „OP” - gdzie było nieco lepsze wyżywienie i nie ganiano nas do pracy. Było to dla mnie najistotniejsze. Taka „sielanka” trwała tylko miesiąc. Potem znów nas odwieźli do innego obozu. Na tym etapie znalazłam się znowu wśród błatniarek. A ponieważ w wyroku miałam „terror”, więc byłam niebezpiecznym przestępcą i wieźli mnie razem z zabójcami. Na ogół mazgajem nie jestem, ale wtedy siedziałam w wagonie i płakałam – po raz pierwszy. Jechałam w nieznane i to z kim? Wiedziała, jak to wyglądało: potem trafiało się do tej samej brygady co one, a trudno było żyć wśród tych kobiet.

Przyjeżdżamy do jakiegoś obozu, a była niedziela. Dziewczyny z obozu lecą wszystkie zobaczyć, kto przyjechał. Ja patrzę – a są tam moje dziewczyny z „karnego obozu”. Okazało się, że po moim wyjeździe z tamtego obozu odkryto jakąś aferę: ten podły naczelnik i księgowy (wolni) okradli pielęgniarkę – „lekarza”. Ona była na froncie i miała jakieś trofea z Niemiec, a oni jej to ukradli. Miała męża w głównym szpitalu i zaczęła dochodzenie. Oni wszyscy mieli namalowane portierey przez Łotyszkę – malarkę (więźniarka) i tylko ona mogła rozróżnić, czyje są portierey: czy lekarki czy ich. Pewnego ranka dowiadujemy się, że Łotyszka zmarła. Okazało się, że naczelnik i księgowy ją otruli, jako niewygodnego dla nich świadka. Potem między sobą się pożarli i ten obóz karny został rozwiązany. Naczelnik został skazany na 25 lat, a księgowy na 10 lat obozów. Obóz karny zlikwidowano i dlatego moje dziewczyny znalazły się w tym samym obozie, do którego przyjechałam. Okazało się, że znały mnie i pamiętały, nie tylko dziewczyny z mojej brygady, ale wszystkie 500... Zanim odbyła się przed bramą

rewizja, dziewczyny przeniosły do obozu moje rzeczy. Ja weszłam do baraku, moje rzeczy już leżały na pryczy – zostałam więc w swojej dawnej brygadzie. Wszystkie pięćset urządziły mi takie powitanie, że do dzisiaj je pamiętam. A były tam Rosjanki, Ukrainki, Łotyszki, kilka Polek, Litwinki...

W tym obozie była studnia, więc można było wody brać ile się chce – i napić się, umyć, uprać. Była to zima, prace były lekkie, tzn. nosiłyśmy drzewo do obozu z odległości 4 km po 4 razy dziennie. Wynosiło to 32 km, w tym 16 km z ciężarem. Walonki dziurawe i przemoczone nogi. Pobyt w tym obozie miał się ku końcowi, wkrótce czekał mnie nowy „etap” na Kołymę.

Do Tajszetu wyjechałyśmy na przesyłkę pociągiem. Wagony były bardzo wysoko, tak, że dwóch żołnierzy wciągało nas do wewnątrz, a potem rzucali jak worki, czasem uderzałyśmy głowami o ścianę. W ogóle stosunek konwojentów do więźniów w Tajszecie był okropny. Konwojenci byli Rosjanami, Kałmukami, specjalnie źle nastawianymi do nas.

Przyjechałyśmy do Tajszetu z obozu o 200 km odległego. Do tego obozu przesyłkowego przywieziono mnóstwo ludzi. I bardzo dużo mężczyzn. Było to w kwietniu 1950 roku. Za ścianą naszego baraku byli mężczyźni bandyci. Dowiedzieli się, że w sąsiedztwie są kobiety, więc wykuli otwór w ścianie i przechodzili do nas. Strażnicy obozowi dowiedzieli się o tym. Stanęli po obu stronach otworu i walili ich pałkami, z niewielkim skutkiem zresztą. Część bandziorów przedostała się na naszą stronę i usiłowała gwałcić umęczone podróżną w specyficznych warunkach kobiety. Dzięki obecności strażników „wyprawa” się nie udała, ale ja do dzisiaj pamiętam tę makabryczną scenę. Zezwierzęcenie? Chyba jednak zwierzęta potrafią zachować się bardziej etycznie. Trzeba to nazwać zwyrodnieniem, zupełnym pozbawieniem moralności.

Z poprzedniego obozu wzięto nas około 240 km, czyli prawie połowę liczebności. Tamten obóz na 217 kilometrów został zlikwidowany, a silniejsze i młodsze osoby wywieziono na Kołymę. Tylko myśmy jeszcze nie wiedziały, co to jest za „zwierz”. Po dwóch tygodniach zaczęto formować olbrzymi etap. Mnie też wzięli, chociaż byłam wątła, bardzo szczupła, nie za młoda. Nas ustawiono na górze, a na ogromnym placu ustawiono mężczyzn. I tak widziałam jak się z nimi obchodzili. Z nami – źle, ale z nimi – to już super źle. Ciągłe ich przestawiano, formowano piątki, kazano biegać, zupełnie jakby tresowali psy, a może nawet gorzej. I do tej pory mam ten obraz przed oczami.

Potem załadowano nas do wagonów, które dla mnie po tym co przeszłam, były wprost cudowne. Były to wagony bydłące, ale podzielone na piętra z pryczami, gdzie każdy mógł znaleźć miejsce i nawet położyć się. Na górze było okienko, co prawda

zakratowane, ale można było przez nie coś zobaczyć. Poprzednio, nawet w wagonach osobowych, było nas tyle, że można było wyciągnąć nogi, wychodziłyśmy z nogami opuchniętymi jak kłody. Był już kwiecień, ciepło, więc nie trzeba było palić w piecach-beczkach. Podróż trwała około 2 tygodni.

Dojechałyśmy na bocznice do Chabrowska, a był wtedy 1 maja. Z okienek obserwowaliśmy ludzi odświętnie ubranych. Spotkałyśmy po drodze parę pociągów z młodymi ludźmi jadącymi w tę samą stronę. Byli to poborowi. Potem spotkałyśmy ich już w mundurach. Część ich wcielono do wojska (była wówczas wojna w Korei), a część do wojsk NKWD, czyli na naszych strażników.

W końcu przywieziono nas do Buchty Wanino. Był to olbrzymi kompleks baraków, zupełnie jednakowych tak, że raz w nocy zabłądziłam i nie trafiłam do swojego baraku. Obiady przynoszono nam w nocy – nie wiedziałam dlaczego. Tylko nadzorcy mówili między sobą ze zdziwieniem – popatrz one śpią, one w nocy śpią. Okazało się, że oni byli przyzwyczajeni do innej kategorii ludzi, do bandytek i złodziejek, które szalały po nocach – kradnąc, zabijając itd.

Potem dopiero poznałyśmy je, bo oddali do nas sporo tych bandytek – grabiły, kradły, zabijając, topiąc trupy w ubikacji. W sąsiednich „zonach”, odgradzonych tylko drutami kolczastymi byli mężczyźni – kryminaliści. Dzielili się oni między sobą na „czestniagi” (czestnyj wor – uczciwy złodziej, to taki, który kradł, zabijał, lecz nigdy nie skalał się żadną pracą, szczególnie dla władz obozowych) i „suki” (również złodziej i bandyta, ale taki, który pracował lub raczej współpracował z władzami w zamian za możliwie najlepsze stanowisko, np. nariadczyk, magazynier, kucharz, zarządzający łaźnią, brygadier, donosiciel). Jako zwierzchnicy zwykłych łagierników byli okrutni i bezwzględni. Przy każdym spotkaniu tych dwóch kategorii bandytów, a takie okazje były najczęściej na przesyłkach, wywiązywała się między nimi walka, mordowali się nawzajem. Byłam świadkiem takiej wojny, w której brały udział nawet karabiny maszynowe z wyżek, a wewnątrz nieludzki wrzask. W naszej „zonie” były kobiety tego samego pokroju, one wspomagały mężczyzn krzykiem i też swoistymi rozprawami między sobą, łącznie z mordem. Było to nie do wytrzymania... Politycznych było nas 1500-1600. I spośród wszystkich my – te 240 – jeszcze długi czas różniłyśmy się. One też przyjechały z różnych obozów, ale my wyglądałyśmy wyjątkowo fatalnie – kościotrupy pociągnięte czarną, spaloną słońcem i odmrażaną ciągle w zimnie skórą. Dopiero po pewnym czasie upodobniłyśmy się do innych.

Pewnego razu wyprowadzono nas wszystkie politycznie do posiołka „Uj”. Było tam kilka baraczków nad rzeczką. Oddzielili nas od tych bandytek. Chociaż baraki były

przeładowane, spałyśmy jak śledzie w beczce, musiałyśmy się obracać na komendę, cały rząd jednocześnie. Mimo ciasnoty zmianę obozu przyjęłyśmy z ulgą. Prac ciężkich nie było, tylko te wokół obozu i w tzw. „zonie”. To był czerwiec, ponieważ jednak w tej części globu wiosna spóźnia się o miesiąc, było tak pięknie i świeżo, uroczo i zielono jak u nas w maju. Z przyjemnością chodziliśmy do lasu po drzewo, w rzece można było przeprać sobie jakieś rzeczy. Wodę brałyśmy z rzeczutki poza obozem, wartownicy pozwalali na to. Jedzenie też było dużo lepsze niż gdzie indziej. Traktowaliśmy to jako obozowy urlop. Taka sielanka” trwała 5 miesięcy.

Pewnego dnia zaczęto nas szykować do etapu. Załadowano na okręt, który nazywał się „Nogin” – rybacki niewielki statek, strasznie cuchnący rybami. Załadowali nas w niedzielę wieczorem, a ponieważ marynarze w poniedziałki nie wypływają z portu – są przesądni, więc wyruszyliśmy dopiero pięć po północy we wtorek. Zaczęło nas strasznie kołysać, zaczął się sztorm, nawet marynarze chorowali na morską chorobę. Mieliśmy dużo dobrego jedzenia, ale nikt nie mógł nic jeść. Ja leżałam na pryczy. Przed wyjazdem dostałam paczkę z domu, a w niej witaminę C, która mnie i koleżanki ratowała. Nie leżałam więc na podłodze i nie robiłam nikomu kłopotu.

Na statku były piętrowe prycze. Na załatwienie się trzeba było wychodzić na pokład. Raz się zdarzyło, że tę ubicację nam splukało z pokładu, ale na szczęście w niej wówczas nikogo nie było.

Było nas ponad 1600 kobiet – same polityczne. Polek było kilka – Krysia Zajączkowska, Zosia Neugebauer, Władzia Kiewlak (została na Kołymie, wyszła za męża, obecnie mieszka w Polsce).

Podróż trwała 5 dób. W połowie października dotarliśmy do Magadanu do portu Nagajewo. Mężczyzn płynęło dużo więcej niż nas – w sumie było około 4 tysięcy ludzi (nie mogę tego dokładnie określić).

Przywieźli nas do portu. Myśmy nie mogły chodzić, tak byłyśmy zmęczone podróżą, więc przyjechały po nas samochody i zabrały na 4 km na przesылkę. Tam były baraki i jeden duży namiot na około 150 osób. Ja trafiłam do tego namiotu ze względu na wyrok 25 lat. Nie miałyśmy jeszcze zimowego ubrania, więc nas nie wyganiano do pracy, ale jedzenia było mało, a namiot był praktycznie nieopalany. Zima na Kołymie zaczyna się w II połowie września i trwa do czerwca. Na noc nas zamykano. Tak zwana „zona” była wynajęta – dla nas – dla Bierłagu od ITŁ. Mężczyźni dowiedzieli się, że są kobiety i starali się przedostać do tego obozu. Akurat była zima z zamieciami śnieżnymi, które tam zwą „purga” i której mieszkańiec Europy Środkowej nie jest w stanie sobie wyobrazić. W czasie takiej zamieci strażnik na wyżce też nic nie widział

i złodzieje korzystali z takiej pogody, żeby przedostać się do naszego obozu. Do baraku trudniej było wejść, ponieważ zamykano nas na noc z zewnątrz, ale do namiotu wystarczyło tylko przeciąć płótno nożem. I przychodziło takich 20-stu, albo i więcej – wiadomo, w jakim celu, a na nas skóra cierpła. Człowiek udawał szmaty. Ja spałam na górnej pryczy, nikt nie poruszał ani ręką ani nogą, bo jakby ktoś się poruszył – to on by zaraz siedział, z nożem w dodatku. Boże, przypominam sobie ze zgrozą te chwile.

Były takie dziewczyny, które zgadzały się na te wizyty – i to nie ze strachu. Znajdowały się chętne przeważnie na dolnych pryczach, Rosjanki (polityczne), na szczęście dla nas zresztą. Nie można było wzywać pomocy, bo oni by nas z zemsty po prostu wyrznęli. Przecież im za to groziła ciężka kara. Wynosili się więc tą samą drogą. Rano meldowałyśmy o tym władzy i na tym się kończyło.

Był raz taki wypadek w dzień – przy drzwiach naszego namiotu robił coś cieśla – więzień z numerem jak my (ja miałam D2-433). Miał w ręku siekierę i naprawiał drzwi... Przyszło dwóch takich smarkaczy po 15 lat i zachowują się jak trzepoczące ptaki – nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Prawdopodobnie przegrali w karty. Tam się grało w karty o czyjaś głowę. Jak przegrał - to musiał kogoś zabić albo wygrani zabijali jego – takie było „prawo” w tych obozach bandyckich. Po chwili przyszedł nadzorca, wyjątkowo okrutny, o przydomku „Mula”, wielkie chłopisko. Pyta się: mężczyźni u was są? Odpowiadamy, że nie ma. Dziewczyny dały im chustki, schowały między siebie, jeden wszedł pod prycze. Nadzorca zajrzał jednak pod prycze, wyciągnął chłopaka, złapał siekierę od cieśli, żeby rozwalić mu głowę. Zaczęłyśmy okropnie wrzeszczeć, więc dał spokój. Wyprowadził go przed namiot. Leżały tam kilofy po jakiejś pracy. I tam, przed namiotem zabił tego chłopaka. Potem pyta: gdzie drugi? Wszystkie nas wezwał na apel i kazał zdejmować chustki, a mężczyźni mieli ogolone głowy. Ten drugi chłopak miał chustkę, ale zauważyli gołą głowę i zabrali go. Ustawili nas wszystkie i kazali patrzeć, jak zabijają tego chłopca. Kilku zbójów – strażników zaczęło go kopać, deptać, aż zupełnie zbitego wzięli do szpitala i następnego dnia zmarł. Zamordowali go, zrobili to zupełnie na trzeźwo.

Potem, kiedy ci mężczyźni zaczęli już przychodzić za dnia, to ich przerzucili gdzie indziej, a mężczyzn politycznych – na nasze miejsce, do obozu męskiego. I ja znowu trafiłam do namiotu. W sumie cztery zimy kołymskie spędziłam w namiocie. Okrywałyśmy się, co miałyśmy na sobie: watowane spodnie, tielogrejka i buszlat. Niektóre miały jakieś koce. I to wszystko na siebie nakładałyśmy, przytulałyśmy się do siebie. O rozbieraniu się nie było mowy. Kiedyś purga zniosła dach z namiotu i śnieg na nas sypał. W czasie zamieci nie wolno było palić w piecach, a w ogóle nie było czym. Czasami po cztery doby w czasie tych zamieci nie dostawałyśmy nic do jedzenia i



nawet nie miałyśmy do władz pretensji, bo ani nie można było ognia zapalić ani nic dowieźć. I myśmy tak głodne, zziębnięte leżały i czekały aż purga się skończy. Nasz namiot był usytuowany tak, że wyjście było na zachód, a sąsiedni naprzeciwko – na wschód.

Wiatry wiały od wschodu i na zachodniej stronie, tam gdzie było nasze wyjście, usypywały zaspy tak, że wejście do naszego namiotu było zawałone metrami sześciennymi śniegu, za nic w świecie więc nie mogłyśmy stamtąd same wyjść. Musiała przyjść brygada (około 30 osób) z sąsiedniego namiotu, w którym wyjście było usytuowane na wschód, aby nas odkopać. One miały zaspy też na zachodniej stronie, ale wejście od wschodu było wolne. Stan sanitarny był opłakany. Z uwagi na zimno nie można było się rozebrać. Czasami tylko, jeśli udało się ukraść parę kawałków drzewa, można było natopić śniegu i trochę umyć się. Co dwa tygodnie mniej więcej pędzono nas do łaźni miejskiej w Magadanie, z reguły w nocy. Tam poddawano „obróbce sanitarnej”, tzn. golono owłosione miejsca (z wyjątkiem głowy), ubranie i bieliznę oddawało się do odwieszalni. Do kąpieli dostawało się kawałeczek mydła, następnie mokre, nie wytarte naciągałyśmy swoją brudną bieliznę i ubranie z „prażarki” i pędzono nas znowu 4 km przy silnym mrozie do zimnych namiotów. Ubranie wszystkie dostawałyśmy, czasami i bieliznę, ubrań wierzchnich swoich nie wolno było nosić. W czasie miesiączki używałyśmy jakieś stare szmaty, żadnych środków higienicznych nie było.

W baraku było około 150 osób, ale czasem w ciągu całego pobytu w łagrach dochodziło do 450. Wtedy było to nie do zniesienia przez gwar, przy 150 osobach dało się wytrzymać.

W obozie na 4-tym kilometrze było kilka baraków, a w nich po 150 ludzi. Kobiet było dużo mniej niż mężczyzn. W jednym obozie więźniów było od 1500 do 5 tysięcy. Na 18-tym kilometrze było więcej kobiet – do 3 tysięcy, same polityczne, oprócz pojedynczych kryminalistek, które dostawały karę za uciezkę z obozów, nie wiem ilu było mężczyzn, ale na pewno więcej niż nas.

Spotykałam tam też starsze kobiety, w wieku mojej mamy, nawet Polki, np. pani Ania Orszewska z Wilna, p. Maria Malec. Ja byłam jedną z najmłodszych. Dopiero potem w 1953 roku z następnego transportu pojawiły się młodsze.

W obozie przesyłkowym na 4-tym kilometrze przeżyłam najgorszą zimę. Potem i mnie zabrano do obozu na 6-tym kilometrze, gdzie byłam też w namiocie. Chodziłyśmy do pracy budowlanej – budowało się maszyny z kamienia. Tam byli dużo lepsi konwojenci (zwłaszcza w porównaniu do Tajszetu). Władza – jak wszędzie. Pobudka była o piątej rano, potem szybko, szybko śniadanie, rewizja osobista i apel. W rezul-

tacie stało się pod wrotami obozu dwie godziny czekając aż wyprowadzą nas do pracy. Ja zawsze się buntowałam – po co ja mam tu stać na mrozie? Przy rewizji było 5 bab – wolnych Rosjanek, które nas obmacywały, czy przede wszystkim nie wynosimy jakiegoś listu... A list można było pisać dwa razy do roku, po rosyjsku, o określonej treści. Zazwyczaj nigdy te listy nie dochodziły do adresata, więc próbowałyśmy wysyłać nieoficjalną drogą. Także przy rewizji szukano pieniędzy (które czasami przysyłano nam z domu), jakichś innych rzeczy, nie wiem jakich.

Często ja i kilka innych dziewcząt zostawałyśmy w baraku i dołączałyśmy do kolumny, jak zaczynała wyruszać. Pewnego razu przyjechał nowy zastępca naczelnika obozu – mjr Kozłowski – i on pilnował, żeby wszyscy byli w kolumnie. Biegamy więc wokół namiotu, żeby ukryć się przed nim i jakoś dostać do kolumny. Sprzymierzeńcem naszym była ciemność, zdradzał nas jednak śnieg skrzypiący pod nogami. Wreszcie krzyknął: „Długo ja będę bawił się z wami w chowanego?”. Musiałyśmy więc dołączyć do kolumny. W tym momencie patrzę – złapał jedną dziewczynę, rzucił na ziemię i zaczął ją bić. Zdecydowałam się wyjść i nie pozwolić, by ten oprawca bił. Wezwał „nariadczycę” (najwyższa funkcja więźniarki w obozie), żeby zapisała nasze nazwiska. Ja podeszłam, postąpiłam i nic nie powiedziałam – odeszłam. W ten sposób nie zapisała mojego nazwiska. Była zupełnie zdezorientowana – i nie spytała mnie. Po powrocie z pracy wywołują te zapisane do pracy w obozie (jako karę) do północy. W sumie i tak nigdy nie wiedziałyśmy jak długo pracujemy, ale po pracy poza obozem byłyśmy już bardzo zmęczone. Mnie nie wywołali, więc nie poszłam. Ukrainki zaczęły mnie wypytywać, co ja zrobiłam, że nie chodzę do tej pracy nocnej. Opowiedziałam im co się stało i uwierzyły.

W pracy i w obozie obowiązywała nas tzw. „forma” (mundur swojego rodzaju) – obozowe waciaki, spodnie, spódnice z naszytymi numerami na plecach, czole (chusta) i prawym kolanie. Mój numer był D2-433.

W namiocie paliło się w metalowych beczkach, ułożonych poziomo, od których rura wystawała na zewnątrz. Jak się przestawało palić, to od razu robiło się zimno. Ściany namiotu z zewnątrz osypywałyśmy śniegiem, tak było cieplej. Ale najgorsze były sufity-dachy. Jak się zaczęło palić, to lód z sufitu topniał i wszystko leciało na nasze dwie deski. To była prawdziwa rozpacz. Człowiek strasznie zmęczony nie miał nawet miejsca, żeby się położyć, bo strasznie padało na głowę. Stawiałyśmy słoiki, miednice, ale i tak nic nie pomagało. A w nocy robiło się zimno i człowiek przymarzał do ściany namiotu. Podłoga mokra, śliska, upadłam na nią kiedyś jak długa.

Ludzie często chorowali. Ja też – prawie co miesiąc miałam zwolnienie, tzn.

chorowałam z gorączką.

Na 6-tym kilometrze byłam około 3 lat. Nasza brygada oprócz innych prac chodziła na sopki (niewysokie góry o łagodnie spadających zboczach, oddalone od obozu o 5-6 km) karczować pnie poprzednio ściętych drzew. Praca była ciężka, szczególnie w zimie, mróz do -40°C również nie był naszym sprzymierzeńcem. Przyjeżdżały traktory z ogromnymi saniami, na które ładowaliśmy pnie. W maju, kiedy było jeszcze dużo śniegu, ale dużo światła (słońce zachodziło na parę godzin tylko), które odbijało się od śniegu i raziło w oczy powodując zapalenie spojówek. Robiliśmy wówczas okulary z miedzianego drutu i farbowanej na niebiesko gazy. Trochę pomagało. Praca na sopskach miała jednak ogromną zaletę. Otóż prawie w ciągu całego roku można tam było zbierać jagody. W jesieni borówki – brusznice, żymołoś (wiciokrzewy, na których zbierało się jagody w smaku i kolorze przypominające śliwki, były tylko niezbyt duże i nie miały pestki), czarne słodkie jagody (nie pamiętam ich nazwy) rosnące na ścielących się łodygach, podobnych do widłaku i łochynia, krzewy dużych, dorodnych jagód. W zimie trafiałyśmy na zmarznięte borówki – brusznice pod śniegiem, były bardzo smaczne. Również przy zejściu śniegu borówki – brusznice można było zbierać. Dzięki temu w jakiej-takiej kondycji udało mi się przeżyć obóz.

Jeśli chodzi o stan psychiczny, to stałyśmy się tam automatami. Nie miałyśmy nadziei, że kiedykolwiek stamtąd wyjdziemy. Co pewien czas – 2-3 miesiące przyjeżdżał oficer śledczy i niektóre osoby przesłuchiwał. Mnie „mordował” za każdym pobytym.

Kiedyś dostałam wiadomość o śmierci mojego ukochanego dziadka. Wówczas okropnie się załamalam. Płakałam, chodziłam jak struta. Dziewczyny – Ukrainki, i Polki usiłowały mnie pocieszyć, mówiąc: nie płacz, to był już stary człowiek. I ta pociecha mnie najbardziej denerwowała. Co to znaczy „stary człowiek?” Człowiek kochany nie ma wieku, zawsze jest kochany. Jednak czas leczy rany, chociaż nie do końca. Kiedyś, w lutym 1953 roku płakałam wieczorem i mówiłam: „Dziadziusiu kochany, i ty tam nie powiesz, co się z nami stanie, ty chyba wszystko wiesz”. I tej nocy śnił mi się dziadzius, że jestem z nim w sadzie, który tak kochał, pełno pszczoł, kwitnie śliwa i dziadzius mówi do mnie – on umrze. Nie powiedział kto, ale ja wiedziałam, że chodzi o jakąś osobistość, od której zależał nasz los. I dodał: wówczas będzie lepiej.

A 5 marca już umarł Stalin. W namiocie miałyśmy zainstalowane radia-toczeki („kołchoźniki”). Kilka dni przed śmiercią Stalina nękała nas smutna muzyka, płynąca z radia. Po śmierci przesładowano nas już przerażającą muzyką również w nocy. Panowało straszne napięcie, nie mogłyśmy nawet uśmiechem wyrazić naszej radości z

powodu śmierci swego gnębiela. Pilnowała nas straż więzienna, a także nieliczne więźniarki – kryminalistki oplakujące swego „batuszkę”. Stopniowo, choć bardzo powoli sytuacja nasza zmieniała się na lepsze. A poza tym to nie było życie, to była marna wegetacja. Jakichś wielkich załamań psychicznych nie było, bo dziewczyny były tak zmęczone fizycznie, że nie miały już siły na nic. Psychiczne załamanie miałam w obozie karnym w Tajszece – tam się chciałam rzucić pod pociąg. Coś lub może Ktoś powstrzymało mnie od tego desperackiego kroku. Raz chciałam wyjść na „zaprietkę”, te muchy tak mnie pogryzły.

Na Kołymie już tego rodzaju załamań nie było – wydawało się, że tu jest lżej, mimo że mieliśmy numery i ostry reżim. Czasem jednak były kary za błahe przewinienia.

Np. w jednych obozach trzeba było malować sobie biały numer na czarnym tle, a w innych odwrotnie. Kiedyś, przy przechodzeniu z jednego obozu do drugiego nie zdążyłam zmienić tych numerów i wsadzili mnie za to do karceru. Był to barak z celami oddzielony od innych baraków w obozie drutami. W celi stało żelazne łóżko niczym nie pościelone. Raz dziennie dawano 300 g chleba i porcję zupy. Chodziłam stamtąd do pracy i dziewczyny podrzucały mi trochę jedzenia. Strażnik pilnujący karceru uważał, że ja siedzę za przerzucanie różnych rzeczy do obozu męskiego (myśmy rzeczywiście do męskiego obozu przerzucały przez płot listy, jakieś drobne prezenty na Święta, często od nieznanomych Polaków i vice versa. Wyjaśniłam za co siedzę, a on z kolegą w ramach swoistego żartu założył mi kajdanki. Chcieli, żebym podpisała „cyrograf”, że nie chciałam wyjść do pracy, chcąc kryć swoją koleżankę, która mnie chciała zamknąć. Odmówiłam stanowczo. Pośmiali się trochę i kajdanki zdjęli. Wypuszczono mnie już po dwóch dniach.

W obozie przesyłkowym w Magadanie odwiedziłam Krysię Zajączkowską. W jej baraku były bardzo wysoko usytuowane prycze. W baraku tym urządzono „Koncert noworoczny”, widowisko raczej, które my z Krysią mogłyśmy oglądać, siedząc pod pryczą. Podglądając go usłyszałam piosenkę: „Drogije Kołymczanie, drogije moi ziemiaki...” od tego momentu nadzieja na powrót we mnie zgasła, bo piosenkę zrozumiałam jako potwierdzenie, że traktują nas wszystkich jako „ziemlaków”, w związku z czym nigdy stąd nie wyjedziemy.



*Od lewej: Irena Olizar*

Ja byłam zawsze bardzo buntowniczą naturą. W obozach nie modliłam się. Nie dlatego, że odrzucałam Pana Boga, religię, ale nie chciałam nikogo o nic prosić. Np. po sądzie można było składać prośbę o ułaskawienie, ale ja to odrzuciłam, bo nie mogłam ICH o nic prosić. Nawet pisząc do domu – bardzo rzadko pisałam, że coś mi trzeba. Nie pisałam też do znajomych, bo myślałam, że może się mnie wyrzekli, że może im zaszkodzić taka korespondencja. I dlatego też Pana Boga nie prosiłam o nic. Wierzyłam... Wspominałam sobie nieraz lata młodości, nabożeństwa, ale nie modliłam się. Wiara mi nie pomagała. Dla mnie najważniejszą wartością była Ojczyzna. Wiedziałam, że muszę się tak zachowywać, żeby imienia mojej Ojczyzny nie splamić. Chodziło o sposób zachowania się – na co dzień. Np. dziewczyny tłoczyły się przy rozdawaniu chleba czy zupy – ja nigdy nie przepychałam się. Miałam świadomość, że według tego jak zachowują się Polki – inni będą odpowiednio traktować Polskę. Dotyczyło to także obrzydliwego słownictwa obozowego, nagminnie używanego, wiązania się z mężczyznami. Nietrudno było o to. Według mnie w tych związkach był tylko seks, a nie uczucie. A może to była tęsknota za uczuciem? Ja nawet przeżywałam coś takiego – z wzajemnością... Ale nigdy z tym człowiekiem nie zamieniłam nawet dwóch słów. Były tylko spojrzenia. Trudne to było.

Nie chodziłam również po śmietnikach. Byłam tak samo głodna, jak wszystkie, ale nie chodziłam. Nie potępiam innych za to, ale ja nie mogłam się na to zdobyć, żeby szukać rybich głów po śmietnikach.

Za pracę „niegodną” uważałam donosicielstwo i w zamian za to pracę na eksponowanym stanowisku. Był taki wypadek: jedna z moich znajomych (Halina) miała jakiegoś sąsiada z kraju – w męskim obozie. Oszczędziła swoją pajkę chleba, żeby ofiarować chleb temu znajomemu. Przekazała pajkę przez innego Polaka. I ten chleba nie doniósł – zjadł go po drodze. Dla mnie to było nie do pojęcia. Rozumiałam go, on był głodny, ale ja bym tego nie zrobiła. Miałam za sobą wychowanie harcerskie.

W 1953 roku – jak zmarł Stalin – byłam na 6-tym kilometrze. W międzyczasie wożono nas do różnych prac przejściowych, m.in. do Buchty (zatoki) „Wesoła”. Byłam także w Żen Ołpie przez pewien czas. Był to obóz usytuowany najbliżej miasta Magadan, ale do pracy nas często wożono. Pracowałyśmy też na budowie. Chodziłam w pewnym okresie na budowę, dość daleko. Trudno mi było chodzić, ponieważ miałam mocno zbrzęknięte nogi, nie nadażałam za kolumną, wciąż zostawałam w tyle, a za mną szedł naczelnik konwoju i wciąż mnie poganiał: idź, idź prędzej, patrz jak rozciągasz mi kolumnę. Ja parę kroków przyśpieszałam i znowu zwalniałam. Konwojent widział, że nie mogę szybciej iść i tylko łagodnie mnie starał się „podciągnąć”. A gdyby było to w Tajsziecie, na pewno by mnie zastrzelił, tam nie było litości. W końcu dowleklam się do wachty, a konwojent mówi: już ja ciebie więcej nie wezmę. Nazajutrz znowu mam wyjść do pracy z tym samym naczelnikiem, stoją przy tym władze obozowe i lekarka, a konwojent pilnie uważa i kiedy mnie zobaczył mówi: tej dziewczyny ja nie wezmę, zobaczcie jakie ona ma nogi, ona nie może chodzić i rozciąga mi kolumnę. Zostawili mnie w obozie, choć przedtem nie chcieli słyszeć o zwolnieniu ani leczeniu. Był to znowu szkorbut. Dostałam zwolnienie z pracy i serię witamin i wapno (w zastrzykach) i moje nogi wróciły do normy, ale dopiero kiedy konwojent w swoisty sposób zainterweniował.

Pewnego razu poszłyśmy do pracy, do kucia zmarzniętej na skałę ziemi, już nie pamiętam w jakim celu było to kucie. Było nas w brygadzie około 30-ci, w tym dwie Polki: moja Koleżanka Władzia Kiewlak i ja, reszta Ukrainki. Oprócz kilofów i łomów dostałyśmy dodatkowo żelazne kliny i duże ciężkie młoty do kucia tej zmarzliny. Młotów było jednak mało, musiałyśmy się więc nimi kolejno posługiwać, a trzeba przyznać, że kliny i młoty ułatwiały nam pracę. Od wykonywanej (lub nie) pracy dostawało się odpowiednią porcję żywności, głównie chleba dodatkową porcję. Obok nas pracowała dość mało okrzesa Ukraińska Stefa. W pewnym momencie moja Władzia z Ukrainką pokłóciły się o młot. I oto słyszę słowa Stefy: „ach wy polskije mordy!”. Trudno sobie wyobrazić jak bardzo nas te słowa ubodły. Władzia złapała łom i chciała nim przebić Stefę. Ja również miałam w stosunku do Ukrainki jak najgorsze intencje. Rozumiem teraz, że można zabić człowieka w emocji i to z błahego powodu. Na szczęście „usły-

szalam” w swojej podświadomości trzy jakby nakręcone na taśmie słowa: nie zabić człowieka, nie zabić człowieka, nie zabić człowieka... Zaczęłam więc odbierać Władzi łom i szamotać się z nią przy tym, a tamta: puść, ja ją zabiję. Naprawdę bardzo niewiele brakowało, a stałaby się tragedia. Wreszcie udało mi się odebrać łom koleżance i trochę emocje opadły. W całym zacierzewieniu nie widziałyśmy, że pozostałe dziewczęta, 27, otoczyły nas kręgiem i czekały na rezultat, nie reagując. Wówczas dopiero uświadomiłam sobie, że gdyby Stefie stała się jakaś niewielka krzywda, wszystkie pozostałe Ukrainki rozszarpałyby nas na kawałki. Był już koniec pracy i powrót do obozu. Tymczasem Ukrainki odwołały na stronę Stefę i kazały jej nas przeprosić. Trzeba przyznać, że zachowały się ładnie. Na ogół nigdy nie miałyśmy z Ukrainkami żadnych sporów. Kiedyś przyszły do mnie na wielką dyskusję, dotyczącą stosunków Polska-Ukraina. Ja im jednak krótko wyjaśniłam, że nie zdołamy się przekonać nawzajem, kto ma rację i nie warto się spierać ani kłócić. Na razie mamy jednego wspólnego przeciwnika i musimy raczej żyć w zgodzie. Przyznały mi rację. Znajdowałam się w środowisku różnych, prawie zawsze innych Ukrainek, zetknęłam się jednak tylko z tym jednym przejawem wrogości z ich strony.

Następnie trafiłam na 18-ty kilometr. Było już lżej, mniejszy reżim. Korespondencja była ożywiona, można było czytać i pisać w nocy (całą noc paliło się w barakach światło). Poza tym robiłam różne robótki, haftowałam – przeważnie za chleb, ale i trochę dla siebie, żeby się lepiej czuć. Wszyscy moi znajomi ze sprawy zostali w Tajszece, więc korespondencję prowadziłam z rodakami, którzy byli na Kołymie. Pisaliśmy na jakimś zdobytym różnymi sposobami papierze – ołówkami. Poczta obozowa funkcjonowała idealnie – w przeciwieństwie do oficjalnej. Trafiały listy nawet bez nazwiska, np. adresowane: „Do Wandy – Polki”.

W obozie była już biblioteka, książki rosyjskie, ja znałam dobrze rosyjski, więc dużo czytałam. Czytałam w nocy i w czasie tego 2-godzinnego „rozvodu”. Zamiast stać i marznąć – siedziałam w baraku i czytałam. Wychodziłam, jak brygada miała wyjść do pracy. Ale kiedyś spóźniłam się i brygada była już za bramą. Poszłam na wachtę i mówię, że weszłam do baraku po tielogriekę a tymczasem moja brygada wyszła. Strażnicy dyskutowali, w końcu jeden powiedział do mnie, że doprowadzi mnie do brygady. W tym czasie zjawiała się wolna „nadziratielnica” i zaczęła wykrzykiwać: „posadzić ją, posadzić do karceru!” A żołnierze na to: za co ją posadzić? Przecież ona wyszła do pracy?”. – szybko zabrali mnie do brygady. I tak żołnierze wstawili się za mną! To było bardzo ważne, ta zmiana stosunku żołnierzy do nas. Z czasem zaczęli nas prosić, żebyśmy im coś przyszyły i uprały, z niektórymi przynosili nawet listy nieoficjalną pocztą.

W 1954 roku postanowiliśmy urządzić sobie Wielkanoc, i nawet kupiliśmy dwa jajka, bardzo drogie tam. Jedno posłałyśmy mężczyznom, a drugie było u nas – pomalowane akrychiną na żółto. W sklepiku sprzedawali biszkopty i trochę zmarznięte cytryny, margarynę – zrobiliśmy z tego dwa torty. Ja w tym czasie korespondowałam z rodakiem z Warszawy (przez płot), który był pilotem szybowcowym, chciałam mu zrobić przyjemność, zrobiłam więc szkielet samolotu z drutu, obciągnięty zieloną satyną, przemyconą z trudem z za zony, wyszyłam polskie numery i biało-czerwoną kratkę, naszyłam zrobioną z drutu i nici gałązkę bazi, a w kabinie pilota siedział żółty kurczak. „Tortu”, jajka, życzeń dla wszystkich Polaków i „samolotu” nie sposób było przenieść przez płot. Moja koleżanka jednak, Jadzia Orluk podjęła się tej niebezpiecznej funkcji i przekazała wszystko do rąk własnych jednego z kolegów po tamtej stronie. Najważniejsze, że cała „akcja” odbyła się tuż pod wyżką. Strażnik musiał to widzieć, lecz nie zareagował, a mógł przecież strzelać w obie strony. Dla siebie ugotowałyśmy też makaron, który trzeba było przemyścić spoza zony. Niesiemy ten makaron, a tu pięć kobiet (strażniczek) zaczyna nas rewidować. Ukradkiem podałyśmy makaron konwojentowi i ten po rewizji oddał nam torebkę. Konwojenci to byli młodzi żołnierze w służbie czynnej. Wśród nich, pod koniec mojego pobytu na Kołymie spotykało się nawet Polaków (jeden był spod Grodna).

W obozie na 18-tym kilometrze pracowałyśmy w cegielni – na 3 zmiany po 8 godzin. Była to bardzo ciężka praca. Potem okazało się, że nie wolno zatrudniać przy niej kobiet, ale myśmy już wtedy po parę lat tam pracowały przy wypalaniu cegieł, przy formowaniu cegieł i wożeniu. Ja pracowałam przy wypalaniu cegły. W piecach cały czas unosił się pył i sadze. Kąpiel była obowiązkowa – codziennie, chustka na głowę po miesiącu rozsypywała się w drobny mak. Można było sobie wyobrazić, co działo się z naszymi płucami. Były tam 32 piece, każdy mieścił 5 tysięcy cegieł. Ja zalepiałam piece po wypełnieniu ich cegłami – to była jedna z lżejszych prac. Ale inne kobiety musiały załadowywać i wyładowywać piece, wozić cegły taczkami. W piecach temperatura dochodziła do 1200°C – podgrzewanie elektryczne i węglem. Cegielnia była na Marczekanie – doprowadzano nas tam z obozu.

Przy lepieniu tych pieców pracowała ze mną jedna Polka – polecona przeze mnie brygadzistce, którą znałam z 6-go kilometra. Potem zaczęło brakować gliny i zmniejszono ilość „zalepiaczy” i jedną zmianę. Moja koleżanka wołała zapewne zostać tutaj niż iść do gorszej pracy. Dziewczyny prosiły mnie o zorganizowanie Świąt Wielkanocnych. Nie mogłam odmówić, chociaż kosztowało mnie to trzy noce nieprzespane bo np. makaron trzeba było gotować 9 razy (małe naczynia). W obozie było około 18 Polek. Zrobiliśmy Wielkanoc w naszym baraku (była Irka Krajewska, Mońcia Dudź,



Hela Batorzycka, Halina Pilawa, Jadzia Kisielewska, Jadzia Orluk, Janka Lis i inne). Po tych świętach byłam okropnie zmęczona i w pracy ledwo trzymałam się na nogach. Poprosiłam Marysię, żeby mnie zastąpiła i poszłam się przespać trochę w czystym, przygotowanym do naładowania piecu. A ona zawołała mistrza, zaprowadziła go do tego pieca i pokazała mnie śpiącą. Mistrz nie miał wyjścia i zwolnił mnie z tej pracy – ona została. Wkrótce potem trafiłam na jakąś awanturę między dziewczynami. Jadzia Kisielewska opowiedziała mi, że Ukrainki napadły na tę Marysię, że mnie wydała, że wydała swoją rodaczkę. Ja nawet nie żałowałam tak bardzo tamtej pracy, tylko strasznie mi było przykro, że coś takiego zrobiła Polka. Nie było mi żal pracy w cegielni, bolał natomiast postępek rodaczki.

Przydzielono mnie potem do ładowania cegły. Była to dużo cięższa praca – schylenie się i ładowanie z ziemi do samochodów. Każda z nas musiała podnieść 16 ton cegły dziennie. Pracowałyśmy przy tym w okularach motocyklowych, inaczej nie można było, gdyż w pobliżu morza stale wiał wiatr i pył z cegieł wciskał się do oczu.

Po pewnym czasie zabrali mnie do kopania rowów hydraulicznych na budowie. Była to niebezpieczna praca, bo często ściany rowów obrywały się i zasypywały ludzi. W tej brygadzie była wyjątkowo niesympatyczna Litwinka, źle nastawiona do Polaków. W obozach spotykałam sporo Litwinek, z jedną spałam w namiocie – ta była bardzo miła, wesoła, ciągle jakieś psikusy (niewinne) komuś robiła. Z inną Litwinką – nauczycielką, inteligentną, też bardzo miło ułożyły mi się stosunki. Jak miała być zwolniona z obozu prosiła, żebym jej z waciaka zrobił kurtkę (ponieważ trochę wcześniej wracałam z pracy), potrafiłyśmy okropnie obozowe waciaki przerabiać na „eleganckie kurtki” – chciała po wyjściu z obozu wyglądać po ludzku. Pracowałyśmy wówczas w sowchozie przy sianokosach, a Irena – Litwinka – przy kopaniu ziemniaków. W baraku brakowało światła, tylko w pobliżu pieca – beczki, tam też skupiały się prawie wszystkie mieszkanki baraku. Musiałam więc szyć tę kurtkę przy piecu – żeby coś widzieć. Dziewczyny gotowały sobie ziemniaki na tym piecu. Jakaś Ukrainka niezręcznym ruchem zrzuciła garnek z wrzącą wodą prosto na moje nogi. Bolało strasznie, odeszłam do punktu sanitarnego, gdzie mi założono opatrunek. Tymczasem dziewczyny okropnie napadły na tę Ukrainkę, że była tak nieuważna i kazały mnie przeprosić. Ona się broniła, ale jak zobaczyła pęcherze wielkości pięści na moich nogach, to zaczęła przeproszać. Litwince było przykro, że to się stało pośrednio przez nią (przez tę kurtkę), ale ja się roześmiałam i powiedziałam, że dzięki temu wypadkowi dostanę wreszcie zwolnienie lekarskie i wtedy na pewno jej tę kurtkę uszyję. Do dzisiaj mam adres tej dziewczyny, ale po powrocie do Polski bałam się nawiązać z nią kontakt, ze względu na nią, oczywiście.

W lecie po kopaniu rowów wozili nas na sianokosy, m.in. w okolice Tałonu. Je-chałyśmy tam niedużym statkiem, a raz – w zimie przewieźli nas do Tałonu samolotem – już na stałe – czyli do końca mojego pobytu w obozie – do lipca 1956 roku.

Na sianokosach „rozzucano” nas po 12-15 dziewcząt. Mieszkałyśmy w prymitywnych drewnianych szałasach, jedzenie gotowało się na ognisku w zawieszonym na drągu kociołku. Dostawałyśmy do pomocy konia, który zwoził siano ze stogów. Codziennie odwiedzali nas dwaj konwojenci na koniach, równocześnie przywożąc chleb i należne nam racje żywności. Odwiedzały nas tam także misie, czasami podkradając rybę, którą z braku bardziej odpowiedniego miejsca umieszczaliśmy w pobliskiej rzece i przywiązywały sznurkiem do drzewa. Kosić oczywiście nie umiałam, uczyła mnie tej pracy koleżanka – Polka, Jadzia Kisielewska. Pamiętam, jak stała nade mną i mówiła: bierz szerszy pokos, większy rozmach itp. Obok niej stała starsza Ukrainka i kiedy sądząc, że ja nie słyszę, powiedziała do koleżanki: Jadziu, ty jej nie ganiaj, popatrz tylko jaka ona szczuplutka. Z rozrzewnieniem wspominam współczucie tej kobiety, przecież wszystkie byłyśmy w jednakowo trudnej sytuacji i nikt się nad nami nie rozczulał. W tej grupie było kilka Polek, oprócz Jadzi i mnie była pani Maria Malec, Elżbieta Łobanowicz, Marysia Brzezińska. Pomimo możliwości zbierania trochę jagód, wyżywienie było bardzo marne, a praca fizycznie wyczerpująca. Dziewczęta nasze postanowiły więc podkraść trochę kartofli. Można było je nakopać tylko w nocy, w sowchozie oddalonym o około 20 km, a przedtem łódką przepłynąć na drugi brzeg rzeki. Żeby nie nieść kartofli na plecach, dziewczęta z dwóch sąsiadujących ze sobą grup na sianokosie wzięły ze sobą konia. U naszych sąsiadek była klacz ze źrebakiem, dość kapryśna zresztą, bo często nie chciało się jej zwozić siana, wówczas kładła się na łące i żadna siła nie mogła jej podnieść, a siano dziewczęta nosiły same. Tym razem uważały, że będzie z niej jakaś korzyść, wzięły też źrebaka i trochę owsa. Konie miały również racjonowaną żywność, często więc bywały głodne jak i my, nie bardzo więc dziwię się, że odmawiały posłuszeństwa. Dziewczyny przywiązały klacz do drzewa, źrebak biegał dookoła. Po udanej wyprawie już z łupem, czyli ziemniakami okazało się, że źrebak znalazł schowany owies i zjadł go. Na szczęście nic mu się nie stało, tylko jego głodna matka nie chciała potem wozić siana.

U nas była Nachodka, sympatyczna klacz. Ponieważ lubię zwierzęta, często starałam się ulżyć końskiej doli, choć to nie należało do moich obowiązków. Sama mocno zmęczona zanosila jej siana do podścielenia, poganiałam komary, czasami dzieliłam się z nią swoją kaszą. Nachodka odwdzięczała mi się darząc szczególną sympatią. Poznawała po krokach, kiedy rano szłam umyć się do rzeki i rżała cichutko, wyróżniała mnie wyraźnie spośród innych koleżanek. Pewnego razu poszłam kosić

w mokrych butach, po prostu nie było gdzie ich wysuszyć. Zmarzłam tak w nogi, że zemdlałam z zimna. Koleżanki, które kości w pobliżu znalazła mnie nieprzytomną z leżącym obok twarzą ostrzem kosy. Pamiętam też, że chcąc się ogrzać, bo zimno było na dworze, rozpaliliśmy piecyk w swoim szałasie. I gdyby pani Malec nie wyszła na zewnątrz spaliłybyśmy się pewnie lub co najmniej poparzyły. Otóż szałas nasz zapalił się od iskry na dachu, a wiatr rozdmuchiwał ogień błyskawicznie. Pani Maria narobiła alarmu i sama weszła na dach ze zręcznością kota. Podawałyśmy jej wiadra z wodą bez przerwy, aż do ugaszenia pożaru, natomiast pani Malec nie potrafiła już sama zejść z dachu, musiałyśmy ją zdjąć. Była od nas starsza, miała dorosłych synów. I zupełnie nie pamiętała, w jaki sposób znalazła się na dachu.

Obraz pobytu w łagrach byłby niepełny, gdybym nie opisała przyrody, która nas otaczała. A więc najpierw Syberia. W otaczającej nas tajdze przeważały drzewa iglaste, od czasu do czasu tylko rosły potężne brzozy z białą korą, która pokazywała nie tylko główny pień i konary, ale nawet małe gałązki. Można ją było rozdzielić na cienkie, jak papier warstwy i pisać na nich listy. Pozostałe gatunki – to drzewa iglaste, w więc ogromne i o bardzo grubych pniach modrzewie, cudownie pachnące przy rozwijaniu swoich igieł – liści. Są bardzo ciężkie, toną w wodzie. Przekrój pnia ma barwę czerwoną. Cudowne, bardzo wysokie świerki, widziałam ich dwa rodzaje: srebrne i ciemnozielone, z daleka wyglądają na prawie czarne. Rosną jak piękne ogromne choinki, gałęzie mają od podnóża aż po szczyt. Niebotyczne sosny i cedry. Mają podobne igły, z wyglądu różnią się tylko pniami: sosna ma korę chropowatą, cedr – zupełnie gładką i jadalne orzechy-szyszki. Ponieważ na cedr trudno spiłowali całe drzewo, aby oberwać szyszki... Kwiaty i grzyby nie mają tam zapachu. Pachnie jedynie dziki czosnek i cebula. Zwierząt żadnych nie widziałam, może dlatego że te muchy tak ciężkie, z ptactwa – dzięcioły i duże szaroczarne wrony. Na pewno żyła tam jakaś fauna, nie spotkałam jej jednak. Pewnej nocy w zimie zbudziły mnie koleżanki, aby obejrzeć zorzę polarną. Jest to istotnie niespotykane u nas zjawisko. Niebo pokrywa feeria ogni i ogników ruchomych, w kolorach: złoty, czerwony, czarny w różnych odcieniach, które wciąż przemieszczają się i zmieniają pozycje. Ciekawa też była niewielka rzeka Czuksza. W jej wodzie musiał być rozpuszczony jakiś minerał, bo barwił wodę na ciemnozielony kolor, nawet w naczyniu woda była zielona, choć już nie ciemna.

Zorzę polarną miałam możliwość oglądać także w Buchta-Wanino, przed wyjazdem na Kołymę. Ta była jeszcze piękniejsza. Bardziej kolorowa. Były w niej odcienie seledynu, żółci, czerwieni, nie było zaś czarnego. W ogóle niebo na Kołymie jest piękne i całkiem inne niż u nas. Kopuła jest jakby wyższa, o bardzo intensywnie niebieskim, prawie szafirowym kolorze. Szczególnie urocza jest w czasie wschodu i zacho-

du słońca. W zimie – kiedy słońce prawie jednocześnie wschodzi i zachodzi między godziną 11.00 a 12.00, zorze poranno-wieczorne odbijają się na bieli śniegu, którym pokryte są sopki – czyli wzgórza około 300-400 metrów wysokości o dość łagodnych stokach i nie stromych szczytach – i zabarwiają ten śnieg na intensywnie różowy kolor, prawie amarant. Zjawisko wspaniałe, u nas nie spotykane. W ogóle doba na Dalekiej Północy w zimie ma trzy kolory: czarna noc przeważa, dzień jest szary, śnieg go tylko rozjaśnia i ta godzina wschodu-zachodu, jeśli jest pogodnie. Latem jest przez całą dobę widno. Tylko około 21.00 – 22.00 (nie miałyśmy przecież zegarków) kula słoneczna chowa się za horyzont i po godzinie z tego samego miejsca znowu się wynurza, a w międzyczasie jest wciąż widno. Tak jest w czerwcu. W lipcu-sierpniu na zachodzie są zorze wieczorem o kolorze seledynu, złota, różu. Jeśli są obłoki to i te barwią się od zorzy. Pracowałam na trzy zmiany, dlatego miałam możliwość obserwować niebo i nazwałam to zjawisko surowym pięknem północy. Tundra – roślinność stanowią lasy iglaste, daleko niższe i cieńsze od tych z tajgi, ale bardzo nasycone smołą. Nawet małe rosnące drzewko natychmiast zapala się od zapalniczki, zresztą w tajdze drzewa są bardzo smoliste, zaraz po ścięciu nadają się na opał.

Lasy były w południowej części tundry, często płonęły i bardzo łatwo było zaprószyć w nich ogień. Bywały takie pożary, które gasili strażacy, wojskowi i my równocześnie nie wracając do obozu nawet przez tydzień. Pamiętam w jaki sposób ugaszono kiedyś taki pożar. W tundrze są wiatry, a więc ogień rozszerza się błyskawicznie. I otóż daleko poza ogniem robiło się przecinkę i okopywało szeroki pas ziemi, następnie podpalano las przed przecinką i ustawiano duży i gęsty szereg ludzi z gałęziami, którzy poruszali nimi, robiąc sztuczny wiatr. W miejscu, gdzie ogień spotykały się z wielkim hukiem – pożar gasł. Tak można gasić pożary, mając olbrzymie połacie lasów i ziemi i niewolników do dyspozycji. Im bardziej na północ, tym uboższa roślinność. Zamiast drzew rosło tam dużo tzw. „ślannika”. Były to dość grube nieraz – pnie, których konary i gałęzie rosły do góry, szyszki ich były jadalne, tak, jak cedrowe. Pnie były ze sobą mocno splecione i rosły poziomo na wysokości czasami metra, a korzenie wpuszczały w ziemię. W tundrze jest dużo jagód, różnych gatunków, niektóre z nich oglądałam po raz pierwszy. A więc borówka-brusznica. Często spotykało się cały czerwony dywan z tych jagód, na bardzo niskich łodyżkach, rosły przeważnie tuż przed szczytami sopek na cienkiej warstwie ziemi, prawie na skale. Tam, gdzie było więcej ziemi – wyrastały na wyższych łodyżkach, a borówki tworzyły zwisające grona. Rosły krzewy o nazwie „łochynia” i smacznych jagodach, podobne nieco do borówki-brusznicy (lepsze), również krzewy – wiciokrzewy, które w smaku podobne były do śliwek, tylko dużo mniejsze i bez pestek. Najsmaczniejsza jednak była „morożka”. Łodygi o liściach truskawki rosły i rozkrzewiały się na wysokości 40-50 centymetrów. Owoce podobne kształtem do

malin, tylko bardziej płaskie i dużo większe, wyrastały poziomo z górnej części rośliny. Miały kolor czerwony zanim dojrzały, dojrzałe – kolor i smak pomarańczy. Były też inne jagody mniej smaczne, które już pominię. Były polne kwiaty, niektóre o intensywnym zapachu goździków. Jeść jagody i oglądać przyrodę tundry mogłam w czasie karczowania pni na sopkach na 6 kilometrze, a głównie w czasie sianokosów, tam miałyśmy trochę więcej swobody.

Do tundry przy końcu zimy (maj), choć śnieg leży tam jeszcze przylatuje z południa dużo ptactwa. Są to żurawie, kaczkę, dzikie gęsi, łabędzie, widziałam nawet pojedyncze czarne w locie. W drogę powrotną odlatują w końcu sierpnia. Widocznie służy im ten klimat i „wyżywienie”, ponieważ do tundry lecą wysoko, natomiast z powrotem – zupełnie nisko, są cięższe, odkarmione, szczególnie gęsi. Konwojenci czasami ustrzelili parę, mimo naszych sprzeciwów. Jeśli chodzi o zwierzęta, to widziałam tam małe szare zwierzątka z puszystym ogonem, podobne do wiewiórki, tylko znacznie mniejsze, zwane tam burunduk. Zimuje on w tundrze, więc w czasie niby-lata gromadzi sobie zapasy: jagody – głównie borówki-brusznice, czasem wyłuskane szyszki ze słannika. Na zimę, albo jej część, zasypia. Widziałam takie „dziuple”, które burunduki urządzają sobie w ściętych pniach drzew i widziałam te zapasy. Podobno jeśli ktoś zniszczy mu kryjówkę i zapasy (my czasami, karczując pnie, robiłyśmy to nieświadomie i z konieczności), zwierzątko popełnia samobójstwo przez powieszenie, wkładając główkę między dwie gałązki drzewa lub krzewu. Parę razy widziałam zająca, nie białego, lecz szaraka. Jeden raz konwojent strzelał do lisa – rudziaka, nie trafił go jednak. Poza tym były tam niedźwiedzie. Widziałam przepływającego przez jezioro misia, był brunatny. Napotykałam też jego ślady tuż obok naszego szałas na piasku obok paleniska, często przed nami szedł do wodopoju i zostawiał ślady na strąconej rosie (my o godzinie 3.00 rano szłyśmy kosić, ale on widocznie wstawał wcześniej od nas. Czasami podkradał nam rybę, którą uwiązywałyśmy w rzece. Dostawałyśmy ją jako rację żywności na tydzień albo dwa (przeważnie był to duży łosoś) i trzeba to było przechowywać w lodowatej wodzie. Niedźwiedzie żywią się też jagodami. W okresie względnego ciepła, kiedy mają żywność, nie są groźne dla ludzi, chyba że napotka się niedźwiedzicę z małymi. Natomiast jeśli spotka się w zimie tzw. brodzącego misia, który obudził się ze snu z jakiegoś powodu i jest głodny, wówczas jest niebezpieczny, rzuca się na ludzi i może rozszarpać. O tym już jednak wiem z opowiadań.

Widziałam także Jakutów, którzy jeździli reniferami. Jeździec stał na długich i szerokich nartach, zamiast sań. Zaprzęg ten mknął z istic imponującą szybkością. Niektórzy Jakuci mieli psie zaprzęgi (6-12 psów), woźnica siedział na sankach i powoził. Jeśli chodzi o samych Jakutów, jest to prymitywny, koczowniczy naród. Władze

ZSRR nie starały się go cywilizować, nawet do własnego tam poziomu oświaty.

W kwietniu 1955 roku zostałam przewieziona wraz z grupą innych kobiet samolotem do Bałagannoje. Rolę lotniska spełniała oczyszczona tafła lodowa na Morzu Ochockim. Początkowo użyto nas do rozładowywania barek z owsem (po 50 kg worki), potem worki z cukrem – po 100 kg. Musiałyśmy wyglądać z tymi workami jak mrówki dźwigające ciężar przewyższający wagę ciała. Niewolnik jednak był niżej ceniony od zwierzęcia. Koń i krowa posiadały jakąś wartość materialną i za niewłaściwą eksploatację ich nakładane były kary. Więźniowie nie przedstawiali wartości, można więc ich było zamęczyć bezkarnie na śmierć. Następnie zostałyśmy przewiezione do odległego o 36 kilometrów Tałonu. Stamtąd trafiłam na 30 km do sowchozu (państwowe gospodarstwo rolne – PGR). Tu warunki były nieco lepsze. Nie nosiłyśmy już numerów, do pracy chodziłyśmy bez konwoja, spałyśmy na łózkach, a nie jak dotychczas na piętrowych pryczach. W baraku było nas około 20, a nie 150. Chleb nie był ściśle racjonowany, nie było go jednak pod dostatkiem i wyżywienie na ogół liche. Lżej było o tyle tylko, że nam płacono za pracę jakieś nędzne grosze, za które można było coś kupić w sklepie w Tałonie, odległym o 6 km. Na osiedlu mieszkał z nami strażnik, miałyśmy jednak pewną swobodę ruchu, dużo większą niż w obozie. Tam nadal panował dotychczasowy rygor, my zaś pracownice z 30 km mogłyśmy wejść do obozu i wyjść stamtąd bez sprzeciwu straży. Na 30 km mieszkał również wolny elektryk – Tatar. Kręciło się też tam kilka bezdomnych psów. Jednego z nich - Bukieta, Tatar nienawidził więc go kaleczył słupołazami. Nam żal było psa, więc wzięłyśmy go do siebie do baraku. Był to owczarek alzacki, duży ładny pies. Wszystkie przynosiłyśmy część swoich porcji jedzenia, żeby go nakarmić. On przywiązał się do nas i pilnował baraku. Często w czasie naszej nieobecności przychodzili ludzie przejezdni, żeby się ogrzać. On wpuszczał wszystkich, ale kładł się przed drzwiami i nie wypuścił nikogo, zanim któraś z nas nie wróciła z pracy. Między sobą mówiłyśmy jednak, że ten pies męczy się u nas, nie może nawet sam wyjść na dwór, zawsze Tatar go kaleczył. Wreszcie jedna z nas umówiła się z wolnym Rosjaninem, który chciał go zabrać, na co wszystkie zgodziłyśmy się, Rosjanin miał własny dom, ale mieszkał 30 km od nas. Pewnego dnia przyjechał po psa na saniach z traktorem i mówi dajcie mi psa. A nam wszystkie tak się go żal zrobiło, że żadna nie chce się ruszyć, by przełożyć sznurek przez obrozę. Ja pierwsza to zrobiłam i uciekłam, potem następne koleżanki przeciągnęły sznur i oddały nowemu właścicielowi. Wszystkie 16 odprowadzałyśmy psa do sań, a on stał na brzegu i żegnał się tak z nami, ale nie wrywał się, widocznie rozumiał, że będzie mu lepiej. I rzeczywiście było lepiej, i pies i gospodarz byli z siebie zadowoleni.

Uprawa ziemniaków, ogórków w inspektach czy małej ilości pomidorów w cie-

plarni mogła się opłacić tylko przy wykorzystaniu niewolniczej pracy. Z uwagi na klimat i krótki okres wegetacyjny, nic prócz trawy tam nie rośło. Trzeba było ogromnego nakładu pracy, żeby zasadzić choćby ziemniaki. Około 10 czerwca z pól schodził śnieg, a 20 września już była zima w pełni. Aby przyspieszyć topnienie śniegu na polach o dwa tygodnie, rozwoziłyśmy na nartach i rozsypywałyśmy piasek. W ten sposób ciemna powierzchnia pól przyciągała promienie słoneczne i śnieg topniał wcześniej. W międzyczasie należało szykować sadzonki ziemniaka w ogrzanych pomieszczeniach. Sadziło się je do ziemi już z zielonymi listkami lub wyrosniętymi chrząstkami. Dzięki białym nocom (dużo światła) ziemniaki wyrastały często bardzo duże, nie zakwitwały jednak, a bulwy były wodniste, pokryte cienką skórką, psuły się więc w zimie. Na ogórki szykowało się inspekty. W tym celu rozpałało się ogromne pryzmy nawozu, wywoziło się mnóstwo śniegu, narzucało się gorący nawóz, przysypywało ziemią. Ponieważ na północy nie ma pszczoł, dziewczęta musiały zapylać kwiaty, leżąc całymi dniami w inspektach i dobierając odpowiednio płeć kwiatów. W rezultacie wyrosło tylko parę kilogramów ogórków przeznaczonych dla władców niewolników. Pomidory, jako rośliny wiatropylne nie sprawiały tyle kłopotu z zapylaniem, z powodu zimna jednak słabo się udawały. Jedynie trawa rosła wysoka. Kosiliśmy ją i układaliśmy w dużych pojemnikach na silosy całymi tonami. W zimie zabierano ją i przewożono kilkanaście kilometrów dla krów, których zresztą nawet nie widziałam, nawóz przywożono i układano w pryzmy.

Zamęczano nas pracą, której rezultat był znikomy. Zaczęły do nas dochodzić słuchy o zwalnianiu więźniów. Każda więc z nas starała się przyszykować sobie jakieś buty czy ubranie, odłożyć parę groszy na ewentualną podróż. Mnie udało się po godzinach pracy zarobić trochę koszaniem dla wolnych. Oni także musieli obowiązkowo dostarczać pewną ilość ton trawy, a kosić im się nie chciało. Angażowali więc do tej pracy dziewczyny najlepiej koszące, do których i mnie zaliczano, oddawali też nam pieniądze otrzymane za trawę. Różnica między zapłatą za tę samą pracę wolnym i nam była ogromna. Na przykład za dwa popołudnia koszenia dwom dziewczynom wolnym zapłacono tyle, co nam za cały miesiąc.

Między nami było kilka bandytek. One wprawdzie pracowały, ale zachowywały się rażąco, choćby przez skandaliczne słownictwo. Pewnego razu jedna z nich umówiła się z jakimś złodziejem i wpuściła go w nocy do naszego baraku, kierując go do mnie. Nie była nawet do mnie źle nastawiona, w jej mentalności znaczyło to sprawienie mi wielkiej przyjemności. Bandzior pomylił się widocznie i poszedł do mojej sąsiadki, którą była starsza Estonka – po czterdziestce. Tamta zaczęła krzyczeć, wołać pomocy, więc ja wstawiłam się za nią. Wówczas ten zostawił Estonkę i przyszedł do mnie. Byłam silna, broniłam się więc dzielnie, ale żadna z moich 18-tu współlokatorek nie

przyszła mi z pomocą, nawet sąsiadka, którą obroniłam. Pewnie tragicznie dla mnie skończyłoby się całe zajście, gdyby nie nadeszła nieoczekiwana pomoc. Przyszedł drugi bandzior i siłą wyciągnął z baraku tego pierwszego, widocznie śledziła ich milicja. Swoim koleżankom wygarnęłam nazajutrz pretensję, że mi nie pomogły, nie wszystkie jednak rozumiały, że gwałt jest czymś potwornym,

Na wiosnę 1955 roku mianowano mnie brygadierką. Miałam o tyle lżej, że nie pracowałam fizycznie, zappełniałam natomiast karty pracy dla pracowniczek, musiałam dopilnować, zmierzyć wykonaną pracę. W brygadzie było kilka błatniarek, które zresztą pracowały. Pewnego dnia jedna z nich dostała furii i chciała zabić Litwinkę. Wymachiwała kilofem i nikt nie mógł do niej podejść. Przeraziłam się, kazałam Jance iść do baraku, co było nie do pomyślenia w warunkach obozowych. Sama podeszłam do wścieklej błatniarki, od której udało mi się odebrać kilof. Po chwili błatniarka nie widząc Litwinki uspokoiła się. Wkrótce wypełniałam karty pracy, wypełniłam je też błatniarkom. Następnego dnia przychodzi agronom (wolny) i mówi po co wypełniałam karty błatniarkom, lepiej zapisać to swoim, a tamte wyjeżdżają na etap. Pomyślałam sobie, że o swoich nie zapomniałam, a do niego mówię, że one pracowały. Agronom wzruszył ramionami i mówi „kak chotite”. Karty wypełnione zostały i błatniarki dostały za to jakieś pieniądze pierwszy raz w ciągu całego pobytu w łagrach. Tak się z tego cieszyły, że biegały po obozie (mnie tam nie było, zostałam na 30 km, opowiadały mi to tylko koleżanki) i wykrzykiwały: „Ira człowiek”, co oznaczało najwyższe uznanie w ich języku. Pomyślałam sobie, że nawet z takiego elementu można zrobić ludzi, sprawiedliwie z nimi postępując. Na etap rzeczywiście je wywieziono, lecz zdarzyło się coś niezwykłego – wróciły z powrotem, ponieważ obóz naznaczenia był już zlikwidowany. Gdybym posłuchała rady agronoma nie wykluczone, że skróciłyby mnie o głowę.

Północne lato mija szybko. W drugiej połowie września jest już zima, długie noce. Jeśli do końca sierpnia nie wykopie się z takim trudem posadzonych ziemniaków, zamarzają na polu i cały wysiłek idzie na marne. W 1955 roku zdarzyła się w Tałonie taka zima, jakiej najstarsi jej mieszkańcy nie pamiętali. Otóż w pełni zimy, w październiku zaczął padać ulewny deszcz, co trwało trzy doby. Ziemia była zamrznięta, woda mieszała się ze śniegiem, ale nie wsiąkała w grunt. My wszystkie miałyśmy zimowe umundurowanie, a więc walonki, w których nie można było wyjść poza barak. Dobrze, że jedna z koleżanek miała jakieś „wykombinowane” trzewiki. Ta jedna para butów była „dyżurna” dla nas wszystkich. Po trzech dobach nastał znowu siarczysty mróz. Podobne zjawisko powtórzyło się jeszcze raz w grudniu, znowu trzy doby padał ulewny deszcz i następnie mróz. Śnieg z zamrzniętym deszczem stał się tak ciężki, że załamywały się dachy pod jego ciężarem. Kazano nam więc zrzucać śnieg z da-



chów. Bardzo często my również zjeżdżałyśmy ze śniegiem, ale nie pamiętam jednak żadnych złamanych kończyn.

Nastała wiosna. Ta trwa na północy kilka dni. Śnieg topnieje gwałtownie i spływa do rzek. Tym razem jednak było go tak dużo, że dwie niewielkie rzeczki, między którymi znajdowało się nasze osiedle, nie były w stanie przyjąć tak wielkiej ilości wody. Nastąpiła powódź. Dziewczęta, które mieszkały w barakach musiały natychmiast przenieść się na strych. Ja mieszkałam wówczas w pokoiku wraz z dwoma kobietami w tzw. owoszczechraniliszczu, czyli w ogromnej ziemiance, w której na półkach przechowywało się ziemniaki utrzymując odpowiednią temperaturę (0,5 - 1°C). Trzy osoby w pokoiku, to już wielki luksus, jak na warunki obozowe. Żywność dowożono nam łódką lub motorówką z Tałonu. Nasza trójka miała o tyle dobre warunki, że mogłyśmy ugotować sobie trochę ziemniaków. Nie trwało to jednak długo, ponieważ woda zalała nasze pomieszczenie i palenisko w piecu. Musiałyśmy się wynieść na strych, gdzie było strasznie zimno i czekać aż dowiozą nam lub nie dowiozą trochę chleba. Koleżanki, które mieszkały na strychu nad barakiem znalazły się w znacznie gorszej sytuacji od nas. Musiały czekać na łódkę, która się pojawiła na najwyższej raz na dobę, aby je kolejno wozila na nasyp ziemi nad ziemianką w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych. Taka „sielanka” trwała trzy tygodnie, aż wreszcie woda zaczęła opadać. Z kolei ogarnęła nas plaga komarów, największa od początku uwięzienia. Komary cięły nas nie tylko w dzień, ale i w nocy wciskały się najmniejszymi szczelinami lub przez komin do pomieszczeń mieszkalnych. Staraliśmy się odpędzać je dymem, dorzucając do naczyń z gorącym węglem wilgotną trawę. Rezultat był taki, że same byłyśmy bliskie uduszenia, a komary cięły dalej. Żeby móc choć trochę odpocząć i zasnąć w nocy wymyślałyśmy sobie różne „klosze” z gazy, naciągane na drewnianą ramkę.

Najdrożniemu  
Mariusze  
z dalekiej  
sibirskiej obojczyzny -  
Inna  
Magadan, 6. III. 1955

*Pocztówka wysłana z obozu w Magadanie*

Mój pobyt w łagrach miał się już jednak ku końcowi. Zwolniono mnie na podstawie orzeczenia specjalnej komisji, która przyjechała z Moskwy i sądziła nas po raz drugi. Oni mieli wszystkie nasze dokumenty, sprawdzili różne rzeczy, pytali. Nie wiem z czyjego zalecenia przyjeżdżały te komisje, ale w 1956 roku wszystkim politycznym rewidowali wyroki. Wtedy u władzy był Malenkow. Mnie już i tak tylko pół roku zostało do końca wyroku, gdyż ktoś z naszej sądzonej grupy napisał pismo z prośbą o rewizję (ponowne rozpatrzenie sprawy) i całej grupie zmniejszono wyroki do 10 lat. A ponieważ ja siedziałam już 8 lat, miałam półtora roku „zaciotów” (pracę powyżej normy odpisywano stopniowo od wyroku), więc dla mnie niewielka była łaska – to wcześniejsze zwolnienie. Dali nam zaświadczenia (tzw. Sprawki) i z nimi pojechaliśmy do Magadanu. Tam dano nam kwaterę w opuszczonym obozie, skąd wpuszczono nas dopiero po wyrobieniu paszportów. Zwolniono wówczas około 100 kobiet (był to ostatni zlikwidowany obóz kobiecy dla politycznych). Ten ostatni proces miał charakter tzw. Zamazania sprawy, a wyrok brzmiał: „niecelowe dalsze przebywanie w obozie”. Dzięki

temu nie miałyśmy zsyłki, jak więźniowie wcześniej zwolnieni. Byłyśmy więc w pełni wolne. W Magadanie byłam około 2 tygodni. Dali nam dokumenty, bilety na statek i pieniądze (niewiele). Zebrała się nas czwórka Polaków: Hela Jursza, Bronek, którego nazwisko zapomniałam, Janek Komorowski i ja. Przed północą porobiliśmy niezbędne zakupy – głównie żywności, ponieważ z uwagi na szczupłość naszych kieszeni nie stać nas było na restaurację na statku. Mnie udało się kupić od koleżanki buty, miałam z domu sukienkę w dobrym stanie, ponieważ nie wolno jej było nosić w obozie. Kupiłam płaszcz. Janek również kupił sobie brązowy płaszcz, nie wyglądaliśmy więc na nędzarzy prosto z obozu. Nie wiem jak dojechaliśmy do domu same, bez naszych chłopców. To oni opiekowali się nami i byli obroną przed bandziorami, których na statku było bardzo dużo. Same nie mogłyśmy się nigdzie ruszać, nawet do ubikacji musiałyśmy chodzić pod „eskortą” kolegów. Podróż była oczywiście ogromnie przyjemna. Wracaliśmy się przecież z piekła do jakiegoś normalnego świata, do domu, do bliskich. Płynęliśmy statkiem „Bałchasz” do Nachodki, a stamtąd koleją przez Moskwę. Tam mieliśmy przesiadkę, musieliśmy długo czekać na swój pociąg. Obok nas siedział podoficer w polskim mundurze, rozmawialiśmy, więc ze sobą dość głośno, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, przecież języka polskiego w Moskwie nie słyszy się zbyt często. I ku naszemu rozczarowaniu wojak w ogóle nie zareagował na naszą konwersację. Obecnie rozumiem, że on prawdopodobnie był takim Polakiem, jak ja Turczynką i polskiego języka nie znał, nosił tylko polski mundur. Wówczas jednak jeszcze nie wiedziałyśmy o tym. Rozmowę naszą usłyszał natomiast rodak, który tak jak my wracał z obozów w Karagandzie. Przyłączył się do nas natychmiast. Wyraźnie jednak spoglądał na mnie z dezaprobatą. Uważał, że jestem zbyt elegancka, że na ubranie musiałam zrobić niezrządem. Patrzył na mnie uporczywie z potępieniem. Wytrzymałam ten wzrok, patrząc mu prosto w oczy. Minęło ponad trzydzieści lat od tego czasu, lecz ja dotychczas nie mogę zapomnieć tej pochopnej opinii. Jak śmiał tak sądzić? Ja na ten płaszcz zarabiałam koszmiem i zaradnością, jaka cechowała prawie wszystkie rodaczki w łagrach. Do dzisiaj boli mnie taki osąd nie tylko rodaka, ale też wielu innych. Dotyczy to oczywiście wszystkich Polek, które przeszły przez łagry. Jest to niesprawiedliwe odzieranie nas z wielkiej godności, z jaką reprezentowałyśmy swoją Ojczyznę, nawet tam na nieludzkiej ziemi. Przecież mężczyźni mogli tylko czasami obserwować zachowanie kobiet – kryminalistek, odartych z jakiegokolwiek moralności, zasad, skrupułów. Na tej podstawie w żadnym wypadku nie wolno osądzać swoich rodaczek, ponieważ nawet nagannego prowadzenia się tych bardzo nielicznych, nie sposób porównać do wyuzdanych bandytek.

W Moskwie rozjechaliśmy się w różne strony. Z Jankiem rozstaliśmy się w Baranowiczach. On pojechał do Kobrynia, ja dojechałam do stacji Mosty. W Piaskach

mieszkał ojczym z mamą, która wróciła 4 miesiące przede mną z zesłania w Krasnojarskim Kraju. Mama była tam około 8 lat. Miała zerwane ścięgna w nogach, nie mogła pracować fizycznie, więc zarabiała różnymi robótkami: umiała pięknie haftować, robić papierowe kwiaty itp. Po zwolnieniu z obozu wysłałam do domu telegram, zawiadamiający o moim powrocie, ale jak przyjechałam to mnie mama nie poznała – tak się zmieniłam.

W Piaskach byliśmy niedługo. Złożyliśmy dokumenty o wyjazd do Polski. Ojczym też był prześladowany, przesłuchiwany. W czasie przypadkowego spotkania w Grodnie śledczy mu poradził, żebyśmy wszyscy wyjechali do Polski. A mnie – jeszcze w czasie przesłuchań na Kołymie jeden ze śledczych powiedział: „właściwie jedyną waszą winą było to, że nie wyjechaliście do Polski”. Do Polski wyjechaliśmy w końcu stycznia 1957 roku w ramach repatriacji. Po powrocie do kraju nie byliśmy represjonowani. Zawsze podawaliśmy w życiorysie całą prawdę. Nie miałam trudności z otrzymaniem pracy, bo nasz zawód (farmaceutów) był deficytowy.

Po powrocie skończyłam średnią szkołę farmaceutyczną w Warszawie. Na studia nie mogłam sobie pozwolić, nie tyle ze względów materialnych, co psychicznych. Pobyt w obozach zupełnie człowieka wyjął intelektualnie, a w dodatku ja miałam zaniki pamięci. Zawsze marzyłam o studiach, ale to nie było możliwe również dlatego, że musiałam pomóc ojczymowi jakoś się zagospodarować, co nie było łatwe. Rodzice dostali mieszkanie w Raciążu, ja i ojciec – pracę.

Miejscowi mówili na nas „Ruski”, co mnie doprowadzało do pasji. My mówiliśmy śpiewnym akcentem, ale po polsku. Z czasem jakoś się ułożyło. Kościół odegrał tu bardzo pozytywną rolę. Poza tym solidnie pracowaliśmy i mieszkańcy Raciąża dotychczas nas za to cenią i darzą zaufaniem.

Nie czuję nienawiści do ludzi, ani żalu, czy goryczy za tamte lata. Nawet – za straconą młodość. Nie chcę i nigdy nie chciałam na nikim się mścić. Mam określony stosunek do tego systemu, ale nie do poszczególnych ludzi – oni może nawet nie wiedzieli co robią.

Według mnie Rosjanie są lepsi od Niemców, jako naród są uczuciowi i uczynni. Ja Niemcom nie ufam, a Rosjan darzę pewną sympatią.

Raciąż, listopad 1989 rok

*Nagrywała Małgorzata Giżejewska.*

## POSŁOWIE

Po czterdziestu z górą latami od przejścia przez piekło na ziemi napisałam, z właściwie uzupełniłam nagrane na taśmie wspomnienia z tamtych, jakże odległych już czasów.

Zdaję sobie sprawę, że opisałam tylko znikomą część swoich przeżyć, jest to zaledwie ich zarys. Pamięć ludzka jest ulotna, a nie mogłam korzystać z żadnych notatek na bieżąco, ponieważ nikomu z nas nie pozwalano robić. Jeśli nawet ktoś próbował notować, to nieustające rewizje osobiste (2 razy dziennie – przed wyjściem do pracy i po powrocie) i bardzo częste w barakach, likwidowały każde słowo pisane lub drukowane. Mnie np. odebrano nawet wyrok, który przecież oficjalnie dostałam na rozprawie Wojskowego Trybunału.

Nie zabrałam się do pisania wcześniej z powodu oporów psychicznych, po prostu nie miałam sił na rozdrapywanie przyschniętych ran i przeżywanie tego koszmaru na nowo. Przyznam się, że i dzisiaj spełniam tę powinność wobec współczesnych i potomnych Polaków z wielkim trudem. Zdaję sobie sprawę, iż jestem jednym z niewielu już żyjących świadków historii II Rzeczypospolitej Polski, której dzieje w ciągu pięćdziesięciu lat były zakłamywane lub przemilczane i tylko dlatego zdobyłam się na wysiłek, by dać świadectwo prawdzie.

Trudno jest odtworzyć straszne przeżycia 8 lat na kilkudziesięciu stronicach papieru. Chyba jednak jeszcze jest trudniej oddać atmosferę tych wydarzeń i stan psychiczny ludzi, w których intensywnie likwidowano każdy pozytywny ludzki odruch. Rozdzielano rodziny, przyjaciół, niszczone najmniejszą próbę samodzielności. Zamęczano nas pracą ponad ludzkie siły w warunkach bytu tak złych, że z rozkoszą zamienilibyśmy się ze zwierzętami domowymi – te były przynajmniej karmione lepiej od nas. Przez prawie 8 lat chodziłam stale głodna i największym moim marzeniem było, aby raz w życiu najeść się chleba do syta. Musieliśmy też znosić bardzo trudny klimat w północnej części ZSRR. Wygłodzony i umęczony człowiek staje się zwierzęciem, gotów jest wyrzucić kawałek chleba, innemu człowiekowi, w skrajnych wypadkach nawet mordować. I trzeba naprawdę ogromnej siły woli, aby tym zwierzęciem nie zostać.

My Polacy, i inne narody chrześcijańskiej Europy, mieliśmy wszczepione od kołębki zasady etyki religijnej, które nam pomagały pozostać do końca człowiekiem.

Znacznie gorzej było z ludźmi, którzy tych zasad nie posiadali. Z lada powodu lub zgoła bez powodu zdarzały się nagminne mordy, grabieże, nie mówiąc o zwyrod-

nieniu seksualnym, czy seksualnych zbrodniach.

Polscy więźniowie sowieckich łagrów przeszli przez piekło, jakiego nikt normalnie żyjący nie jest w stanie sobie wyobrazić, a mimo to przynajmniej ogromna większość nie stała się diablami.

Dwa pokolenia Polaków II Rzeczypospolitej walczyły o jej wolność, poświęcając bez sekundy wahania życie, całą ewentualną przyszłość, cierpiąc bez cienia skargi trudy i męki w obozach hitlerowskich i stalinowskich, walcząc w podziemiu. Ulegliśmy przemocy, a sojusznicy obeszlili się z nami zdradziecko i okrutnie. Nie przynieśliśmy jednak wstydu swojej Ojczyźnie. Następne pokolenia mogą być dumne z właściwej i zdecydowanej postawy, a często bohaterstwa swoich przodków.

Polsko, kiedy znowu wychowasz takich synów i córki, którzy z największym poświęceniem i bez cienia wahania będą Cię bronić, wszystko oddając Tobie? Przekazujemy pałeczkę sztafety następnym pokoleniom wraz z obowiązkiem miłości Ojczyzny, wierności Jej dobremu prawom, godności Jej reprezentowania w świecie, a nade wszystko – pamięci Jej dziejów i chronienia ponad tysiącletniej kultury – by Polska nie zginęła, by żyła!

Żywię nadzieję, iż ofiary i zmagania pokoleń Polaków nie zostaną przez potomnych zmarnowane.

*Irena Olizar*



*Tablica pamiątkowa*

## Teresa Pniewska



**Teresa Pniewska** z domu Siennicka urodziła się 5 października 1936 roku w Raciążu, i tu do wybuchu II wojny światowej mieszkała z rodziną. W grudniu 1940 roku z rodzicami i rodzeństwem została wywieziona do Generalnej Guberni. Przez 5 lat (do kwietnia 1945 roku) mieszkała we wsi Grywałd (obecnie powiat nowotarski, woj. małopolskie). Po powrocie do Raciąża, we wrześniu 1945 roku uczyła się w szkole powszechnej, a po jej ukończeniu kontynuowała naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Raciążu. Po skończeniu tzw. „małej matury” podjęła pracę w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Raciążu, gdzie pracowała do emerytury. Mieszka w Raciążu.

## **PRZEŻYCIA WOJENNE**

### **TERESY PNIEWSKIEJ**

Po rozpoczęciu wojny z Polską we wrześniu 1939 roku, polskie terytorium miało być dla Niemców obszarem nowej przestrzeni życiowej.

Już w październiku '39 r., okupanci hitlerowscy dokonali aneksji ziem zachodnich i północno-zachodnich. Z całego północnego Mazowsza, 26 października 1939 roku utworzono rejencję ciechanowską, którą brutalnie wcielono do Prus Wschodnich. Od tego czasu, okupant zaczął realizować zbrodnicze przedsięwzięcia, polegające na wysiedlaniu z zajmowanych terenów wielu tysięcy ludzi, aby przygotować miejsce dla kolonistów niemieckich, którzy mieli germanizować zajmowane obszary. Polityce wyniszczania narodu polskiego i żydowskiego, służyły organizowane na tych terenach, obozy karne i obozy pracy przymusowej.

Dla mieszkańców północnego Mazowsza, nastał więc czas nieustającego lęku, niepewności jutra i zagrożenia życia, ponieważ akcją wysiedleńczą, hitlerowcy rozpoczęli od mieszkańców terenów wcielonych do Rzeszy.

Zapoczątkowana jesienią '39 r. akcja wysiedleńcza z rejencji ciechanowskiej, objęła wszystkie powiaty z jej obszaru, a więc objęła również mieszkańców Raciąża. Plany eksterminacji dotknęły w pierwszej kolejności ludności żydowskiej, a w grudniu 1940 roku ludności polskiej.

Dzień 2 grudnia 1940 roku stał się początkiem gehenny wielu rodzin Raciąża. W wielkim zaskoczeniu, wczesnym rankiem (około 6 godziny), tego właśnie dnia, z krzykiem i głośnym uderzeniem kolbami karabinów w drzwi naszego domu weszli żandarmi niemieccy, dając mojej rodzinie 3 minuty na zabranie koniecznych rzeczy i opuszczenie domu. Pozbawiono moich rodziców dorobku całego wspólnego życia (własny dom z pełnym wyposażeniem). Głodnych i w zabranych naprędce ubraniach, zaprowadzono nas do punktu zbiorczego. Wszystkich wysiedlonych mieszkańców zgromadzono w naszym Kościele. Rozlegał się tu płacz i krzyki, zwłaszcza głodnych dzieci. Nie wolno było wychodzić na zewnątrz, nawet w potrzebach fizjologicznych.

W godzinach wieczornych, pod Kościół podjechało kilka ciężarowych samochodów, na które załadowano wszystkich wysiedleńców. Ruszyliśmy ulicą Mławską w



nieznanym kierunku. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Wszyscy przypuszczali, że jest to nasza ostatnia droga, tym bardziej, że jechaliśmy dość długo. Było bardzo zimno, ponieważ jechaliśmy w samochodach odkrytych, a był to przecież grudzień. Po około 2 godzinach transport zatrzymał się przy barakach więziennych w Działdowie, który pełnił funkcję przejściowego obozu pracy wychowawczej dla wszystkich, których uznano za wrogów III Rzeszy. Do tego obozu trafiali wszyscy z rejencji ciechanowskiej. Przywieziono tu również mieszkańców Sierpca i Bieżunia.

Pobyt w Działdowie, okazał się bardzo ciężki. Zaraz po przyjeździe ulokowano nas na korytarzu. Przed zakwaterowaniem do cel poddano nas selekcji i szczegółowej rewizji. Ograbiono wysiedleńców ze wszystkiego, co udało się zabrać z rodzinnych domów. Zabierano pieniądze, obrączki, pierścionki, zegarki, nawet przybory toaletowe. Opornych bito i kopano. Następnie wtłoczono nas do cel, w których dokuczał nam brak wody do mycia i potworny brud. Spaliśmy pokotem na resztkach zarobaczonej słomy, w niewygodnych pozycjach i w ubraniach, ponieważ noce były chłodne. Do żywienia dostawaliśmy 2 razy dziennie spleśniały chleb i czarną kawę, cuchnąca zupę brukwiankę podawaną w brudnej menażce. Z uwagi na brak wody toaletę wykonywano zebrany śniegiem. Na nieczystości przeznaczono było wiadro z wiązkami pokruszonej słomy.

W tych koszmarnych warunkach higienicznych, urągających elementarnym prawom człowieka, przebywaliśmy kilkanaście dni. Z każdym dniem, pobyt w tym obozie doprowadzał do całkowitego wyczerpania fizycznego i psychicznego. Przykładem może być p. Brzózka z Raciąża, którego czarne włosy w ciągu jednej nocy całkowicie zsiwiały. Zdarzały się też przypadki, że pod pozorem leczenia, uśmiercano ludzi starych i niedołężnych.

Po około dwutygodniowym przetrzymywaniu zostaliśmy wyprowadzeni na zewnątrz obozu, zobaczyliśmy wokół gestapowców, którzy zaczęli nas pędzić w nieznanym kierunku. Wszystkich ogarnął paniczny strach, ponieważ szczerzo nas także psami, by nie opóźnić wędrówki. Starsi ludzie jednak nie nadawali i przewracali się po drodze. Idący obok ludzie podnosili ich, aby Niemcy nie bili za opóźnienie. W takim strachu szliśmy około pół kilometra, do stojącego składu pociągu. Był to pociąg towarowy, bez żadnych okien, z dużymi rozsuwanymi drzwiami, do którego nas wpychano. Pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Po kilku godzinach słychać było w wagonach straszny płacz dzieci oraz rodziców, a my jechaliśmy bez żadnego jedzenia i picia. Jechaliśmy dość długo, gdy nagle pociąg zatrzymał się w polu, w pobliżu znajdującego się lasu. Wtedy rodzice i moje starsze rodzeństwo uznali, że jest to już koniec dalszej podróży. Jednak po niewielkim postoju, pociąg ruszył dalej.

Jak się później okazało zgodnie z rozkazem władz okupacyjnych, deportowano nas na południe Generalnej Guberni.

Po krótkim postoju w Częstochowie, ruszyliśmy do Krakowa. Tam ogłoszono nam dwugodzinny postój, podczas którego osoby potrzebujące pomocy lekarskiej mogły zgłosić się w dworcowej siedzibie Czerwonego Krzyża. Moja mama skorzystała z tej okazji i poszła prosić o jedzenie. Przyniosła trochę chleba i gorącej zbożowej kawy. Jednak każdy ruch ludzi odbywał się pod kontrolą żandarmów. Po zakończonej przebie, pociąg ruszył dalej. Nad ranem dotarliśmy do Nowego Targu. Z dworca kolejowego konwojowano nas do rynku, gdzie stały czekające na nas furmanki, które dowiozły nas do Krościenka. Tu nastąpił ostatni etap podróży, polegający na rozwiezieniu wysiedleńców do wyznaczonych miejscowości położonych w woj. krakowskim, czyli do Generalnej Guberni. Były to miejscowości: Kluszkowce, Grywałd i Tylka.

Moja rodzina oraz rodzina Ciskich i Sadowskich trafiła do Grywałdu. Po przybyciu na miejsce przeznaczenia zostaliśmy zakwaterowani w szkole. Ulokowano nas w jednej wspólnej sali, w której były rozłożone sienniki ze słomy. Następnego dnia zaczęto wysiedleńców dokwaterowywać na siłę do biednych, wielodzietnych rodzin chłopskich. Moja rodzina zamieszkała w jednej izbie u p. Michała i Rozalii Mszanik w 6-osobowym składzie: Ojciec Walenty ur. w 1894 r., Mama Władysława ur. w 1897 r., brat Tadeusz ur. w 1921 r., brat Jerzy ur. w 1926 r., siostra Bogumiła ur. w 1928 r., i ja, Teresa ur. w 1936 r. Na dożywianie wszyscy wysiedleńcy uczęszczali do wyznaczonych już przez sołtysa rodzin góralskich, po jednej osobie. We wszystkich rodzinach była bieda, jednak górale dzielili się z nami tym, co sami posiadali do wyżywienia.

Po roku, wszystkie wysiedlone rodziny zostały przeniesione do wybudowanego baraku, w którym były wydzielone oddzielne wejścia. Z uwagi na zaangażowanie mojego ojca w prace na rzecz mieszkańców Grywałdu oraz liczniejszą rodzinę, otrzymaliśmy w niedługim czasie samodzielne mieszkanie, w domu po rodzinie żydowskiej, która została rozstrzelana. W tym domu, ojciec mój miał stałe zajęcie. Przyjmował mleko od gospodarzy, które następnie przewożone było do Mleczarni w Krościenku. Staliśmy się więc rodziną już poniekąd samowystarczalną.

Po krótkim okresie pobytu w Grywałdzie, mój starszy brat Tadeusz, zaryzykował wyjazd do Warszawy. Mieszkał już w Warszawie przed wysiedleniem. Po ukończeniu szkoły powszechnej za namową wujka Kazimierza Siennickiego postanowił kontynuować dalszą naukę. Przyjechał do domu nieco wcześniej, na Święta Bożego Narodzenia i zastało go wysiedlenie. Z Warszawy przyjechał jeszcze do Grywałdu dwukrotnie. Ostatni raz był w 1944 roku. Mimo prośby rodziców, nie chciał z nami pozostać do

końca. Jak się później okazało był związany z organizacją AK i musiał stawić się w Warszawie na tzw. Godzinę W. Mając 23 lata zginął w Powstaniu Warszawskim. Swoją skrywaną przed rodzicami tajemnicę wyjaśnił dopiero w krótkim liście, wysłanym jeszcze ze szpitala. Został pochowany na Cmentarzu Powstańców Warszawskich przy ulicy Wolskiej.

W czasie pobytu w Grywałdzie, również młodszy brat Jerzy, związał się z konspiracyjną grupą partyzancką zwerbowany przez poznanych już starszych kolegów. Za swoją działalność otrzymał po wyzwoleniu jednorazowe odszkodowanie z tzw. Funduszu Pojednanie Polsko-Niemieckie. Działalność jego, potwierdzili żyjący jeszcze po wojnie, świadkowie mieszkający w Grywałdzie.



*Grywałd, czerwiec 1941, druga od lewej Teresa Pniewska.*

Natomiast ja, po osiągnięciu wymaganego wieku rozpoczęłam naukę w I klasie Szkoły Powszechnej w Grywałdzie. Nauka odbywała się w klasach łączonych. Nauczycielką była p. Zofia Celewicz. Nauki w tej klasie nie zdążyłam dokończyć, z uwagi na powrót do Raciąża, bo nadszedł wreszcie upragniony przez wszystkich dzień wyzwolenia w Grywałdzie, był to dzień 30 stycznia 1945 roku, w którym do wsi wkroczyły wojska radzieckie. Wszystkie wysiedlone rodziny postanowiły wrócić razem w jednym terminie. Do Raciąża wróciliśmy 25 kwietnia 1945 roku. Podróż powrotna, odbywała się też wagonami towarowymi, z przerwami trwała około 2 tygodni. W przerwach, spowodowanych brakiem połączeń, koczowaliśmy na zniszczonych poczekalniach dworcowych.

Po przyjeździe do Raciąża, okazało się, że dom rodzinny został całkowicie rozebrany, ponieważ znajdował się vis a vis siedziby żandarmerii niemieckiej. Wobec tego zostaliśmy rozproszeni po bliskiej rodzinie. Dzięki staraniom brata mojego ojca, Kazimierza Siennickiego, zamieszkałego w Warszawie, otrzymaliśmy wkrótce małe jednoizbowe mieszkanie, w budynku dawnego Kina przy obecnej ulicy Wolności, a w niedługim czasie zamieszkaliśmy w samodzielnym mieszkaniu przy ul. Płockiej 4. Po powrocie zaczęłam uczęszczać do II klasy Szkoły Powszechnej, mieszczącej się w istniejącym jeszcze budynku, przy ul. Mickiewicza (dziś opuszczony). Po kilku dniach, nie chciałam dalej chodzić do szkoły, z uwagi na wyśmiewanie się ze mnie przez pozostałych uczniów. Związane to było z moją wymową, tzw. „gwarą góralską”. Dopiero po rozmowie mojego ojca z wychowawczynią p. Jadwigą Kałbińską, sytuacja zaczęła się normalizować.

Z czasów tej szkoły zapamiętałam napad bandy „Cacko” na sklep mieszczący się na rogu ul. Wolności. W budynku tym, na piętrze znajdował się Posterunek Milicji, wywiązała się strzelanina, w której były wypadki śmiertelne. Dzieci były zatrzymane w szkole. Nauczyciel historii, uciekł tyłem na posterunek i tam już nocował z obawy na prześladowania z ich strony, ponieważ był działaczem, wówczas istniejącej wówczas organizacji PPS.

Drugim, zapamiętanym zdarzeniem, była wprowadzona radiofonizacja w Raciążu. Radiowęzeł znajdował się w budynku p. Sienników (dziś biuro ubezpieczeń), obsługiwany przez p. Konowadę. W wielu domach instalowane były głośniki zwane kołchożnikami, z których można było odbierać program I Polskiego Radia, oraz miejscowe komunikaty, ogłaszane również w ówczesnej szkole (drewnianej) przy ul. Kilińskiego. Duży głośnik – tuba, umiejscowiony był również na balkonie, Komitetu PPR (dziś piętro sklepu p. Cybulskich). Ludzie gromadzili się na rynku, by wysłuchać wyroku sądu na złapanego przywódcę grupy „Cacko” (której w końcu nie ogłoszono) oraz

transmisji ówczesnych Wyścigów Pokoju, których liderem był Stanisław Królak.

Po latach, wspominając te ciężkie czasy naszej wojennej tułaczki – Ojciec mój wybrał się do Grywałdu. Chciał jeszcze raz podziękować osobiście wielu rodzinom za okazaną pomoc i niezwykłą serdeczność, zwłaszcza p. Rozalii i Michałowi Mszanik. Jednak krótka i ciężka choroba, nie pozwoliła zrealizować tego życzenia, ponieważ zmarł 11 stycznia 1952 roku w wieku 58 lat. W imieniu ojca pojechał do Grywałdu, brat ojca – Kazimierz Siennicki oraz brat cioteczny, Władysław Raszkowski. W czasie swojego pobytu przekazali wielu mieszkańcom serdeczne podziękowania i wyrazy wielkiej wdzięczności za okazaną pomoc mojej rodzinie. W tym samym celu po niedługim czasie, pojechał do Grywałdu również brat Jerzy oraz siostra Bogumiła z mężem.

Po założeniu własnej rodziny, ja także wielokrotnie odwiedziłam najbliższe nam rodziny i małżonków Mszanik, ich syna Henryka z żoną Zofią oraz wnuków p. Rozalii – Jana i Wojciecha, rodzinę Józefa i Anielę Waksmundzkich oraz rodzinę Malików. Przez cały czas utrzymywałam do końca także kontakt listowy. Ze strony naszych – góralskich gospodarzy, mieliśmy także odwiedziny w Raciążu. Przyjechała do nas p. Rozalia, jej syn Henryk z żoną Zofią oraz Jerzy Waksmundzki.

Po śmierci osób z rodziny Mszaników, utrzymywałam nadal kontakt z bratanicą p. Rozalii, p. Stefanią Jandurą. Wraz ze śmiercią p. Stefanii w 2015 roku, kontakt z Grywałdem zakończył się.

Posiadam jednak na pamiątkę zdjęcie z pobytu w Grywałdzie oraz niektóre listy.



*Od lewej: Rozalia Mszanik, Teresa Pniewska. Około 2014 r.*

Trudne i tragiczne to były czasy. Mam nadzieję, że tych „doświadczeń losu” – unikną obecne i przyszłe pokolenia.

Teresa Pniewska

P.S.

Wspomnienia powyższe napisałam na podstawie przekazu Rodziców i starszego rodzeństwa, ponieważ jako dziecko – nie mogłam wszystkiego pamiętać. Ponadto, skorzystałam także z informacji zawartych w książkach: „Tysiąc lat dziejów Raciąży i ziemi raciąskiej”, napisaną przez Jerzego Wojciecha Zielińskiego oraz „Rejencja Ciechanowska” 1930-1945 a także „Wspomnienia znaczone łzami” napisane przez Zbigniewa Ptasiewicza.

Raciąż, dnia 22 stycznia 2018 r.

„W noc Wigilijną”

*A gdy zabłyśnie gwiazda, na szafirowym niebie,  
Sam Bóg na ziemi zstąpi, odwiedzi każdy próg,  
Jako dobry Gazda, da wszystkim przykład z siebie,  
Wieczerać będzie z nami, zasiadłszy w gronie sług.*

*Wtedy niech każde serce, przed Gościem się otworzy,  
Uskarży się na krzywdy, na gorycz ciągłych mąk,  
Aż zniknie z piersi ból i wróci uśmiech zorzy,  
Pod słodkim tchnieniem ust, dotknięciem Boskich rąk.*

*Jeno w tę noc, gdy z Niebios zstąpi Chryste,  
I zajdzie tu i do wnętrza zagładnie chat,  
Musimy mieć, jak kryształ serce czyste,  
A każda myśl ma być, jak lilii kwiat.*

Wiersz otrzymałam od p. Ireny Nowakowskiej, zapamiętany przez Nią z czasów nauk w szkole w Grywałdzie. Nauczyła go p. Zofia Celewicz – nauczycielka ze szkoły w Grywałdzie.



*Od lewej: Edward Pniewski, Stefania Jandura, Teresa Pniewska. Grywałd.*



*Państwo Pniewscy (siedzą) w czsie spotkania „Pytaj, jeśli jeszcze możesz i masz kogo”, podczas którego opowiedzieli o swoich wojennych przeżyciach.*



## Anna Barbara Talańska



**Anna Barbara Talańska** z domu Szefer, urodziła się w 1937 roku w Raciążu, tu spędziła dzieciństwo. W czasie wojny rodzina pani Barbary została wyrzucona z własnego domu przez Niemców. Po wojnie byli prześladowani przez władze komunistyczne. Po ukończeniu studiów pracowała jako nauczycielka w Raciążu. W 1976 roku wyjechała z rodziną do Inowrocławia, gdzie mieszka do chwili obecnej.

## **Wspomnienia o wojnie Anny Barbary Talaśki**

Mój ojciec Jan Szefer, syn Marii z domu Knapp i Feliksa, urodził się 24 grudnia 1899 roku, we wsi Bońkowo w majątku, który należał do jego rodziców. W 1919 roku zaczął uczęszczać do Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. 24 kwietnia 1926 roku ojciec poślubił moją mamę Irenę. Przed wojną rodzice mieszkali w Warszawie przy ulicy Tamka. W 1934 roku nakładem Szkoły Głównej Handlowej ukazała się jego książka „Kalkulacja taryf inkasa wekslowego” oraz otrzymał tytuł Kandydata Nauk Handlowych. Następnie pracował w Banku Kredytowym S.A. w Warszawie, w Związku Rewizyjnych Spółdzielni Wojskowych, Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Orzeł”. Jeszcze przed wojną rodzice przeprowadzili się do Raciąża. Kupili dom przy ulicy Płockiej 49 i na spółkę z panem Dramińskim, właścicielem majątku w Uniecku, młyn.

W kwietniu 1940 roku, za odmowę podpisania Volkslisty, ojciec został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego Mathausen-Gusen. Od grudnia 1941 roku przebywał w obozie w Majdanku, gdzie otrzymał numer 38. Zmarł tamże 10 października 1942 roku w wieku 43 lat. W czasie okupacji zostaliśmy wysiedleni z domu, który zajęła niemiecka rodzina Mielke. My zamieszkaliśmy u p. Pauliny Raszkowskiej przy ulicy Płockiej, naprzeciwko figurki Matki Boskiej. Nasza gospodyni straciła podczas wojny trzech synów – Wiktora, Stefana i Józefa, którzy za działalność w Armii Krajowej, zostali straceni przez okupanta w lesie. Nigdy nie doczekali się prawdziwego pogrzebu. Moi dziadkowie musieli opuścić swój majątek w Rachocinie i zamieszkali razem z nami. Podczas okupacji pomagali nam dobrzy ludzie. Moja siostra Danuta wraz z innymi dziećmi w wieku 10 lat była zmuszona do pracy na rynku, przy pieleniu na kolanach, kostki brukowej. Pracę nadzorowali Niemcy.

Po wojnie wróciliśmy do naszego domu przy ulicy Płockiej 49, który został przez Niemców pozostawiony w dobrym stanie. Wyzwoliciele radzieccy zniszczyli wszystkie urządzenia, których nie znali: łazienkę z wanną, toaletę z muszlą klozetową i zlewem, kanalizację, mosiężne ozdoby i uchwyty w kuchni. Sypiali na sianie w budynkach gospodarczych, ponieważ nie przywykli do spania w łóżkach z pościelą. Darli prze-

ścieradła na onuce. Czasy tuż po wojnie wspominam bardzo źle. Nasza rodzina była uważana za „wrogów klasowych”. Dziadkowie nie mogli wrócić do swojego w majątku Rachocinie, ponieważ został im odebrany przez ówczesne władze. Zostali pozbawieni środków do życia. Moja mama zaraz po wojnie pracowała w młynie w Raciążu, który był niegdyś jej własnością. Była prześladowana przez dyrekcję warszawską i miejscową. Po każdej kontroli chciano ją zwolnić. W obronie mamy stanęli pracownicy młyna, którzy przed wojną pracowali u rodziców – panowie: Czarnecki, Ziółkowski, Zabłocki, Rokicki, Bluszcz. Wspierał nas również pracownik z urzędu miasta – pan Włodarski. Uratował nas wielokrotnie przed wyrzuceniem z własnego domu.

Moja siostra Danuta z powodu uznania za „wroga klasowego” nie dostała się na studia w Warszawie. Podjęła pracę w banku w Warszawie. Następnie ukończyła stomatologię w Szczecinie, na ziemiach odzyskanych, gdzie nie figurowała na liście „wrogów klasowych”. Ja natomiast ukończyłam Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Opolu z tytułem magistra fizyki. Pracowałam w Szkole Podstawowej w Raciążu, następnie w liceum, gdzie przez 4 lata pełniłam funkcję dyrektora. W 1976 roku przeprowadziłam się wraz z rodziną do Inowrocławia i tam mieszkam do dziś.



Tablice nagrobne

## Henryk Wychódzki



**Henryk Wychódzki** (1936-2016) w czasie okupacji przebywał w Raciążu.  
Po wojnie mieszkał, uczył się i pracował w Raciążu.

## ***Ze wspomnień Henryka Wychódzkiego***

Urodziłem się w małym miasteczku na Mazowszu w rodzinie robotniczej, jako trzecie z kolei dziecko. Było to przed II wojną, wiosną 1936 r. Dzieciństwo moje było szczęśliwe, jak większości takich maluchów, ale co się dobrze zaczyna musi się skończyć. Jako małe dziecko z siostrami i bratem musieliśmy uciekać przed Niemcami. Tego co prawda nie pamiętam, ale jak miałem 5 lat mama nam opowiadała całą gęhenę tej niepotrzebnej ucieczki. Jak każda matka bała się o nas. Na tej ucieczce było kilkaset ludzi z dziećmi. Każdy uciekał z dobytkiem albo bez niczego w nieznaną stronę. Poszliśmy pieszo z małym wózkiem, w którym była najmłodsza siostra. W czasie tego pochodu wmieszaliśmy się w kolumnę wojskową, która maszerowała w stronę Warszawy. Samoloty niemieckie zauważyły nas i Niemcy zaczęli strzelać i zrzucać bomby. Zrobił się okropny bałagan. Padały konie, byli ranni i zabici wśród uciekinierów i wojska. My szczęśliwie uciekliśmy do pobliskiego lasu. Po tym nalocie uciekaliśmy jeszcze kilka kilometrów, aż znaleźliśmy się 7 kilometrów od naszego miasteczka. Była to wioska, gdzie mieszkała macocha naszego ojca. Po tygodniu przyszedł po nas tata i zabrał nas z powrotem do domu.

**Opowiadanie mamy:** Pod koniec sierpnia tato wasz i 40 mężczyzn poszli pieszo do Modlina jako ochotnicy na wojnę, ale dowództwo wypędziło ich z powrotem, bo dla nich nie było ani broni, ani mundurów. Po powrocie ojciec zgłosił się do pracy na kolei, bo tam przed wojną pracował. Okupant potrzebował taniej siły roboczej, a więc wszystkich mężczyzn zgłaszano do pracy przy zniszczonych torach, które sami zbombardowali, także Żydów, którzy byli mieszkańcami tej biednej miejsciny. A było ich 37% całego miasteczka. Aby zniszczyć kulturę tej historycznej miejsciny Żydzi musieli zniwelować olbrzymią górę, na której w dawnych czasach był zamek z fosą między dwoma rzekami. I tak tę górę rozkopali łopatami, aż zrównali prawie doszczętnie. Setki Żydów wywoziło ziemię taczkami drewnianymi, które sami musieli zrobić. Wywozili ziemię na drugi koniec miasta, około kilometra. Dozorcy niemieccy popędzali ich kijami aby wszyscy biegiem latali z tymi taczkami i ze śpiewem na ustach. Wieczorem zapędzali ich do getta, które składało się z kilku domów i nie wolno było im wychodzić na ulicę. Domy ich pozajmowała niemiecka administracja i ich pupile. Getto składało się

z kilku zrujnowanych domów, na kilkuset metrach kwadratowych gnieździło się nawet kilkadziesiąt rodzin. Po tej pracy, która trwała dwa miesiące poszedł transport kolejowy z Żydami w nieznaną. Po wojnie wróciło może 10 osób, ale władze nie pozwoliły im na ponowne osiedlenie. Domy ich były rozebrane, przeważnie były to tylko ruiny. Została zniszczona także bożnica [synagoga], ale tam już mieściła się szkoła. Do południa było liceum ogólnokształcące a wieczorem szkoła handlowa zawodowa.

**Lata szczenięce [głód]:** Gdy miałem 5 lat ojca mojego Niemcy wywieźli na roboty do Gdańska na kolei. Ja najbardziej byłem przywiązany do taty. Jako trzecie dziecko byłem rozpieszczany przez ojca, który sadzał mnie na kolanach po pracy, opowiadał nam niezwykle historie i bajki, których my z rozdziawionymi ustami słuchaliśmy. Ale, jak to w życiu, coś dobrego to się szybko kończy. Mama została z dziećmi bez środków do życia i bez stałej pracy. Co zarobiła dorywczo u Niemców za sprzątnięcie to ledwo starczyło na przydzielony chleb na kartki. Gdy przyszła wiosna i lato to pół biedy. Mama chodziła 4 km do majątku Niemca i pracowała w polu. My z bratem błąkaliśmy się po ulicach. Naprzeciw naszego domu mieściła się niemiecka żandarmeria, widząc nas wałęsających się bezczynnie, przywołali nas i zaprzęgli do roboty. Praca ta polegała na tym, że żandarm dał nam szory [uprząż końską] abyśmy czyścili do połysku mosiężne sprzączki, kółka i klamry, a potem pastą do czyszczenia pasów skórzanych. Zostawiając nas [a było nas 6 chłopców] przy tej robocie, zapowiedział, że jak to wszystko wyczyścimy to będzie fajrant. Żandarm ten umiał trochę po polsku, ale słabo. Po jakimś czasie przyszedł zobaczyć jak nam idzie robota. Każdy starał się zrobić to jak najlepiej. Oglądał po kolei wszystkie roboty i powtarzał „ja ja, gut gut”. Ale jak przyszedł do mnie, najpierw sczerwieniał jak burak, oczy wyszły mu na wierzch, mało szlag go nie trafił. Tak mnie sponiewierał, strzaskał po pysku i gdzie popadło, rycząc po niemiecku i po polsku, że tak się nie robi jak ja. Dopiero jak dobrze dostałem i szlochalem wytłumaczył mi na czym polega praca. Pokazał mi jak starsi chłopcy to robili. A więc delikatną szmatką i odrobiną popiołu pocierało się te kółka. A ja nie umiejąc kółka klamer czyściłem po prostu żwirkiem. Wiadomo, że po takim czyszczeniu zostały wyraźne rysy. Dlatego dostałem pierwsze takie lanie [ale nie ostatnie]. Następnego dnia i kilka innych dni unikałem tego szwaba jak ognia. Ale on nie znosił, żeby polskie dzieci wałęsały się po ulicach i co rusz nas wyłapywali do różnych prac, a to pielenie ogródka, albo wydłubywanie trawy rosnącej między płytkami chodnikowymi, albo po prostu czyszczenie i mycie koni szczotką i mokrą szmatką. I znów dostałem po pysku, za to, że po czyszczeniu konia żandarm wziął białą szmatkę i otarł konia, w miejscu, gdzie ja nie wyczyściłem, bo byłem za mały. Szmatka była brudna. No myślę sobie, na drugi raz nie dam się złapać do roboty. Chociaż miałem prawie 7 lat, buntowałem się. I gdy rano mama poszła do pracy, ja przez opłotki nie wychodzące na ulicę, uciekałem w pola. A

tam starsi dziesięcioletni chłopcy pasali krowy na łąkach. Tam nauczyłem się jak słodko płynie czas i życie. Wypatrywało się nad rowami i miedzami trzmielce, które miały swoje gniazda w ziemi i mchu. Aby pokosztować słodkiego miodu trzeba było okryć się workiem, patykiem rozgrzebać rojowisko, a potem zabrać im tak zwane szuszki. Trzmielce broniły się jak zajadłe, kąsały nas niemiłosiernie. Łakomstwo ma swoje zalety, bo w tych szuszkach były nie tylko larwy, ale i miód. Wsadzało się słomkę w te komory i wysysało się miód. Nieraz do domu przyszedłem spuchnięty, ale coś za coś. Miód ten nie zaspokajał ciągłego głodu, dlatego kilku z nas zaczęło łowić ryby. Niemcy, gdyby złapali nas na tych rybach, to lepiej nie myśleć, co by było za to. Łowienie polegało na tym, że któryś z chłopców znalazł popsuty koszyk od kartofli. Połataliśmy ten koszyk łykami z wierzby i dawaj na rzekę. Tym koszykiem dwóch łapało, a dwóch innych pilnowało zza nasypu czy ktoś się nie zbliża a szczegółowo szukali. Jak miało się szczęście to kilkanaście kielbi i płotek weszło w ten koszyk. Następnie chodziło się na brzeg, tam w dole na małym ognisku piekło się ryby na patyku. Z czasem doszliśmy do takiej wprawy, że wkładało się rękę w nory pod burtę i wyciągało się miętusy i raki, to już było czym zaspokoić głód. A nawet zanosilem do domu siostrze i mamie. Mama gotowała z tych ryb wspaniałą zupę. Lato niestety wiecznie nie trwa. Trzeba było nanosić drewna i szyszek z lasu, a nawet z przydrożnych drzew. Każdy patyk z wierzby czy olchy zanosilo się do komórki, to był obowiązek brata i mój. Skoro świt wychodziliśmy do lasu. W zasadzie nie wolno było chodzić, groziło to tęgim laniem od niemieckiego żandarma. Wracało się z lasu z chrustem różnymi zakamarkami do domu. Do lasu mieliśmy ze trzy kilometry. Niosąc pęki chrustu, czasem nas podwiózł rolnik jadąc do miasta. Do lasu robiliśmy po dwa kursy dziennie bez względu na pogodę, ale człowiek zahartuje się na wszystkie przeciwności. Wiązka chrustu była dość ciężka jak dla siedmiolatka, ale jak mus to mus. Zimą mama rozpalala pod kuchnią tylko do gotowania posiłków, a w nocy było zimno, że woda w wiadrze zamarzała. Siostry spały z mamą w jednym łóżku i przykrywały się dwiema pierzynami. Ja z bratem spałem na jednym łóżku, ale nam było trochę cieplej, bo łóżko to było blisko kuchni. Komin w czasie gotowania nagrzewał się, tak że nie było tak źle. Na jesieni mama i najstarsza siostra (12 lat) chodziły pomagać do pobliskiej wioski, do znajomego gospodarza, kopać kartofle. Za to przynosiły wieczorem 25 do 30 kilogramów kartofli. Po tych wykopkach, które trwały 2 tygodnie mieliśmy kartofli na całą zimę. Brat i ja jak zrobiliśmy dwa obowiązkowe kursy do lasu chodziliśmy na pola na tak zwane podkopki. Po zbiorze marchewki, pietruszki i buraków na polu można było znaleźć nieraz te warzywa. Nawet liście od kapusty i buraki. Liście od kapusty mama kroila i kisiła w beczce. Buraki cukrowe to też gratka, a nazbierało się ich do komórki. Potem mama robiła z nich melasę do słodzenia albo marmoladę do chleba. Kartofle piekło się w popiele, było więc czym napełnić

pusty żołądek. Najbardziej brakowało nam chleba. W zimie mama chodziła do jednej Niemki sprzątać i prac. Często brała brata i mnie do noszenia wody, to wtedy dostawaliśmy po pajdce chleba z margaryną albo bez. Na wieczór mama dostawała pół chleba i trochę marmolady. Niemka ta mieszkała przy młynie. Po nanoszeniu wody do wanny i po sprzątnięciu obejścia byliśmy wolni. Raz trafiła nam się gratka. Stały konie przy tym młynie a robotnicy rozładowywali platformę ze zbożem. Konie miały przy pyskach uwiązane torby i coś w nich chrupały. Brat podszedł do tych koni i włożył rękę do worka i wyciągnął małe suchary z otrąb. To było pycha. Naładowaliśmy całe kieszenie tych sucharków i do domu. Na drugi raz zostaliśmy ostrzeżeni przez robotników, aby nas majster Niemiec - młynarz nie złapał na kradzieży, bo będzie bieda i lanie.

**Nauka pisania i czytania:** Siostra najstarsza chodziła przed wojną do szkoły. Miała iść do 4 klasy podstawówki, kiedy wybuchła wojna i nastął koniec nauki szkolnej. W pewnym domu na obrzeżach miasta mieszkała pani Jasia, nauczycielka przedwojenna. Do tej pani chodziło kilkoro dzieci, w tym moja siostra. Nauka odbywała się tak, że kilkoro dzieci siadało, gdzie kto mógł, na podłodze, na krześle, albo na łóżku, a pani pisała na tablicy. Była to tektura przypięta do ściany. Dzieci natychmiast przepisywały na różne kartki tekst z tektury. Następną grupą w tym czasie ślizgała się na ślizgawce i obserwowała teren aby nie zbliżyli się Niemcy. W razie alarmu wszystkie dzieci ślizgały się na stawie. Pani Jasia była pod obserwacją niemieckich szpiclów, potem została aresztowana w 1944 r. i wywieziona do obozu. Jakimś cudem przeżyła. Po aresztowaniu Pani Jasi, moja siostra dwunastoletnia dziewczynka zaczęła uczyć dzieci z naszego podwórka. Uczyła ich abecadła i tego co się nauczyła, a także czytała im znalezione książki. Mnie i brata także nauczyła. Jak się wojna skończyła po wstępnym egzaminie poszedłem od razu do drugiej klasy, było to około 20 lutego 1945 r.

**Przeżycia mego Ojca:** Muszę cofnąć się do początku okupacji [opowiadanie mamy]. Na początku stycznia 1940 roku, ojciec idąc do pracy powiedział „od dzisiaj żadnemu szwabowi nie będę się kłaniał. Nie dość, że pracuję to jeszcze takie bydlę szwabskie wałęsają po pysku.” Ja ojcu tłumaczyłam: bój się Boga, Janek, oni gotowi cię zabić, albo do obozu koncentracyjnego cię wsadzą, jak już wielu z naszego miasta i okolic. Ale ojciec był uparty. Jak zobaczył szwaba to wchodził do najbliższej bramy aż oni przejdą. I tak mu się udało ze dwa tygodnie. Ojciec był to chłop niewielki, ale barczysty i zdrowy jak niedźwiedź, ale miarka się przebrała. Pewnego ranka wychodząc do pracy natknął się na dwóch żandarmów, nie było jak i gdzie się schować ani cofnąć. Przystanął i zaczął przypalać sobie papierosa, nie patrząc na nich. Oni widząc uniki ojca zdjęli karabiny i zaczęli się bać. Bili ojca kolbami karabinów i kopali już leżącego po plecach i nerkach. Złamali mu 4 żebra i zostawili nieprzytomnego na ulicy. Kilka minut



później szli koledzy ojca, z którymi pracował. Widząc w jakim jest stanie podnieśli go i dowlekli do pracy, ale kierownik kazał ojca odwieźć do szpitala. Tam kurował się 3 tygodnie. Potem musiał stawić się do pracy. Coraz gorzej chorował, pluł krwią. Dostał urlop zdrowotny na 2 tygodnie, a nie minęły 2 dni i ponownie został wezwany na placówkę. Tam dostał kartę do Gdańska na wyjazd na kolej. Pracował ciężko za marne wyżywienie i parę marek, które zaraz wysyłał do domu, bo wiedział z jaką biedą nas zostawił. Po roku przyjechał na urlop na 3 albo 4 dni. Był to już nie ten sam człowiek, schorowany i chudy, tylko duże dłonie sękaty mu zostały. Do tych dużych dłoni cała nasza czwórka się tuliła. Ojciec głaskał nas i dodawał otuchy, że niedługo to się skończy, ale musiał wracać do Gdańska do pracy. Czas mijał, a ojca wciąż nie było, tylko z rzadka przychodziły od niego ocenzurowane listy, w których za dużo nie mógł pisać. Były to listy z pozdrowieniami i zapewnieniami, że wszystko w porządku. Mineło kilka miesięcy, wiosną 1944 r. tato przyjechał na cały tydzień na urlop i był jeszcze bardziej schorowany. Przez ten tydzień prawie z domu nie wychodził, z czego najbardziej zadowoleni byliśmy my. Siadał na podwórku i ciągle rozmyślał, aż pewnego wieczora zapalił lampę i wszedł do piwnicy. Długo go nie było, dla nas całą wieczność. Nareszcie wyszedł z piwnicy i od razu poszedł do drewnutni. Potem rozluźniony przyszedł do domu aby się z nami pobawić. W końcu nadszedł dzień powrotu ojca, na stację odprowadziła go cała rodzina. Po drodze wszedł z nami do fotografa i kazał zrobić rodzinne zdjęcie, ale dochodząc do stacji zatrzymał się i struchlał. Nam dzieciom kazał odejść na stronę i długo coś mamie tłumaczył, mama ze łzami w oczach tylko mu przytakiwała. Na stacji, zanim nadjechał pociąg długo nas ścisnął i całował zapewniając, że niedługo wróci już na stałe. Następnie przykazał nam abyśmy słuchali mamy. Na drugi dzień po wyjeździe ojca z samego rana przyszedł do nas żandarm i oznajmił mamie, że ma się natychmiast stawić do pracy na młyn. Mama natychmiast musiała iść, a my znowu zostaliśmy sami. Ja jak zwykle poszedłem na łąki, by poszukać trochę miodu i iść na rybki. Złapałem kilka miętusów, a w starorzeczu kilka piskorzy, no i była wspaniała wyżerka. Mama jak wracała z pracy natychmiast wchodziła do drewnutni i długo stamtąd nie wracała. Po powrocie była z jakiegoś powodu zła i miała łzy oczach. Powtarzało się to kilka dni z rzędu, aż któregoś dnia dała temu spokój. Którejś niedzieli zobaczyła, że mam porwane porcięta. „Dawaj to ci zaceruję” powiedziała. Kazała mi, żebym nie wychodził na ulicę, a sama usiadła przy oknie i cerowała. Ja nudząc się zacząłem robić z patyków klatkę dla królików. Przyrządnąłem równo patyki i deseczki, podszedłem do drewnutni poszukać młotka i gwoździ. W pewnym momencie między deskami a ścianą zobaczyłem gałgan ze szmat. Z ciekawością go rozwinąłem i o dziwo wypadł na podłogę rewolwer. Postanowiłem pochwalić się kolegom taką zabawką. Wziąłem rewolwer w rękę i szedłem przez podwórko. Przechodząc musiałem przejść

pod oknem, przy którym siedziała mama cerując. Spojrzała na mnie niosącego broń i struchlała. Wyleciała jak z procy, chwyciła mnie za rękę i wyrwała mi zabawkę. Kazała mi iść do domu, a sama pobiegła za podwórko i wrzuciła broń do dołu kloacznego. Za posiadanie takiej zabawki groziła kara śmierci.

**Praca:** A teraz wrócę do tego jak pracowaliśmy jako mali chłopcy w wieku od siedmiu do dziesięciu lat. W mieście był duży rynek wybrukowany tak zwanymi kocimi łbami. Bruk ten charakteryzował się tym, że co dwa metry były układane duże kamienie, a między tymi dużymi małe tak, że tworzyły się w pewnym sensie brukowane alejki. Między tymi kamieniami rosły różnie zielska i trawy. Przed wojną na rynku odbywały się jarmarki, ale okupant zabronił zjazdów, więc trawa i zielsko wyrastało między kamieniami. Trzeba było je wyplenić. Niemcy ogłosili przez trajkotki, aby dzieci od siedmiu lat zebrały się n rynku z łyżkami i wiaderkami. Zebrało się nas przeszło sto dzieci. Następnie jedna grupa postawiła się od bramy wschodniej a druga grupa od zachodniej. Na dany sygnał każdy kuczał, albo klękał na bruku i zaczęło się plewienie. Każdy dostał taką uliczkę do pielienia. Trzeba było dokładnie wyrwać każdą roślinkę do wiaderka albo do starego garnka – kto co miał. Po uzupełnieniu tego wiaderka szło się około 300 metrów na wysypisko i tam się składowało urobek. Tam już starsi chłopcy, po dwanaście i trzynaście lat musieli to łopatkami i grabiami mieszać z ziemią i przyznować. Pilnował nas starszy pan z kijem, aby to dobrze wyplenić i zebrać. Co jakiś czas było słychać szlochanie i płacz dziecka, które dostało kijem za niedokładną robotę. Po jakimś czasie żandarm podszedł z tyłu na moją działkę i zaczął wrzeszczeć, że źle wypielilem, bo znalazł za mną jakieś źdźbło. Ja się po nie podniosłem, a wtedy na moje majtki spadły dwa uderzenia tak mocne, że aż się posikałem z bólu. Po biciu została sino-ceglata pręga. Nie byłem pewny czy ta roślina tam rosła czy po prostu ja pieląc nie wrzuciłem jej do wiaderka. Na drugi dzień starałem się robić porządek, aby lanie się nie powtórzyło. W następane dni były już inne dzieci, które przechodziły szkołę życia. Niemcy jak wiadomo lubią porządek robiony cudzymi rękami. Było też czasem i zabawnie, na przykład staliśmy w kolejce przy sklepie mleczarskim, aby kupić odciagu z mleka albo maślanke rozwodnioną. Wiadomo, że w takiej kolejce zawsze było zamieszanie i przepychanka, a starsi chłopcy sunęli do przodu i rozpychali tych małych. Był wtedy wielki bałagan, aż któryś z chłopców stojących w kolejce krzyknął: Uwaga, bo idzie żandarm! Zaraz zrobił się porządek, bo ów żandarm był znany nam wszystkim z tego, że potrafił władać pejczem. Pejcz miał grubą rękojeść, pleciony był z żęci cienkiej jak papieros zakończonej ołowianą kulką o średnicy około dwóch centymetrów. Pejcz powszechnie zwany był bykowcem. Z takim środkiem wychowawczym miałem doczynienia tylko raz pod koniec wojny, jesienią. A było to w takich okolicznościach: Przy mojej ulicy stacjonowała jednostka Wehrmachtu (czasowo) składająca

się z samych starszych mężczyzn. Mieli oni na podwórku kuchnię polową, stoły i ławki do spożywania posiłków. Ja i kilku chłopców w wieku od siedmiu do dziesięciu lat podchodziliśmy w porze obiadowej i czekało się. Po obiedzie kucharz nas wołał, abyśmy się zbliżyli i dawał nam menażki do mycia. Dawał nam za to trochę grochówki albo krupniku i po kawałku chleba. Nie wolno nam tam było chodzić, ale głód nas do tego zmuszał. Jak tylko pokazał się na horyzoncie żandarm rozbiegliśmy się po pobliskich podwórkach jak spłoszone wróble, aż pewnego dnia dostałem trochę zupy i zajęty jedzeniem nie zauważyłem, że zbliża się żandarm. Zanim się spostrzegłem, to już dostałem jeden raz bykowcem po plecach. Zamierzył się jeszcze raz, ale mnie już nie było. Zostawiając drewniane trepy i menażkę uciekłem, gdzie pieprz rośnie. Wojskowi z jednostki zwymyślali żandarma za to, że uderzył dziecko. Był to początek października 1944 roku. Pamiętam z tego czasu obraz ciągnących się ze wschodu taborów składających się z wszelkiego rodzaju wozów. Wozy te były plecione z wikliny i kryte płachtami na pałkach. Jak mówili starsi to byli Ukraińcy. Przeważały kobiety, dzieci i staruszkowie. Jechało to nędzne, głodne i z płaczem. A to była kolumna ciągnąca się ze dwa kilometry. Za miastem rozlokowali się na pobliskich łąkach i odpoczywali dwa dni. Potem odjechali na zachód. Pod koniec października Niemcy pędzili na zachód 500 sztuk krów. Za naszym miastem była ubojnia, w której zabijali zwierzęta na potrzeby wojska. Zabijali je 24 godziny na dobę. Przeważnie starsi wiekiem Niemcy, pozwalali doić krowy naszym mamom i siostram, a nas chłopców brali do pilnowania krów, które wieczorem trzeba było napędzać do dużego ogrodzenia. Na wieczór każdy z nas dostawał za pilnowanie pół bochenka chleba wojskowego. Kobiety w tym ogrodzeniu doily krowy, dostawały za to wiadro mleka na wieczór. Mama z mleka robiła sery i masło. Zapasów było sporo, a masła starczyło do Bożego Narodzenia. Krów pilnowaliśmy do połowy listopada. Najgorsza zawsze była zima, nie dosyć, że głodna, ale i zimna. Jak już wspomniałem woda zamarzała w wiadrze. Sytuacja obuwia była jeszcze gorsza. Obuwie moje i brata składało się: spód z drewna, a cholewki ze starych koców i płótna. Robił te drewniaki sąsiad, przedwojenny szewc, starszy pan. Często z bratem zmienialiśmy buty, jak się podarły, to jeden dzień zakładał brat, a na drugi ja. Nie zapomnę jak późną jesienią 1944r. jechały wozy konne z wysiedleńcami z okolic Wyszkowa i Pułtusza. Mieszkańcy naszego miasteczka przyjmowali ich do domów, aby się przespali i coś zjedli. Mama moja wzięła całą rodzinę na noc, a była to liczna rodzina. Po rozesłaniu słomy na podłodze nie można było przejść. Rano po uprzątnięciu postania i zjedzeniu jakiegoś śniadania odjechali. Następnego dnia było to samo, nadjechali inni wysiedleńcy. Nareszcie to się skończyło, ale zostawili nam za gościnę psa i kupę wszy. Piesek ten od razu przypadł mi do nóg i się łąsił, to był tylko mój pies i mój przyjaciel. Jak wychodziłem z domu to nie opuszczał mnie ani na chwilę. Potem miałem

z nim wiele kłopotów. Bo w lutym 1945 r. musiałem iść do szkoły. Mama zamykała go w komórcie, ale on do mojego powrotu cały czas wył i skomlał. Z tymi insektami mama nie mogła dać sobie rady. Pogoliła nas do gołej skóry i wszystką bieliznę gotowała, ale była to trudna walka, bo nie było środków do odwszawiania.

**Wyzwolenie:** Wyzwolenia każdy spodziewał się lada dzień. Wskazywało na to wielkie poruszenie wśród Niemców, byli bardzo ruchliwi, ale mniej agresywni. Już nie bili byle za co. Mieszkańcy ci co pracowali w zakładach niemieckich widzieli jak sami Niemcy nocami pakowali się. Rekwirowali wszelkie walizy, kufry, rowery, naprawiali wozy, aby były gotowe do drogi. Na przedmieściach od strony wschodniej budowali okopy i nasypy. Do tego celu spędzili wszystkich mieszkańców, starców, kobiety i dzieci. Dla czołgów i armat kazali kopać głębokie wykopy z jednej strony łagodny zjazd, a z drugiej wysoki nasyp. 17 stycznia 1945 roku Niemcy zgromadzili wszystkich mieszkańców na ulicy. Powstał wielki lament i płacz, mieszkańcy mówili, że szwaby będą mieć mniej roboty przy likwidowaniu ludzi. Ale oni nie mieli na to czasu. Uciekali w popłochu, gdzie pieprz rośnie. 19 stycznia wpadł patrol sowiecki, ale szwabów w mieście już nie było. Mosty były wcześniej zaminowane, ale tylko jeden wysadzili o świcie, a trzy mosty zostały, wojskowi nie zdążyli ich wysadzić. Trzy czołgi sowieckie ich spłoszyły za to bronili się w kilku wioskach.

**Powrót Ojca:** Wieczorem 18 stycznia ktoś zapukał do okna. Mama wystraszona poszła otworzyć drzwi, a tam tato. Wrócił ostatnim pociągiem przed samym wyzwoleniem. Radość była wielka, bo znów byliśmy razem, od ostatniego spotkania minęło 8 miesięcy. Niespodziewanym gościem tego samego ranka był brat ojca, a nasz stryj. Przyjechał wozem pełnym zapasów, a stało się to tak, że odwoził Niemca bauera, który uciekał przed frontem w ostatniej chwili, ale na przedmieściu dowiedział się, że Rosjanie są już w mieście, zeskoczył z tego wozu i uciekł tylko z małą walizką, zostawiając stryjowi wszystko. Pół godziny po przyjeździe stryja całe podwórko było już pełne czerwonoarmistów. Konie zaraz zabrali, a z wozu zostały gołe deski i koła. Na drugi dzień (20 stycznia) zaczął się ruch jak w ukropie. Ludzie rabowali niemieckie mienie. Za pobliskimi ogrodami były niemieckie magazyny wojskowe z żywnością i innymi artykułami. Ja z bratem i stryjem wzięliśmy sanki i po polu dotarliśmy do tych magazynów, ale nie wiele nam się udało zabrać, trochę wojskowego chleba i zupę suszoną. Za magazynem była 200 litrowa beczka blaszana. Myśląc, że to nafta, beczkę załadowaliśmy na sanki i pojechaliśmy do domu. Beczkę zaraz wturlaliśmy do drewutni, a sami jeszcze raz wróciliśmy do tych magazynów. Znaleźliśmy jeszcze kilka bochenków chleba i trochę cukru. Kręcąc się pod plandekami znalazłem wojskowe buty, było tego 10 par. Natychmiast uciekliśmy z tym do domu. Chleb ułożyliśmy na zapiec-

ku, gdzie było łóżko. Ojciec z ciekawości chciał zobaczyć co w tej beczce jest, okazało się, że to spirytus. Zaczęli ze stryjem przelewać spirytus do wiadra, ale niewiele na tym skorzystali, bo Czerwonoarmiści to zwęszyli i zarekwirowali nasz skarb. Potem była na ulicy strzelanina na wiewiórkę, ale krótko to trwało, bo wpadła starszyzna i wszystko ucichło. Następnego dnia pojawiły się inne jednostki na koniach i różnych pojazdach, były także sanie ciągnięte przez psy. Ale wróćmy do naszego zaopatrzenia. Po drugiej stronie ulicy był dom częściowo zniszczony, w którym znajdowała się niemiecka jednostka. Ci starzy wojacy nieraz nas dożywiali. Z bratem i stryjem zaczęliśmy po tym budynku buszować, aby coś konkretnego znaleźć. W piwnicy jedna komora była zamknięta różnymi gratami i rupieciami. Po ogarnięciu tego ruinowiska ukazały się drzwi zamknięte na dużą kłódkę. Po sforsowaniu drzwi ukazała nam się spiżarnia. Były tam puszki mięsne i różne weki z owocami. W kącie były pudełka ozdobne do paczek z proszkiem do prania i pomyślałem "to się mama ucieszy, nareszcie rozwiąże problem odwszawiania". Okazało się jednak, że były to suszone warzywa do gotowania wspaniałych zup. Były też puszki z konserwową słoniną i rybne konserwy. Nataskaliśmy się tego całą komórkę, tak że starczyło nam na zimę.

**Szkoła:** Na początku lutego 1945 roku, otworzyli szkołę. Trzeba było zorganizować jakieś zeszyty. Było to trudne zadanie, ale nie dla mnie, bo ten wóz co stryj nim przyjechał był załadowany różnymi książkami rachunkowymi. Ruscy, co nie co zdążyli z tego spalić. Z tych resztek tata pozyskiwał czyste kartki i było tego kilkanaście dobrych zeszytów. Zrobił ich sporo, bo nasza trójka szła do szkoły. Klasy były maksymalnie zatłoczone, bo dzieci było dużo. Brat, chociaż starszy o 3 lata, był razem ze mną. W pierwszych dniach była segregacja uczniów według wyniku egzaminu. Ja z bratem od razu poszliśmy do drugiej klasy, bo umieliśmy czytać, pisać i rachować. Jak już wspomniałem, podczas okupacji chodziliśmy przez dwie zimy do pani Jasi. Były też dzieci dużo starsze i bardziej wyrosnięte, które miały po 16 lat i więcej. Nauka nie sprawiała mi żadnych trudności, dlatego czas po lekcji był wykorzystany na zabawę i inne prace z pomocy domowych. Zeszyty i książki nosiło się w torbach po maskach przeciwgazowych, inni mieli tornistry zbite z cienkich deseczek i dykty. Pisało się przeważnie ołówkiem kopiającym, bo jeszcze nie było atramentu ani stalówek. A kto zdobył stalówkę i obsadkę, to się robiło atrament z kopiającego ołówka. Książki były różne. Niektórzy się uczyli z książeczek do nabożeństwa. Nauka starszych klas trwała od 8 rano, a po południu od godziny 17 uczyły dzieci młodsze. Pomału życie się normowało, był już czynny magistrat. Milicja chodziła po cywilnemu, mieli tylko biało-czerwone opaski na rękawach. Milicjanci pilnowali porządku i żeby ludzie nie rozkradali młynów i węgla na stacji kolejowej. Spokój nie trwał długo, bo na wiosnę zostali napadnięci i rozbrojeni, potem musieli dozbierać się.



*Henryk Wychódzki, wojsko 1957 r.*

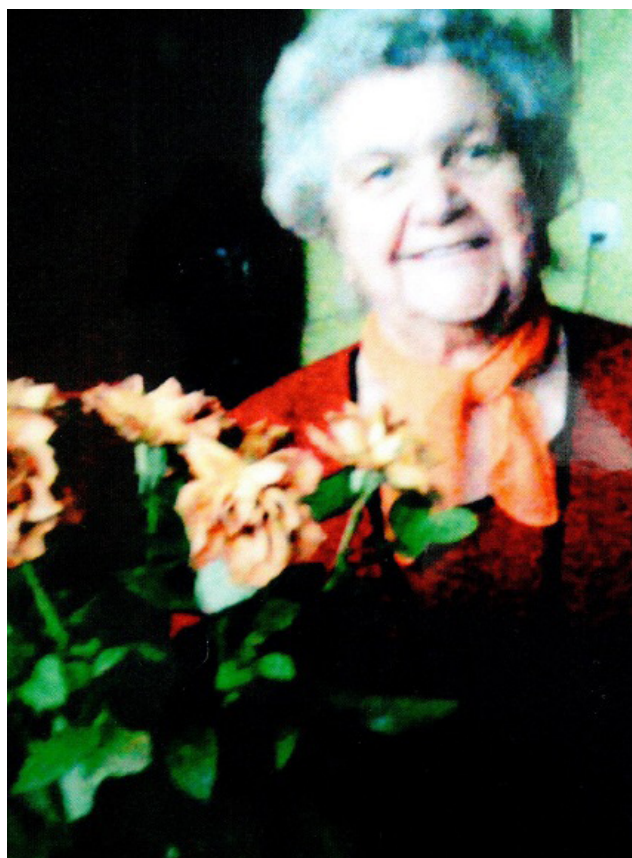


*Od lewej: Helena Wychódzka, Henryk Wychódzki, syn Jan, córka Zofia, córka Teresa, syn Henryk*

# **CZĘŚĆ II**

## **WYWIADY**

## Halina Arceusz



**Halina Arceusz** (1928-2017) w czasie okupacji mieszkała w Raciążu. Tu została po wojnie, uczyła się i pracowała oraz założyła rodzinę.



## **Opowieść o Wielkanocy i życiu młodych ludzi w czasie okupacji.**

**Marianna Góralska:** Dzień dobry! Bardzo serdecznie dziękuję, że zgodziła się Pani ze mną porozmawiać o czasach swojej młodości, Wielkanocy i zwyczajach z nią związanych oraz o życiu w czasie okupacji. Zacznijmy od początku. Czy pamięta Pani jak obchodzono Święta Wielkanocne przed wojną?

**Halina Arceusz:** Z czasów dzieciństwa pamiętam niewiele. Później, gdy miałam 9-10 lat już trochę więcej. Zwykle przed Wielkanocą było dużo przygotowań, zwłaszcza świątecznego jedzenia. Na stole obowiązkowo musiało znaleźć się mięso. Piekło się makowiec, ciasto drożdżowe, baby wielkanocne. Piekło się też chleb. Wspólnie z braćmi malowaliśmy jajka, które były nieodłącznym elementem Święt Wielkanocnych. Symbolem życia, siły, zdrowia. Do farbowania jaj wykorzystywano naturalne barwniki, takie jak łupiny cebuli, korę dębu, pędy młodego żyta. W Wielką Sobotę święcono pokarmy, wodę i ogień. Natomiast Niedzielę Wielkanocną rozpoczynała rezurekcja połączona z procesją i śpiewem pieśni „Wesoły nam dzień dziś nastał...”. Największą domową uroczystością stanowiło śniadanie wielkanocne. Rozpoczynało się je od podzielenia się jajkiem i składania sobie życzeń. Czas świąt upływał nam wyłącznie na odpoczynku i rozmowach w rodzinnym gronie. W Poniedziałek Wielkanocny na ulicach Raciąża panowała ogólna wrzawa. Od wczesnego ranka rozbrzmiewały krzyki i śmiech, zwłaszcza młodych dziewcząt obficie polewanych wodą przez kawalerów, czyli Śmigus-Dyngus. Graliśmy też z braćmi w wojnę na jajka. Gra polegała na tym, że stukaliśmy się czubkami jajek, jeśli jeden z nosków pękł gracz przegrywał. Zwyciężał ten, kto miał nierozbite jajko z obu stron. Było przy tym dużo śmiechu i zabawy.

**Tak więc, można śmiało powiedzieć, że kładło się duży nacisk na tradycję. Przejdźmy dalej. Ile miała Pani lat, jak wybuchła wojna? Czy pamięta Pani jak w takim trudnym i ciężkim czasie obchodziło się Wielkanoc?**

Miałam 11 lat, kiedy wybuchła II wojna światowa. To był straszny czas. Przez pięć długich lat żyło się w ciągłej niepewności, lęku, strachu o życie swoje i rodziny. Święta Wielkanocne w czasie wojny był skromne i ubogie. Wszystkiego brakowało. Trzeba było uciekać się do działań konspiracyjnych, by zdobyć trochę mięsa na święta. Jednego roku, tuż przed Wielkanocą, mój brat Seweryn został aresztowany za zabicie świniaka, z którego mieliśmy przygotować świąteczne potrawy. Ktoś na niego doniósł.

Udało mu się uciec, ukrywał się przez wiele dni. Któregoś dnia na widok żandarmów wskoczył do studni. Przeżył, ale pojмали go i wywieźli. Został osądzony i skazany. Napisał później do nas z aresztu, że żyje, ale jest bardzo wychudzony i wycieńczony. Prosił też, by przesłać mu trochę ubrań, mydło. Wysłaliśmy paczkę, która do niego dotarła. Od tego czasu nie mieliśmy z nim kontaktu. Kilka miesięcy później przyszło do nas zawiadomienie o jego śmierci. Jako przyczynę podano, że umarł z upływu krwi i z powodu słabego serca. To był młody chłopak, miał zaledwie 20 lat. Bardzo przeżyliśmy jego śmierć.

Zygmunt, mój starszy brat, wrócił dopiero pod koniec wojny, akurat na Święta Wielkanocne. Przyszedł pieszo z Królewca, ciągnąc za sobą mały wózek z całym swoim dobytkiem, bagażem wojennym. Natomiast trzeci z moich braci, Tadeusz, zmarł po wojnie. Służył w wojsku, gdzie codziennie dawano im do jedzenia śledzie. Któregoś razu Tadeusz zezłościł się, nie mogąc patrzeć na to, że znów podano im na śniadanie śledzia, wziął i rzucił nim o ścianę. Pechowo trafił w portret Stalina. Jeden z kolegów go wydał. Został ukarany za swój czyn. Zmuszono go do stania przez kilka godzin w wodzie, w zimnej piwnicy. Wyziębził się i rozchorował. Już nie wyzdrowiał, krótko potem zmarł. Sojusznicy okazali się niewiele lepsi niż okupant. Każdy z moich braci doświadczył okropieństw wojny. O jakich tu więc świętach można mówić, gdy ludzie walczyli o to by przeżyć, jednak nie każdy miał tyle szczęścia, żeby dotrzeć do końca okupacji.

### **Czy pamięta Pani, jak żyło się młodym ludziom w Raciążu w czasie okupacji?**

Dla młodych były to okropne czasy. Dojrzewiałam w najgorszym okresie. To było pięć lat męczarni, ciężkich i długich. Żyło się w czasach bardzo niepewnych. Największe kłopoty były z zaopatrzeniem. Niczego nie było. Jak chciało się wypić kawę, zbierano z ulicy rozsypane z wozów ziarno i palono na płycie węglowej. Strach przed Niemcami nie opuszczał nas ani na chwilę. Pamiętam, jak mając 13 lat poszłam do pielienia u Niemców. Musiałam przerywać i pielic buraki, a że nie miałam w tym wprawy zostałam w tyle. Zmartwiłam się, że gospodarz, ówczesny Bauer, który nadzorował naszą pracę ukarze mnie za to i zbije. A on podszedł do mnie, stanął w rozkroku na redlinach i powiedział: „Kej została, ale ma najczyściejsze redliny”. Nie zganiał mnie, a pochwalił. Kamień spadł mi wtedy z serca. Gospodarstwo położone było w Cieciersku.

W tym samym czasie posyłano mnie po kryjomu do szkoły. Musieliśmy chować podręczniki pod ubraniem, gdyż Niemcy nie pozwalali na naukę. Uczyłam się w prywatnym domu, gdzie chodziłam razem z kolegą, Tadkiem Kowalskim. Umiałam nawet pisać gotykami.

Miałam 14 lat, gdy musiałam jechać do Baboszewa po mięso i wędliny. Czekaając na

pociąg powrotny wystraszyła się, bo żandarmi spacerowali z psami po peronie. Bałam się, że zwierzęta wyczują mięso i żandarmi mnie zatrzymają. Na szczęście wróciłam cała i zdrowa do domu, bo jakiś mężczyzna na ich widok przestraszył się i rzucił do ucieczki, a oni pobiegli za nim. Odetchnęłam z ulgą, bo gdyby nie to z pewnością odkryli by u mnie mięso i zatrzymali. Mogę, więc mówić o dużym szczęściu.

### **Czy przez cały czas trwania wojny nie pomyślała Pani o tym żeby opuścić Raciąż?**

Jednego roku, tuż po Wielkanocy ogłoszono, żeby uciekać za Wisłę. Wsiadłyśmy z mamą na wóz razem z sąsiadami, rodziną Stawskich, którzy zgodzili się nas ze sobą zabrać. Dojechaliśmy aż za Płock. Jednak zdecydowaliśmy, że ucieczka nie ma sensu i wróciliśmy z powrotem do Raciąża. Mieszkałam tutaj przez cały czas. Jednak wiele osób wyjechało z Raciąża, nigdy już nie wrócili. Nieraz też widziałam z okna, jak z ul. Płockiej Niemcy wywożą Żydów. Raz nawet zamówili orkiestrę, która swoją grą odprowadzała ludzi na pociąg. To było zwykłe szyderstwo.

### **Kiedy dowiedziała się Pani, że wojna się skończyła?**

Koniec wojny był przez wszystkich wyczekiwany. O tym, że wojna się skończyła dowiedzieliśmy się po tym, jak do Raciąża przybyli sojusznicy, a Niemcy zaczęli uciekać z miasta. Pamiętam, jak raz nocowało u nas w domu kilku Kozaków. Byli oni nieokrzesani i gwałtowni, żeby uniknąć przez nich napastowania, trzeba było udawać chorobę. Byli bardzo zdziwieni moim złym samopoczuciem, ale dali mi spokój i wkrótce potem odjechali. Pamiętam, jak jeden z nich zapomniał szpicruty, i po nią wrócił, a wychodząc mocno mnie nią uderzył.

Raz, było to już kilka miesięcy po wojnie, jadąc z kuzynką do Sierpca, żeby wymienić pieniądze, chciałyśmy za to kupić trochę jedzenia na święta, przeżyłam nieprzyjemną przygodę. Wymieniłyśmy pieniądze, idziemy na dworzec kolejowy, a tam tłumy ludzi. Ruscy przyszli sprawdzać dowody. Okazało się, że tylko ja nie miałam ze sobą dowodu, ale byłam jeszcze wtedy za młoda, aby go posiadać. Wystraszyłam się bardzo, bo kazali mi iść ze sobą do jakiegoś pomieszczenia, chyba dyżurki. Jeden z nich powiedział: „Tej dziewczyny bez zezwolenia nie puszczają” i wyszedł na chwilę. Kolejarze byli jednak na tyle dobrzy, że mnie wypuścili. „Ty kochaniutka uciekaj stąd” – powiedział któryś z nich i w ten sposób udało mi się uciec. Na peronie zobaczyłam kuzynkę, która poczekała na mnie, choć nie musiała tego robić. Byłam jej za to bardzo wdzięczna. Pociąg odjechał, więc nie miałyśmy czym wrócić do domu. Poszłyśmy na roгатki złapać jakąś okazję i tak udało się nam wrócić do Raciąża. Były więc to czasy, które ciężko wspominać.

## **Na koniec, czy mimo tych trudnych czasów udało się zachować tradycję Świąt Wielkanocnych?**

W tamtym czasie święta nie należały do najlepszych. Było ciężko, brakowało jedzenia. Bieda panowała w każdym domu. Jedynie na święta starano się zdobyć trochę żywności – mięsa, śmietany, jajek. Zwyczaje związane z Wielkanocą zostały zachowane, pomimo tego, że święta były obchodzone w strachu i lęku o własne życie. Dziś jest wszystko, ale nie przywiązujemy zbyt dużej wagi do tradycji, tak jak to było kiedyś. Oby ta wojenna tradycja nigdy więcej się nie powtórzyła.



*Halina Arceusz wspominająca czasy wojenne*

*Opracowanie i przygotowanie materiału Marianna Górska. Wywiad ukazał się w Pulsie Raciczyńskim nr 4 (51) 2016.*

## Barbara Brzosko



**Barbara Brzosko** urodzona 09.04.1926 roku w Raciążu, gdzie przebywała również w czasie okupacji. Zaraz po wojnie wyjechała do Gdańska, gdzie mieszka do chwili obecnej.

## **W remizie był Wehrmacht i więzienie**

### **Wywiad z panią Barbarą Brzosko na temat II wojny światowej w naszym mieście.**

**Mariusz Godlewski: Witam serdecznie. Bardzo dziękuję, że zechciała Pani ze mną porozmawiać na temat swoich przeżyć w okresie II wojny światowej. Zacznijmy więc od początku. Jak Pani dowiedziała się Pani o tym, że zaczęła się druga wojna światowa?**

Barbara Brzosko: Nikt sobie nie zdawał sprawy z tego, że zaczyna się wojna światowa ani ile ona potrwa, ani co się wydarzy. W piątek o piątej rano usłyszeliśmy, że jest wojna. Po niedługim czasie nadleciały samoloty. Przekonaliśmy się osobiście, że wojna wybuchła. Jedna bomba spadła za kościołem. Ludzie dowiadawali się o tym, także za pośrednictwem radia, którego posiadanie potem zostało zabronione.

**- Ile lat miała Pani 1 września 1939 roku?**

- Miałam 13 lat.

**- Co zrobiła Pani rodzina po wybuchu wojny?**

- Wielu mieszkańców wpadło w panikę, zastanawiali się co zrobić. Dużo osób zaczęło uciekać z miasta. To też okazało się niebezpieczne. Na drogach było wielu uchodźców – cywili i żołnierzy. Niemcy z samolotów strzelali do ludzi. Moja rodzina też postanowiła opuścić Raciąż. Uciekaliśmy przez łąki do rodziny Bulaszewskich, do Kossobud. Mama była chora. Na wóz rzuciliśmy pierzynę, a na nią położyliśmy mamę i ją przykryliśmy. Była tak słaba, że nie miała siły iść. Chowaliśmy się w wykopach. Samoloty bardzo nisko latały. Wszędzie było pełno trupów i różnych rzeczy, które upuścili uciekający ludzie. W Mławie był front. Uciekinierzy kierowali się w głąb Polski i trafiali między innymi do Raciąży. W końcu wróciliśmy do miasta.

**- Co działo się w Raciążu, kiedy pojawili się Niemcy?**

- Część oddziałów przeszła przez miasto, ale niemieccy żołnierze pozostali też w mieście na stałe. Między innymi u nas w domu kwaterowali żołnierze. Ja spałam w pierwszym pokoju, a oni w drugim. Mieszkaliśmy wtedy w podwórku przy ulicy Kielińskiego 12, a od ulicy mieszkali Żydzi. Niemcy rozpoczęli ich wysiedlanie. Spędzili wszystkich do synagogi, kazali im się rozebrać, a złoto, biżuterię i inne kosztowności złożyć do kosza. Żydzi ukrywali swoje kosztowności w różnych zakamarkach własnych domów. Pojmani Żydzi zostali zapędzeni do Baboszewa do jakiejś pracy. Widziałam

jak przechodzili przez ulicę śpiewając: Hitler złoty nauczył nas roboty. Później wysłano ich do getta.

Pamiętam, że już po skoszarowaniu Żydów i wywiezieniu ich, przyjechała do Raciąża kobieta narodowości żydowskiej z Baboszewa. Spakowała należące do niej rzeczy i Janek odwiózł ją do miasta. Ryzykował życiem. Nie wiem co się z nią potem stało.

Przed wojną między Polakami a Żydami nie było większych problemów. Współżycie układało się bardzo dobrze. Pewien aptekarz, Żyd, bardzo pomagał Polakom. Pamiętam, że kiedyś zachorowała moja mama. Zawieźliśmy ją do Strzegowa, do lekarza, który dał jej niewłaściwy lek. Aptekarz dał nam inny, zauważywszy, że ten przepisany przez lekarza, może zabić mamę. Mama wróciła do zdrowia. To był dobry człowiek. Po jakimś czasie mama znowu zachorowała. Dowiedzieliśmy się od lekarzy, że ma guza w brzuchu.

Po usunięciu Żydów z Raciąża, znalazłam ukryte w piwnicy srebrne lichtarze. Ludzie zabierali, to co po nich zostało. Ja złapałam beczkę z przykryciem do czerpania wody ze studni. Ojciec bardzo się zdenerwował i musiałam zwrócić na miejsce. Moja rodzina bardzo dobrze żyła z Żydami. Ojciec był szewcem, przewodniczącym kooperatywy (zrzeszenia rzemieślników). Zresztą przed wojną Raciąż to było miasto szewców.

#### **- Co działo się później?**

- Cały czas człowiek się czegoś bał. Wieczorem była godzina policyjna, światła musiały być przyciemnione i świeciły się tylko do dwunastej. Okna były zasłaniane, aby światło nie wydostawało się na zewnątrz.

#### **- Czy w czasie wojny w Raciążu stacjonowało wielu Niemców?**

- Tak, w remizie był Wehrmacht i więzienie. Z drugiej strony pojawili się także wokół Raciąża partyzanci.

#### **- Jak zachowywali się Niemcy w stosunku do miejscowej ludności?**

- Niemcy, którzy byli u Polaków, zwykle dobrze odnosili się do ludzi, u których mieszkali. Trzeba było dobrze z nimi żyć, żeby jakoś przetrwać. Ja, w przeciwieństwie do mamy, dość dobrze mówiłam po niemiecku i mogłam z nimi porozmawiać. U nas w domu kwaterowali między innymi Niemiec, który pochodził z Berlina. Pracował w Raciążu jako mechanik. W domu wieczorami grał ze mną w karty, dawał wygrać. W nagrodę otrzymywałam czekoladę. Zwykli żołnierze podczas okupacji byli raczej przychylnie do nas nastawieni. Pokazywali nam np. zdjęcia swoich dzieci.

Jednak oprócz zwykłych żołnierzy była żandarmeria, było gestapo i Polacy, którzy wysługiwali się Niemcom. Żandarmeria strzelała do ludzi, potrafiła zabić Polaka za nic, skatować do nieprzytomności. Zwykłym żołnierzom też dawali rozkaz i wszystko się zmieniało. Nigdy nie było wiadomo, co się stanie za dzień czy dwa. W każdej chwili można było być zabranym z domu. Kiedyś przyszli i po mnie aby mnie wywieźć na roboty do Niemiec. Pomógł mi wtedy żołnierz niemiecki mieszkający u nas. Wyrzucił on z domu żandarma, który przyszedł, żeby mnie wywieźć do Niemiec.

Do Raciąża jeszcze przed wojną przybył pewien włóczęga, przedstawił się jako Leszek. Został w mieście miło przyjęty. Znalazł mieszkanie u pani Kozłowskiej, otrzymał także jedzenie i ubranie. Jak się okazało był to bardzo inteligentny chłopak, władający kilkoma językami. Okazał się być niemieckim agentem. Jednak to dzięki niemu na nasze miasto spadła tylko jedna bomba, za kościołem. Nie zrobiła nikomu krzywdy, a była rzucona, aby wzbudzić w miejscowej ludności strach. W czasie wojny Leszek chodził w niemieckim, oficerskim mundurze i bronił niektórych ludzi. Zabił się na dworcu, gdy dowiedział się, że zostanie wysłany na front. Pochowano go na cmentarzu.

#### **- Czy ludzie pomagali sobie w trudnych czasach?**

- Różnie, zdarzali się donosiciele, którzy wydawali Żydów i zabierali należące do nich kosztowności. Mój ojciec też się bał. Mieszkaliśmy naprzeciwko synagogi. We wrześniu 1939 roku przyszli do niego Żydzi i poprosili, żeby ukrył dla nich wszystkie księgi i pisma z synagogi żydowskiej. Przenieśli także inne przedmioty kultury – księgi w skórce, świeczniki. Zostały one zakopane naprzeciwko okien naszego domu. Zakopano je luzem w dole, który przykryto balami drzewa. Towarzyszył nam strach, aby Niemcy się o tym nie dowiedzieli. Wspomniane przedmioty leżały ukryte przez całą wojnę. Nie wszystkie przetrwały do jej zakończenia. Potem przekazaliśmy je do synagogi pod Gdańskiem. U nas nie było komu ich przekazać...

#### **- Co robiła Pani w trakcie wojny? Czy funkcjonowała szkoła?**

- Nie można było legalnie się uczyć. Polskie dzieci musiały służyć u Niemców, żeby nie zostały wywiezione na roboty do Niemiec. Trzeba było mieć pracę. Niemcy zamknęli szkołę. Jednak na rynku mieszkał nauczyciel, który przyjechał do Raciąża z innego miasta. Potajemnie udzielał on lekcji chętnym dzieciom. Rodzice wysyłali mnie do niego. Płaciliśmy mu żywnością, bo gotówki nikt nie miał. Baliśmy się, że zostaniemy złapani, więc z innymi dziećmi przemykaliśmy się do niego ogrodami.

Poza tym robiłam różne rzeczy. Pracowałam w jajczarni, która znajdowała się w rynku, na rogu Mławskiej. Dawniej była tam szkoła. Jako dziecko na polecenie Niemców musiałam sprzątać mieszkania opuszczone przez Żydów, które następnie zamknięto i stały puste przez całą wojnę. Do tej pory pamiętam, jak w jednym z mieszkań znalazłam pierścionek i 120 zł.

Jeździłam także do Warszawy, po różne rzeczy. Razem z siostrą trochę handlowaliśmy. Byłam w Warszawie podczas powstania w getcie żydowskim. Pojechałam tam wtedy sama do szwagra mojego brata. Czasem jeździłam z siostrą do Warszawy, żeby przywieźć do Raciąża różne rzeczy. Między Warszawą a nami była granica. Raciąg był w Rzeszy, a Warszawa w Generalnym Gubernatorstwie. Trzeba było jechać pociągiem, a potem przez las iść, żeby nie zauważyli Niemcy i przekroczyć granicę. Wiele razy to robiłam – udawało się, ale raz się nie udało. Złapali nas Niemcy mnie i moją siostrę. Zamknęli nas w Modlinie w takiej ponurej celi w twierdzy. Było tam dużo ludzi pojmanych. Niemcy strasznie się zachowywali. Bili ludzi i ciągle gdzieś wywozili. Widziałyśmy, jak ustawiali się w rzędzie kazali przechodzić pomiędzy nimi i tłukli Polaków. Na ścianach celi były napisy zrobione przez więźniów. Myślałyśmy, że już stamtąd nie wyjdziemy. Potem dowiedziałam się, że większość ludzi stamtąd już nie wracała. My z siostrą na przesłuchaniu powiedziałyśmy, że szłyśmy przez granicę, żeby kupić w Warszawie suknię ślubną dla córki burmistrza Raciąża. Niemcy straszli



nas, ale o dziwo skontaktowali się jakoś z burmistrzem Raciąża i on to potwierdził. Po trzech dniach wypuścili nas – wsadzili do pociągu. Do Płońska jechał za nami tajniak. Podszedł na koniec i powiedział, że miałyśmy szczęście, bo już powinnyśmy nie żyć. Żebyśmy więcej tak nie robiły.

**- Czy ktoś z Pani rodziny został wywieziony na roboty?**

- Dużo osób wywożono do Niemiec, do pracy. Mój brat Antek ukrywał się przez prawie całą wojnę, bo chcieli go zabrać i uciekł przed żandarmami. Mojego rodzeństwa nie udało się ochronić i zostali wywiezieni. Byli w Prusach Wschodnich. Zygmunt i Hela pracowali na roli, a Pola u ogrodnika. Jako dziecko pojechałam do nich. Sama bez zgody rodziców. Byłam wyjątkowo odważna i nierozważna jednocześnie. Nie zastawiałam się, że mogę zginąć. Nie zdawałam sobie sprawy, jakim przeżyciem dla mamy, był mój wyjazd do Niemiec. W Raciążu wsiadłam do pociągu, nie posiadając biletu. Nie wiem dlaczego nie bałam się Niemców. W Sierpcu do pociągu wsiadł niemiecki oficer. Rozmawiałam z nim po polsku. Poinformowałam go, że jadę do chorej siostry, której muszę pomagać w pracy. Byłam wtedy ładnie ubrana, w kapelusz i futro, które przywiozłam z Warszawy. Nie wyglądałam na Polkę. W Bydgoszczy oficer zamówił mi herbatę i coś do jedzenia. Siedzieliśmy przy stoliku niemieckim. Jak chodzili żandarmi, nieznajomy tłumaczył, że jestem jego córką. Nie wolno mi było się odzywać.

Tak naprawdę nie wiem, czy to był Niemiec, możliwe, że to był Polak, który realizował jakąś misję. Kupił mi bilet do Prus Wschodnich, wsadził do specjalnego pociągu, i wytłumaczył, ile mam przejechać stacji. Miałam wtedy 18 lat. Dojechałam w rejon miejscowości, gdzie była moja siostra. Następnie musiałam iść 3 kilometry pieszo. Spotkałam dziewczynę, Niemkę, która szła do tej samej wsi, co ja. Doszłam na miejsce. Wtedy weszłam do biura gospodarza u którego pracowała moja siostra Hela. Mieszkała w podwórzu z dwoma Francuzami i jakimś Polakiem. Kiedy Niemiec dowiedział się, że przyjechałam do Heli, bardzo się zdziwił i ucieszył zarazem. Złapał mnie i posadził na biurko. Z Helą spędziłam 3-4 dni, poszłam na ubaw i chodziłyśmy po wsi. Przez te kilka dni gospodarze bardzo mnie polubili, na pożegnanie dostałam od nich kaczkę i kawał masła. Hela doprowadziła mnie do pociągu, szłyśmy tak kilka kilometrów, bo nikt nas nie odwiózł. W Bydgoszczy na stacji spotkałam Polaka, który jechał do Płońska na urlop. Byłam świadkiem, jak zabrał go żandarm. Zauważywszy niebezpieczeństwo, przeszłam w inne miejsce. Następnie dojechałam do Sierpca, w nocy siedziałam sama w pociągu, bałam się wyjść, bo była godzina policyjna. W końcu udało mi się wrócić do Raciąża.

**- Co się wydarzyło po Pani powrocie do domu? Czy obawiała się Pani reakcji rodziców?**

- Po powrocie do domu, dowiedziałam się o aresztowaniu rodziny Kucińskich. Ciotka i wuj Kucińscy mieli czwórkę dzieci, dwie córki Helenę i Irenę oraz dwóch synów Pawła i Mariana. Wraz z nimi aresztowano także dwóch partyzantów. Tydzień wcześniej przyszedł do nas wuj Kuciński, aby pożyczyć szpadel do kopania tunelu, który prowadził z domu do stodoły. Ukrywało się w nim dwóch Anglików.

Dom Kucińskich został otoczony przez wojsko i rozpętała się strzelanina. Angli- cy z partyzantką strzelali do Niemców, a oni im się odwzajemniali. W końcu schronili się w bunkrze. Wuj wyszedł na podwórko i został rozstrzelany, Niemcy wyciągnęli mu

język i wydłubali oczy. Z całej rodziny ocalała najmłodsza córka mająca wówczas 8 lat. Helena wraz z mężem oraz ciotką zostali pojmani. Bracia uciekli do lasu, Paweł był ranny w rękę, ale wyszedł z tego. Ciotka Kucińska, jej zięć i córka zostali wywiezieni do lasu w okolicach Gostynina i tam zamordowani. Ukrywający się w lesie Paweł i Marian, zostali w końcu znalezieni i osadzeni w więzieniu, który znajdował się na parterze w remizie. Bili bici. Partyzanci ich odbili.

Po zakończeniu wojny wszystko się uspokoiło. Ukrywający się w lesie Marian postanowił się ujawnić. Pawła zabrali komuniści, wtrącili do więzienia w Sierpcu i strasznie bili. W końcu powiadomili rodzinę, że można go zabrać. Wieczorem go przywieźliśmy, a rano zmarł w wyniku obrażeń. Najmłodsza córka Kucińskich przeżyła i mieszkała w Elblągu. Marian mieszkał w Olsztynie, tam był przetrzymywany przez komunistów. Po odbyciu kary przeprowadził się do Mławy.

#### **- Jaka była w mieście atmosfera, gdy zbliżał się koniec wojny?**

- Niemcy czuli, że sytuacja nie jest dla nich dobra. Pod sam koniec wojny – w momencie zbliżania się Rosjan, Niemcy stawali się dużo miłsi. Pamiętam, że Rosjanie zabili jakiegoś człowieka, prawdopodobnie Niemca, który próbował podpalić most. Uwiązali go za szyję do wozu i pociągnęli. Uważaliśmy, że Rosjanie dadzą nam wolność, nie baliśmy się ich. Cieszyliśmy się, że w końcu będzie nam lepiej i skończy się terror. Stało się jednak inaczej. Rosjanie znęcali się nad ludnością cywilną, gwałcili kobiety, okradali mieszkańców miasta. Z naszej szafy wyciągnęli nam praktycznie wszystko.

#### **- Czy po wojnie Polacy wysługiwali się Rosjanom?**

- Nie, Polacy bardziej wysługiwali się Niemcom, niż Rosjanom.

#### **- Co się działo w Raciążu po wojnie?**

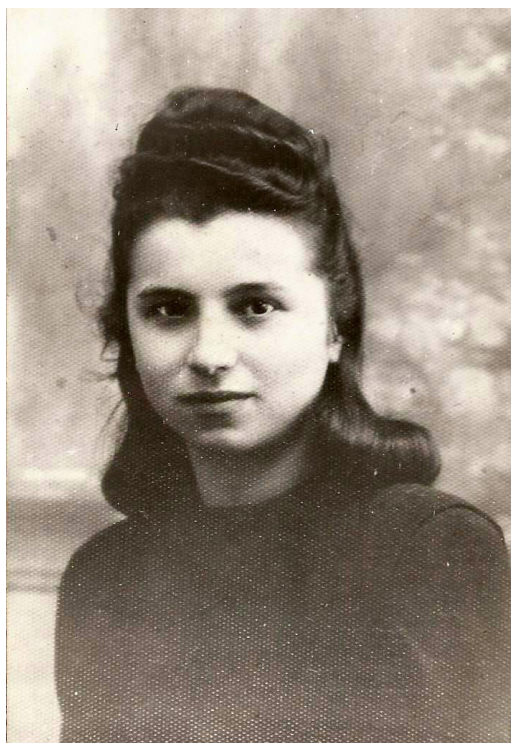
- Władzę w mieście przejęli ubecy i zaczęły się aresztowania. Potem niewiele wiem. Wyjechałam z Raciąża. Mój brat Andrzej brał udział w powstaniu, był żołnierzem Armii Krajowej. Znajomy mojego brata z powstania, oficer był na Pomorzu. Zaprosił nas do siebie. Tak trafiliśmy do Gdańska. Spędzaliśmy czas z nim i jego żoną. Nikogo więcej tam wtedy nie znaleźliśmy. W trakcie wyjazdu do Gdańska, na Żuławach, strzelali do nas Niemcy. Szliśmy pieszo w kierunku politechniki, a prawie na każdym drzewie wisiał niemiecki żołnierz. Widziałam ludzi, z których Niemcy ściągali skórę. Przy akademii, w piwnicach, leżały ciała oberwane ze skóry. To było straszne. To są chwile, których nie zapomnę do końca życia. W każdym razie do Raciąża na stałe już nie wróciłam. Założyłam rodzinę. Moje dwie siostry też przyjechały do Gdańska. Co jakiś czas tylko odwiedzam rodzinę. Lubię tu przyjeżdżać. Raciąż to moje miasto rodzinne. Dobrze się w nim czuję.

#### **- Dziękuję bardzo za rozmowę.**

*Wywiad przeprowadzony przez Mariusza Godlewskiego we wrześniu 2014 roku. Dziękujemy portalowi [www.raciaz.eu](http://www.raciaz.eu) za udostępnienie tekstu.*

*Wywiad ukazał się w numerze 3 (46) 2015 Pulsu Raciąża.*

## Zofia Oprzałkowska



**Zofia Oprzałkowska** z domu Chróstowska urodzona 18.04.1930 roku w Cieciersku, w majątku u państwa Traczów (gospodarstwo dziedziców). Całe życie spędziła w Raciążu. Najpierw mieszkała przy ul. Kościelnej, potem przy ul. Kilińskiego, następnie przy ul. Dworcowej 5. Gdy miała 19 lat wyszła za mąż i zamieszkała przy ul. Płockiej 50. Tu mieszka do chwili obecnej. W czasie wojny jako dziecko pracowała u Niemki – Edyty Wolff w Zakładzie Klasyfikacji Gleb w Raciążu. Do przedszkola i szkoły chodziła w Raciążu. Pracowała w Państwowym Przedszkolu w Raciążu. Urodziła czwórkę dzieci.

## **Wywiad z Zofią Oprzałkowską**

### **Lata wojenne i powojenne**

#### **- Kiedy i gdzie się Pani urodziła?**

18 kwietnia 1930 roku w Cieciersku.

#### **-Jakie wydarzenia pamięta Pani z początku wojny? Jakie obrazy z tamtego czasu utkwily Pani w pamięci?**

Przed wybuchem wojny uciekliśmy z mamą na wieś, tata został w Raciążu. Ponieważ nie było tam warunków mamusia powiedziała, że co będzie to będzie, wracamy do domu. Pierwszy patrol niemiecki spotkaliśmy przy ul. Płockiej, koło domu pani Arceuszowej. Przestraszyliśmy się niemieckich motorów z koszami, które przejeżdżały przez Raciąż. Utkwił mi z tego wydarzenia obraz Żyda, bitego przez Niemca, który zeskoczył z jednego z motorów. Bardzo to przeżyliśmy, byliśmy przerażeni, myśleliśmy, że jeśli jest taki początek, to jak będzie dalej. Doszliśmy szczęśliwie do domu.

Pamiętam też wybuch pierwszej bomby za kościołem. To był dzień targowy, na wybrukowanym rynku stało pełno furmanek. Ludzie oszaleli, uciekali, krzyczeli. Ja byłam sama z młodszym bratem w domu, nie wiedziałam gdzie uciekać. Złapałam go i uciekłam z domu pod pobliskie drzewo. Zobaczyłam jak mamusia biegnie przez środek rynku pomiędzy końmi i furmankami w stronę naszego domu. Wróciła bo wiedziała, że ja sama zostałam z dzieciakiem.

Druga bomba upadła koło domu pani Arceuszowej przy ulicy Płockiej, to był ogródek, pozostał lej. Ciocia Genia w czasie wybuchu stała w ogródku i przysypała ją ziemią, ludzie ją odsypali. Trzecia bomba wybuchła na Zawodzie.

Z czasu jak zaczęli aresztować tych politycznych i mądrych ludzi, to pamiętam pana Szefera. Przy ulicy Kościuszki stała więźniarka, tu zbierali ich wszystkich i ładowali do niej. On już w tym samochodzie był, a pani Szeferowa przysła z obydwojma dziewczynkami, z Danką i Hanką, i pan Szefer wyszedł z tego samochodu, wziął Hanię i uniósł do góry i tak trzy razy, i nie zapomnę tego, jak patrzył... Zaczęliśmy płakać, on postawił ją na ziemię i wszedł do samochodu. Już go nie zobaczyła. Pani Szeferowa dzieci miała małe...Ile nas było, to wszystko płakało.

Później widziałam jak zabierali księży do więźniarki - księdza Jakubowskiego kanonika i Dąbrowskiego. Jeszcze przed chwilą ks. Dąbrowski szedł do chłopców, którzy stali na placu, gdzie dziś handlują warzywami, znał ich z ogniska i spotkań z młodzieżą, wziął jednego za ramię i powiedział : "Chłopcy, słonko coraz wyżej, pan Sikorski coraz bliżej", a za parę minut go zabrali. On wrócił, przeżył wojnę, ksiądz kanonik już nie... przysłali tylko jego prochy. Takie były nasze początki wojny.



*Ochronka przy ulicy Kościuszki u Państwa Malinowskich. Wśród dzieci ksiądz Jakubowski.*

### **- Jak wyglądało życie w Raciążu w czasie wojny?**

Dzieci od ósmego roku życia spędzano na rynek, musiały pielnić trawę łyżkami, Niemcy brali nas do pielienia gumy tu jak się szło na Łempin. Starszych chłopców brali do pilnowania krów.

Obóz Żydowski był tu, gdzie ja później pracowałam, przy starej kuźni na Płockiej. Wyprowadzali ich na roboty: przy Straży Pożarnej i w centrum miasta, później ich wywieźli i już nie było Żydów w Raciążu.

Poczta była koło kościoła u Auguściaków, a urzędnik niemiecki, który był naczelnikiem poczty mieszkał z żoną i dziećmi u Leszczyńskich, w tym budynku od ulicy na piętrze po Kucińskich, których już nie było, bo wcześniej uciekli. Na dole mieszkali Dublasiewiczowie, oni też uciekli.

Wojsko stacjonowało przy szkole, a żandarmeria była na Warszawskiej. Każdy żandarm miał przydomek np: Rudy, Kulig, Polun. Wszyscy się ich bali.

W szkolnym budynku były magazyny wojskowe, a kuchnia wojskowa była tam gdzie kino. Dużo kobiet zatrudniano do skrobania kartofli dla wojska. Kucharz, który wiedział, że mamusia ma dzieci kładł jej ciepły obiad do dzbana i mamusia przynosiła go do domu. Wojskowych wspominam dobrze. Przyszło kiedyś do nas dwóch żołnierzy niemieckich, Tolek był malutki w kołysce. Taki Albert pochylał się nad kołyską i zaczął płakać, powiedział: „ Matka, ja takiego samego zostawiłem w domu”. Jak odjeżdżali na front, jak oni płakali. Bali się, że nie wrócą i nie wrócili, żaden. Mówili, że jak wrócą to napiszą. Z frontu jeszcze mojej siostrze Jance Willi przysłał zegarek.



*Hans*



*Willie i Albert*

*Żołnierze Niemieccy stacjonujący w bazie wojskowej w Raciążu, z której mieli wyruszyć na front wschodni. Marianna Chróstowska prala i prasowała im koszule.*

Wojsko nie pozwalało bić ludzi żandarmom. Pamiętam scenę ze Szczześniakiem, był on tłumaczem w prezydium, mamusia szła z maślanką i on zaczął krzyżeć po niemiecku na mojego brata Zygmunta, który się spóźnił na spotkanie podwodów. Musieli oni stawiać się z wozami na wyznaczoną godzinę w określonym miejscu, byli zatrudniani do różnych prac przewozowych. Zygmunt spóźnił się na spotkanie, ponieważ zatrzymał go gospodarz, u którego pracował. Szczześniak zaczął krzyżeć na Zygmunta po niemiecku i chciał go bić. Mamusia zaczęła krzyżeć: „Hola, hola łobuzie, zapomniałeś mówić po polsku? A po niemiecku jeszcze się nie nauczyłeś? Żołnierz niemiecki, który stał na chodniku, był świadkiem całego zdarzenia powiedział do mamusi: „Gut, gut matka” chwając ją i odszedł.

Na miejscu starej szkoły zorganizowano szpital polowy, gdzie zwozili rannych. Później tam była jajczarnia, prowadził ją Niemiec o nazwisku Miller, który był współwłaścicielem. Mieszkał u pani Rogalewiczowej przy ulicy Dworcowej. Wyrzucono stamtąd reagenta Rogalewicza i Miller zrobił sobie tam mieszkanie. Konie trzymał na plebani a mój tatuś był u niego furmanem. Był bardzo okropny i niedobry. Jak bił tych ludzi! Jak wpadał do jajczarni to wszystko truchlało! Tam pracowało dużo Polaków, głównie młodych dziewczyn. Pamiętam Marysię Cieślińską z Kilińskiego, której najbardziej dokuczał. Szczęśliwie ją swoim psem. Ona później uciekła. To był zły człowiek, za byle co bił Polaków. Całkiem inny był drugi współwłaściciel, Gerenc. Oni we dwóch nie mogli się zgodzić.

Pamiętam też wysiedlenia. Jak ludzi wysiedlali to nikt nie wiedział, co będzie dalej. Każdy czekał, bo to nie było tak, że były osoby wyznaczone do wysiedlenia. Każdy uszykował tobołek dzieciom, jak Niemcy wpadali to łapał swój tobołek i szedł do kościoła, bo tam wszystkich zbierali a później ich ładowali na samochody i wywozili na ten głód, na tą nędzę. Moja ciocia Genia mieszkała u pani Arceuszowej przy Płockiej, a jej brat a mój wujek Jan Wysiąński, poszedł na wojnę i z uciekł niewoli. Za Niemców się ukrywał u ciotki Staniszewskiej. Jak przyszli ciotkę wysiedlać, to jego też zgarnęli. Mamusia nie mogła tego przeboleć. On nie miał dokumentów. Mamusia wiedziała, że go rozstrzelają, więc wzięła czajnik i trochę jedzenia, bo można było tym ludziom (zgrupowanym w kościele) coś donosić i wtedy wpuszczali do środka. Mamusia zapytała żandarmów stojących przy drzwiach czy może podać herbatę. Oni się zgodzili. Weszła do kościoła i zobaczyła siostrę i brata. Dała bratu czajnik, on wyszedł z nim udając, że przyszedł z mamusią, która w ten sposób wyprowadziła go z kościoła, i tak przeżył. Odprowadziła go na drogę Łempińską i kazała uciekać. Ludzie tak wyprowadzali innych. Mamusia się bardzo bała, jak przyszła do domu, to miała poranione usta. Ryzykowała wtedy bardzo.

### **- Jakie były losy wojenne Pani rodziny?**



*Ślub Marianny i Michała Chróstowskich, rodziców Zofii Oprzałkowskiej*

Moją siostrę wzięli do pracy u naczelnika poczty w Raciążu, ale ona długo tam nie została, uciekła od nich i dostała się do Sierpca. Pracowała u niemieckiego lekarza, który wziął ją na tłumaczkę, bo знаła niemiecki. Była w Sierpcu taka Niemka, nazywała się Ebner, miała już dorosłe dzieci: córkę i syna. Była to osoba wpływowa, miała duże

kontakty i sklep. U niej często gościli Niemcy. Ebnerowa wykorzystując swoje wpływy zatrudniła moją siostrę. Siostra u niej długo pracowała. Ta Niemka to była podła osoba. Moja siostra mieszkała oddzielnie, wynajęli jej pokój w domu obok. Jeździłam do Sierpca do siostry pomagać jej w robocie. Jak siostra poprała to ja cerowałam bieliznę, piżamy itp. Ebnerowej moja praca bardzo się podobała, ale siostra powiedziała, że bym uciekała, bo Niemka zamęczy mnie pracą. Niemcy się kochali w tych cerowaniach, haftowaniach. Mamusia mi dawała jajka, które dawałam Niemce, a ona dawała mi za to inne artykuły i ja zaopatrywałam dom za te jajka. Przywoziłam do domu od tej Niemry wszystko. Nawet któregoś razu przywiozłam rodzinę na święta. Kiedyś siostra zgubiła kluczyk do bramy. Brama była zamknięta i siostra nie mogła wejść. Dzwoniła do bramy, aż po jakimś czasie wyjrzała z okna ta Niemka i spytała się dlaczego siostra dzwoni do bramy. Janina się przyznała, że zgubiła kluczyk, a wtedy Ebnerowa zadzwoniła do Arbaitzamt, przyjechali i zaczęli bić po twarzy siostrę. Za siostrą wstawiła się Rosmary, córka Ebnerowej, która bardzo lubiła Janinę. Ten urzędnik z Arbaitzamt chciał, żeby siostra została wywieziona do obozu. Mówił, że należy do bandy i że komuś musiała oddać kluczyk. Rosmary zagroziła, że opowie o wszystkim kochankowi matki, z którym Ebnerowa mieszkała. Kiedy przyszedł ten Niemiec zbeształ Ebnerową za to, że pozwoliła Janinę uderzyć. Moja siostra rano się spakowała, poszła do fryzjera, zamówiła dorożkę i uciekła. Na stacji spotkała patrol niemiecki, ale wyglądała bardzo elegancko i kiedy jeden z patrolu ją pozdrowił, odpowiedziała po niemiecku i nikomu nie przyszło do głowy, że to uciekinierka. Przyjechała pociągiem do Raciąża. Do domu nie mogła wrócić. Ukrywała się w podwórku u naszych znajomych – Goszczyckich. Była tam niemiecka świnia i pani Goszczycka oprzątała świnie, a siostra jej pomagała. Mamusia się martwiła, bo brat już się ukrywał, drugiego zabrali, siostra się też ukrywała. Któregoś dnia przyjechało gestapo i namawiali mamusię, żeby siostra się zgłosiła a zostanie darowana jej ucieczka, ale siostra nie chciała się zgodzić, bała się aresztowania. Pamiętała areszt w Sierpcu w klasztorze, w tym areszcie przebywał Zygmunt Konopka z Raciąża, siostra z nim rozmawiała przez mur i przynosiła mu jedzenie. Był tam też Polak z okolic Nasielska, był osobno zamknięty, miał umrzeć śmiercią głodową. Prosił żeby zawiadomiła jego rodzinę z miejscowości Winnica, że żyje. Codziennie przez kilka dni podchodziła pod mur więzienia i nasłuchiwała po jednym wyrazie z adresu człowieka skazanego na śmierć. Po kilku dniach siostra wiedziała, gdzie mieszkał i napisała do jego rodziny, że żyje. Janina wykorzystała to, że miała znajomości wśród żandarmów i załatwiła rodzinie za łapówkę widzenie. Do aresztu do Sierpca przyjechała siostra tego człowieka. Janina dała jej swoje zdjęcie. Potem dowiedziała się, że rodzina skazanego za kolejne łapówki wystarała się o jego zwolnienie. Przeżył wojnę, po wojnie przyjechał do Raciąża ze zdjęciem Janiny i jej szukał. Zawiadowca stacji rozpoznał na zdjęciu moją siostrę i powiedział mu gdzie mieszka, ale że już jest mężatką.





*Janina Chróstowska*

Mój najstarszy brat Zygmunt pracował w Grodnie u Niemców. Wystłali go jako kierownika brygady do kopania studni. Tam nie można było kupić nawet kawałka chleba, nic, tam taki naród był. Przyjechał na urlop do domu, był tak wycieńczony, że z dworca go przywieźli furmanką. Nie miał siły iść. Powiedział: „Mamo, ja tam więcej nie pojedę, bo głodną śmiercią umrę”. Mamusia już miała dość, bo wszyscy z rodziny się porozjeżdżali, ale wiedziała, że brat nie może zostać w domu, bo to groziło aresztowaniem. Miał jechać do Warszawy i tam szukać schronienia. Pani Pajewska, której córka mieszkała w Warszawie dała mu dla niej paczkę. Pojechał do Warszawy i poznał sąsiadkę tej córki, która była bardzo ładną dziewczyną. Spodobała mu się. Nie chciał już wracać ani do Grodna, ani do Raciąża. Młodzi zakochali się i wzięli ślub, mieszkali na Górczyńskiej w Warszawie. Za parę miesięcy wybuchło w Warszawie powstanie. Po powstaniu cała nowa rodzina brata została załadowana do samochodów i wywieziona. Każdy z nich na osobny samochód. Przy załadunku żona Zygmunta rzuciła się mu na szyję i krzyczała, że nie chce być rozdzielona z mężem, ale to nic nie dało. Młode małżeństwo rozdzielono. Brat wrócił do Raciąża po wyzwoleniu, był chory na tyfus. Ja go nie poznałam, bo był cały spuchnięty. Szłam z ciastkami od Majewskich a on od strony Drobina. Zawołał mnie i po głosie poznałam Zygmunta. Rzuciłam ciastka i pobiegłam do niego, bo tak każdy czekał na swoich... On wykurował się, a później pojechał szukać żony, jej sióstr i teściowej. Okazało się, że wszystko zostało zniszczone, z domu w którym mieszkali nic nie zostało oprócz gruzu. Brat znalazł ich gdzieś za Warszawą. Przyjechał z żoną do Raciąża, ale na krótko. Mieszkał później w Ursusie, doczekał się trzech synów.



*Zygmunt Chróstowski*



*Maria Maciejewska*



*Zygmunt Chróstowski z żoną Marią*

Brat Witold ukrywał się u pana Wolskiego, który mieszkał na końcu ulicy Kilińskiego. Jednej nocy do naszego domu przyszło po niego gestapo z psem, ale jego nie było. Nie zdążyliśmy go ostrzec. I mimo tego, że się ukrywał aresztowano go, razem z nim pojmano ośmiu ludzi, pędzili ich przez Płocką do pociągu. Brat szedł w ostatniej dwójce. Ja biegłam za nimi, ale Witek mi kazał uciekać. Wysyłali ich po stu na pierwszą linię frontu przed czołgi jako żywe tarcze. Brat mówił, że niewielu żywych wracało. On szczęśliwie wrócił do domu, w pociętych butach, które jak twierdził uratowały mu życie.



*Witold Chróstowski*

Mój tatuś pracował w niemieckich magazynach, tam gdzie dzisiaj jest GS. Było podejrzenie o kradzież i kilka osób aresztowano, w tym mojego ojca. Po ośmiu dniach ich wypuścili, bo nie było dowodu kradzieży. W areszcie w straży były cztery cele. Jednego dnia chcieliśmy tatusiowi coś podrzucić do jedzenia i ubrania. Namówiłam Niemczaka, syna kolonisty, żeby ze mną poszedł. Był to nasz sąsiad, bo wtedy mieszkaliśmy przy

ul. Kilińskiego, a on mieszkał tam, gdzie dzisiaj pani Modrzejewska. Miał na imię Richard. Pomógł mi, przytrzymał druty, a ja się prześlizgnęłam pod nimi. Tatuś podał mi przez okienko koszulę, była pokrwawiona, popłakałam się, jak to zobaczyłam. Jak przyniosłam ją do domu to przypominała skorupę. Mamusia dała mi czystą (dla taty), ja zaniiosłam ją pod aresztu. I tak było przez osiem dni, bo tak ich bili. Ludzie bali się tam chodzić, ale ja nie. A później to już obcy ludzie przychodzili do nas i prosili, żebym szła pod areszt, i ja chodziłam. Ktoś pilnował czy od Warszawskiej nie idzie żaden żandarm, a ja podawałam rzeczy i jedzenie, które przywiązywaliśmy do sznurków i wciągaliśmy do góry. Udawało się wszystko, do momentu zanim usłyszałam jak ktoś krzyknął: „Uciekaj, bo Rudy idzie!”, a żandarm był już blisko. Udało mi się uciec, jednak skóra i koszula zostały na drutach. Uciekałam przez płot do pani Kwasiborskiej, potem do Dalkiewiczów, a potem od Dalkiewiczów do Peczyńskich i wreszcie dotarłam do domu. Żandarm strzelał do mnie, ale mnie nie trafił. Później z tego aresztu próbował uciekać jeszcze kuzyn od Auguściaków. Biegł przez plac w stronę miasta, ale został postrzelony przez żandarma. Udało mu się schować do piwnicy pani Jabłońskiej, ale Niemcy znaleźli go po śladach krwi. Zabrano go do aresztu, pobito tak, że widzieliśmy jak leży w kałuży krwi, potem go wywieźli. Dzieciarnia z ulicy biegła za tym wozem, Niemcy strzelali do nas. Nie wiem gdzie został wywieziony, ani gdzie pochowany.



*Michał Chróstowski*

Ciocia Genia Staniszevska opiekowała się swoimi dziadkami na wysiedleniu. Jej dziadek był już bardzo stary i nie widział. Byli wysiedleni w Góry Świętokrzyskie, gdzie panował głód. Ciocia bywała u nas po żywność i wracała do dziadków. Przeżyła i wróciła do Raciąża. Dziadek i babcia zmarli tam, nazywali się Karasiewicz.



*Rodzina Chróstowskich. W górnym rzędzie druga od lewej Zofia Oprzałkowska.*

**- Czy coś szczególnego utkwiło Pani w pamięci z okresu wojny?**

U Łabiszewskich bili świnie, za co groziła śmierć. Łabiszewscy mieszkali tam gdzie dziś pani Pelkowska, to było młode małżeństwo, schodziła się do nich młodzież. Łabiszewski uczył nas tańczyć, bawiliśmy się w chowanego. Niemcy mieli już na oku rodzinę Łabiszewskich. Któregoś dnia Łabiszewski poprosił mnie, żebym od nich wyszła z garnkiem kapusty i dała się złapać żandarmom udając, że niosę coś niedozwolonego, aby odciągnąć ich uwagę. Nie wiedziałam dlaczego, ale zrobiłam jak prosił. Byłam okryta dużą chustą, a pod nią ukryłam garnek z kapustą. Wychodząc od Łabiszewskich, starałam się iść szybko do swojego domu, ale zobaczył mnie przechodzący żandarm. „Halt” zaczął się drzeć i ja stanęłam. Podszedł do mnie i krzyknął: „Bist du verrückt Mädchen. Was is das?” Ja odpowiedziałam: „Herr, ich trage Sauerkraut”. „Was?! Was?!” krzyczał. Ja powtórzyłam, że niosę kapustę, a on zerwał ze mnie chustkę, krzyknął jeszcze raz „Was?!” i zajrzał do garnka, w którym była kwaszona kapusta. „Du bist verrückt Mädchen. Raus nach Hause!” krzyknął jeszcze raz i tupnął na mnie nogą. W tym czasie, kiedy ja rozmawiałam z żandarmem Łabiszewski ubił świniaka. Mamusia nie wiedziała, po co idę do Łabiszewskich, bo by była mnie nie puściła. Ja nie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa, byłam dzieckiem.

**- Była Pani odważnym dzieckiem. Czy pamięta Pani jeszcze jakieś szczególne wydarzenia z czasu okupacji?**

Tu gdzie mieszka pani Linkiewiczowa, mieszkał pan Majewski, piekarz. Kiedy zmarł, potrzebny był wieniec. Poszłam do koleżanki Haliny Kornalewskiej, ona mieszkała

przy ulicy Warszawskiej i z nią poszłyśmy z koszykiem do dużego parku po coś na ten wieniec. Tu były klomby z kwiatami i rósł żywopłot. Nie wolno było Polakom wchodzić do parku, ale my weszłyśmy. W tym czasie przejeżdżał tamtędy żandarm Kulig na rowerze. Zobaczył nas krzyknął „Halt”, ja uciekałam, a Halina stała jak wryta. Już byłam na księżowskich trawach, tu za mostem, kiedy zaczął strzelać. Halina krzyknęła „Zosia stań, bo cię zabije!” i ja stanęłam. Kiedy mnie dorwał, to zaczął bić po głowie skórzaną rękawiczką. Potem bijąc mnie pędził nas przed sobą na Warszawską. On na rowerze, a my biegiem. Haliny nie uderzył, a mnie za to, że uciekałam bił całą drogę. Wpadliśmy do budynku żandarmerii, nie było komendanta tylko zastępca, mówili na niego Polun. W pomieszczeniu stała szafka z batami, jak ją zobaczyła Halina to zrobiła się sina. Kulig powiedział, że albo pójdziemy na noc do aresztu, albo dostaniemy po dziesięć batów. Zaczęłam tłumaczyć zastępcy po niemiecku, że my tylko zerwałyśmy parę gałązek i pokazałam koszyk. Kulig upierał się przy batach i areszcie. Zastępca komendanta się zdenerwował i kazał nas puścić. Kulig stanął w drzwiach, puścił Halinę, a mnie chwilę trzymał i puścił później, ale zasłonił wyjście ręką, bo chciał mnie jeszcze uderzyć. Kucnęłam i przeszłam pod jego ręką, a wtedy Kulig uderzył głową o futrynę, bo obsunęła mu się ręka. Zastępca komendanta zaczął się śmiać. Na zewnątrz się zebrali ludzie, bo poszła pogłoska, że aresztowali dzieci, przybiegł wujek Haliny, Kazik Rydzewski, brat pani Majewskiej. Kazał Halinie uciekać do domu. Kulig wyszedł z budynku i zaczął wołać swojego psa Luksa, którym mnie poszczuła. Rydzewski zabrał mnie szybko w ulicę Przechodnią, gdzie ukryliśmy się w drewnianym domu. Pies pobiegł dalej. Później, gdy tylko widziałam Kuliga schodziłam mu z drogi, bo on już mnie miał na oku.

**- Wspominała Pani, że w czasie okupacji spotkała się z partyzantami...**

Chodziłam do Kucińskich na Murowanki do koleżanki, tam gdzie jest proskownia, a tam była partyzantka, a ja o tym nie wiedziałam. Było dwóch braci i siostra: Marian, Paweł i Irka Kucińscy. Oni mnie i Irkę wystali z jakimiś papierami na Szczepkowo. Irka знаła hasło, ja nie. Szłyśmy przez las za cmentarzem do takich zabudowań, wśród których znajdowała się duża stodoła. Jak tam weszłyśmy zobaczyłyśmy same snopki. Irena wypowiedziała hasło. Po jakimś czasie z tych snopków zaczęli wychodzić ludzie - zarośnięci, zapuszczeni, z brodami. Wśród tych osób była Marysia Cieślińska i domyśliłam się, że to partyzantka. Dali Irce jakieś papiery, obwiązali nimi nasze nogi i wypuścili nas w nocy z powrotem do Raciąża. Bardzo bałyśmy się wracać. To była taka łączność między tymi Kucińskimi a ludźmi w Szczepkowie. Za parę dni do Kucińskich przyjechało gestapo, okazało się, że Szcześniak z Kilińskiego ich wydał. W nocy otoczyli dom, z domu wybiegł ojciec w bieliznie, zabili go od razu, a matkę i Irkę wzięli do aresztu. Było podejrzenie, że Marian i Paweł uciekli do starszej siostry, która była mężatką. Niemcy pojechali tam i zabrali tę siostrę. Takie były losy rodziny Kucińskich. Dowiedziałam się wszystkiego od Irki, pani Maliszewska ją zabrała. Ani jej siostra, ani matka po wojnie już nie wróciły. Wiem, że matkę zamordowano w sierpeckim więzieniu. Słyszałam też, że po wojnie Paweł został zamordowany przez UB, bo nie chciał oddać ukrytej broni.

**- Pracowała Pani u Niemców. Jaki to był rodzaj pracy, jak oni odnosili się do Pani?**

Kiedy miałam dziesięć lat, musiałam się zgłosić do Arbaitssamtu, bo w tym wieku młodzież już wywozili na roboty do Niemiec. Mamusia zaczęła płakać, bo wiedziała, że

muszę odejść z domu. Mówiła: "Zygmunta już nie ma, Jaśki już nie ma, Witolda też, a teraz i ciebie zabiorą". Załatwiła mi pracę przez Świtalskich z Nakła, którzy pracowali w biurze, a mieszkali u Kwasiborskich. Prosiła ich, żebym zajęła miejsce kogoś, kto został zwolniony. I tak dostałam się do pracy w Raciążu. To był Zakład Klasyfikacji Gleb, próbki ziemi wywożono stąd do Królewca. Kierowniczką zakładu była Edyta Wolff, ona mnie przyjmowała do pracy. Pracę zakładu prowadził Polak Stanisław Kapuściński z Płocka. On miał pokoik na dole, na dole były też biura, a ona miała u góry pokój, sypialnię i kuchnię. W biurze pracowali Świtalscy. Z pracowników fizycznych byłam ja, Wacek Bońkowski, Włodek Arceusz, Kazik Romanewicz, Kazik Cieśliński. Ci chłopcy pracowali w budynku w podwórku. Przesiewali ziemię w takie małe pudełeczka, pakowali je w skrzynie i wysyłali to do Królewca. Ponieważ tej Niemce było mnie szkoda, kazała chłopcom mi pomagać, więc nosili mi wodę i węgiel. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy musiałam nauczyć się gotować. Pani Edyta wyjęła boczek, fasole i kazała mi ugotować fasolówkę. Wtedy ja zaczęłam płakać, bo nie wiedziałam jak zacząć. Ale jak ugotowałam zupę, to ona powiedziała „Zosia, gut, gut”, tak jej ta fasolówka smakowała. W domu nigdy nie ugotowałam tak jak tam. Sprzątałam wszystkie biura, szorowałam podłogi wcześniej rano rozpalałam w siedmiu piecach. Jeden chłopak musiał ze mną przychodzić, żeby przynieść mi węgiel. Wszystko musiało być zrobione na ósmą, jak przychodzili pracownicy, a ja wtedy szłam na miasto po sprawunki. Kupowałam z niemieckimi kartkami, na nie można było coś dostać. Zaopatrywałam mamusię, bo przy okazji wykupowałam też do domu na kartki polskie. Jaka była dobra dla mnie ta Niemka, płaciła mi trzydzieści marek. Na każde święta dawała mi kolejne trzydzieści marek. Jak jechała do swojego domu do Królewca na święta, zostawiała mi klucze, ja się wszystkim opiekowałam. Przywoziła mi prezenty i mówiła: „Zosia, ja ciebie nigdy nie zapomnę”. Dobry był pan Kapuściński, ale on z Edytą też miał dobrze. Jak była łapanka, to ona nas ostrzegała, nie wypuściła nikogo z budynku. Tam pracowali sami Polacy. Chowała nas w zachowankach między mapami, a Niemcy jeździli samochodem i łapali ludzi, którzy wracali z pracy. Na koniec wojny wyprawiała urodziny, byli u niej sami Polacy, pracownicy biura. Wysłała mnie po torty, na wieczór miała być ta gościna. Kazała mi zaparzyć kawę i wtedy wpadł żołnierz, kazał opuścić budynek, twierdził, że jest zaminowany. W panice i pośpiechu spakowała parę rzeczy i poszliśmy tak razem z Kapuścińskim na stację, ja ich odprowadzałam. Chciała mnie wysłać po rękawiczki, bo wtedy był duży mróz, ale Kapuściński nie pozwolił, powiedział: "Zosia, już się nie wracaj. Jak uciekamy, to uciekamy". Pan zawiadowca Panuszewski powiedział, że to ostatni tranzyt, same platformy. Pożegnaliśmy się, oni wsiedli na platformę i pojechali, a ja się wróciłam do domu. Jak daleko ujechali tego nie wiem.

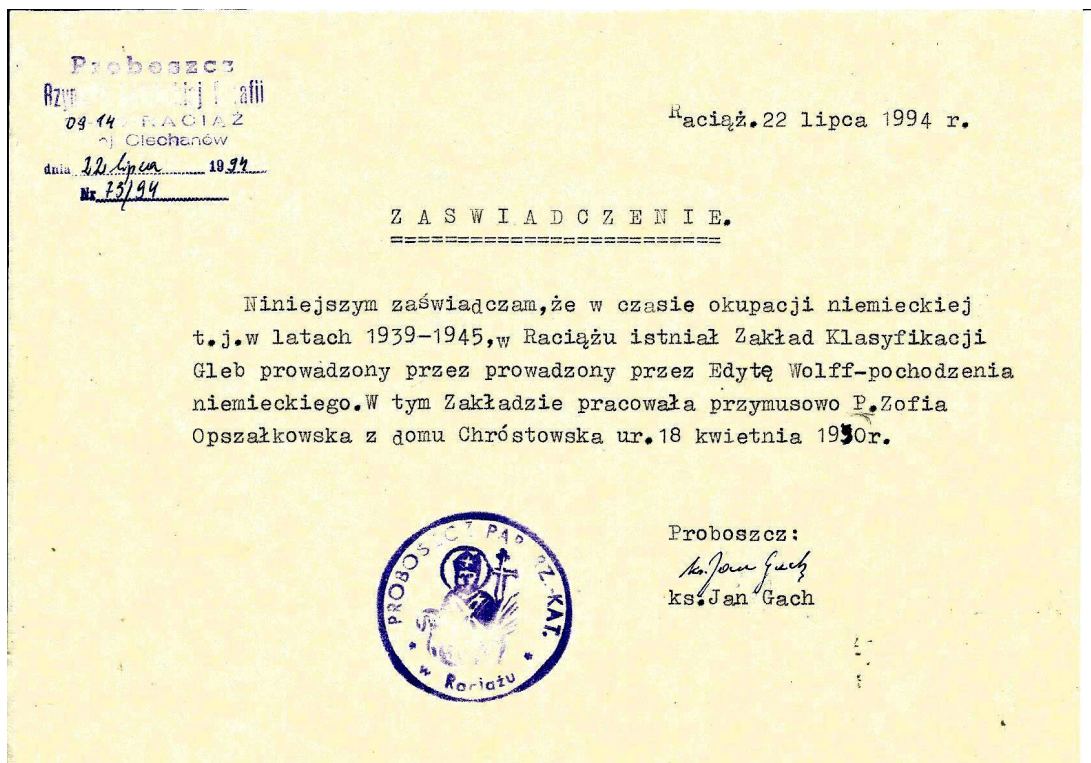


*Współpracownik Edyty Wolff – Stanisław Kapuściński.*

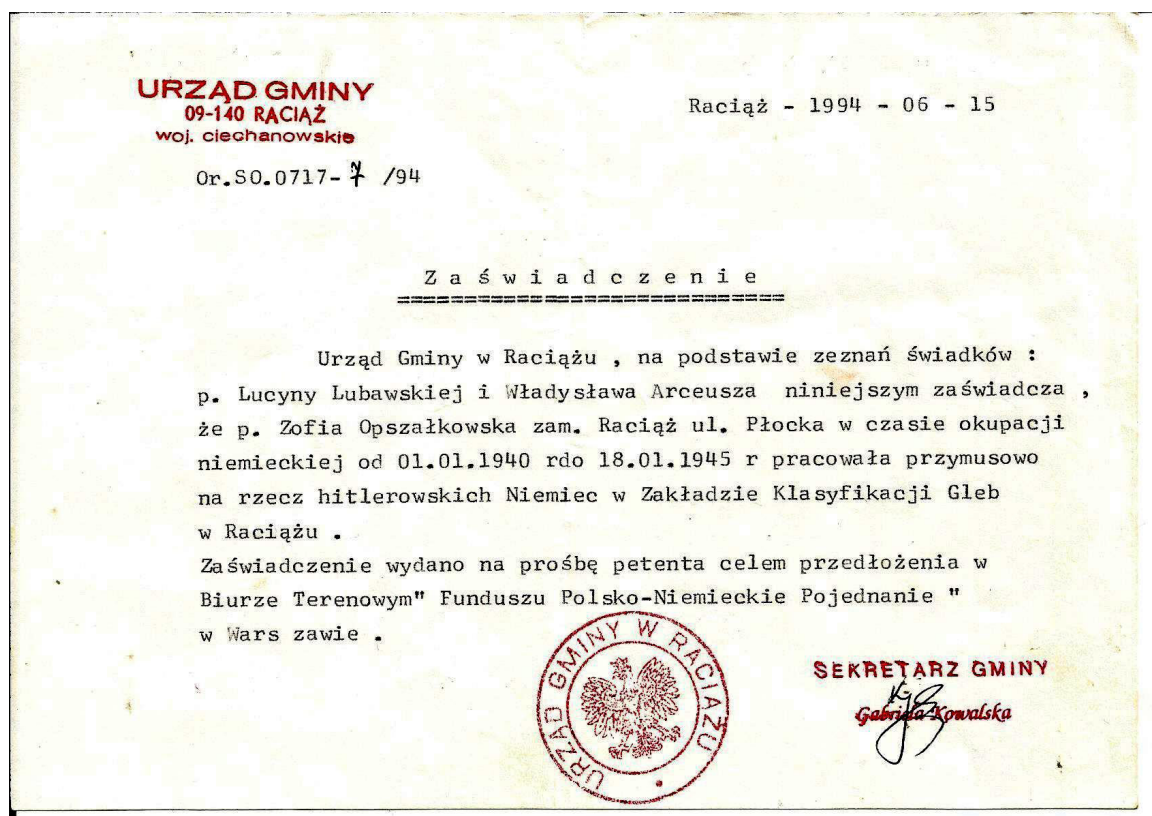


*Dom Klasyfikacji Gleb (obecnie nieistniejący).*





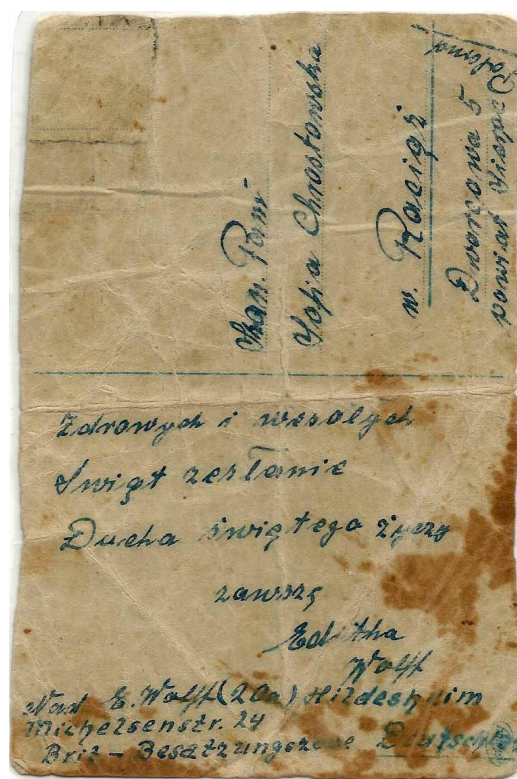
Zaświadczenie o przymusowej pracy Zofii Opszałkowskiej w Domu Klasyfikacji Gleb w Raciażu.



Zaświadczenie o przymusowej pracy Zofii Opszałkowskiej w Domu Klasyfikacji Gleb w Raciażu.

### - Czy po wyzwoleniu widziała się jeszcze Pani z Edytą Wolff?

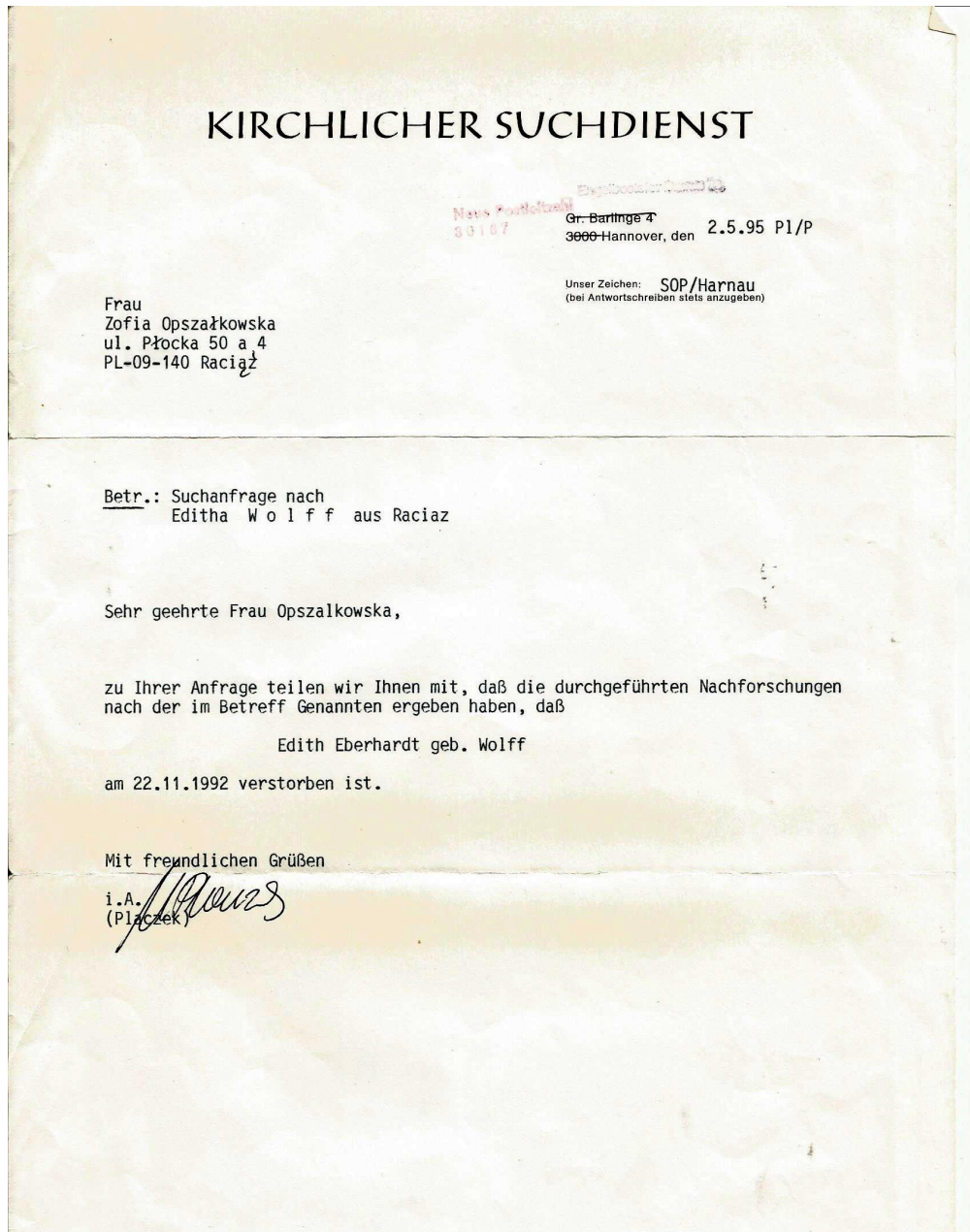
Jak jeszcze mieszkaliśmy na Dworcowej ktoś w nocy zapukał do nas, mamusia się przestraszyła i spytała „Kto to?” To była kobieta i odpowiedziała „Edyta Wolff”. To była Niemka, u której pracowałam. Mamusia otworzyła drzwi, jak ją zobaczyłam, to przypominała jedną ranę. Brudna, niepodobna do człowieka. Mamusia wykąpała ją, posmarowała jakąś maścią. Ona się u nas ukrywała jakiś czas. Wieczorami wychodziła na szosę i chodziła w stronę swojego domu. Sąsiedzi domyślili się, że ktoś się u nas ukrywa i zawiadomili UB, że ja Niemkę ukrywam. Na UB pracował pan Jebas. To był wspaniały człowiek. On przyszedł do nas i powiedział, że jest donos, mamusia zaprzeczyła, że u nas jest ktoś obcy. On powiedział, że nic go to nie obchodzi, ale nas ostrzegł. Wywiozłam Edytę do mojej siostry do Modlina. Tam się jej przydała, bo siostra miała córkę, a oni się wzięli trochę za handel obydwójce z mężem, bo była bieda. Ale tam też ktoś zauważył Edytę i doniósł. Siostra powiedziała jej, że musi uciekać, bo ona słabo mówiła po polsku i siostra bała się, że ją zabiorą a rodzinę aresztują. Edyta uciekła w nocy nie wiadomo kiedy. Nie wiem jak, ale przedostała się do strefy amerykańskiej. Przysłała mi kartkę świąteczną z życzeniami i adresem, ale ja nie nawiązałam kontaktu.



Kartka świąteczna od Edyty Wolff z adresem zwrotnym.

Źle zrobiłam, że zerwałam kontakty z Edytą, ale po wyzwoleniu, każdy kto miał jakieś kontakty z Niemcami bał się i ja też się bałam, a ona była już bezpieczna. Po wojnie UB robiło różne rzeczy z ludźmi. Kiedyś zabrało przedszkolankę, która nazywała się Lidka, to była Niemka, kolonistka, ale to był dobry człowiek. Nieraz do niej chodziłam, wyrozmawialiśmy się, to była taka swoja dziewczyna. Zabrali ją do sprzątanania. Robili straszne rzeczy. I to kto, Polacy, nasi sąsiedzi. Gwałcili ją, a kiedy zaszła w ciążę to

ją wywieźli do lasu żukowskiego, zabili i zakopali razem z takim Waldkiem, też był kolonistą. Waldek nie miał nogi i chodził o kuli. Oni zapomnieli zakopać tę kulę i to ich zdradziło. Miejscowi ludzie ją znaleźli i miejsce, w którym ich zakopano. O tym jednak tylko słyszałam. Jak były wypłacane odszkodowania, szukałam Edyty, pisał mi pan Łopata listy do Czerwonego Krzyża i ją znalazłam, niestety już nie żyła.



*Zaświadczenie Służby Poszukiwania Kościelnego o Edycie Wolff. Służba Poszukiwania Kościelnego pomagała w poszukiwaniach Niemców zaginionych w czasie wojny. Na podstawie dokumentów odtwarzano losy przesiedleńców, określono aktualne adresy osób zaginionych lub ich krewnych i nawiązywano kontakty między zaginionymi i poszukującymi.*



*Edyta Wolff*

*kierownik Zakładu Klasyfikacji Gleb z siedzibą w Królewcu*

### **- Jaka była atmosfera ostatnich dni wojny, jak zachowywali się ludzie?**

W wojnę niczego nie było. Jak Niemcy zaczęli się wycofywać, to ludzie chodzili do ich magazynów i brali co mogli. Kiedyś poszłam w nocy do magazynu wojskowego z odzieżą i butami. Weszłam tam i chciałam wziąć buty dla tatusia. Po omacku szukałam, ale zaczęło się coś ruszać i się przestraszyłam. Okazało się, że to był kolega Wacek Bońkowski. Nabraliśmy butów, kamizelek ocieplanych. Zapakowaliśmy to wszystko na taczkę, ale nie mogliśmy przejść na drugą stronę, bo ulicą w nocy uciekało wojsko niemieckie. Kiedy się udało przejść, Wacek chciał zabrać wszystko do siebie, ale ja mu nie dałam i zaczęliśmy się szarpać. Paru uciekających żołnierzy niemieckich zaświeciło na nas latarkami i zaczęli wołać: "Gut Mädchen, gut, gut". W końcu rozdzieliliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Z tym swoim tobołkiem poszłam do domu. Na ulicy nie było żywego ducha. Weszłam, furtka była zamknięta, bo mamusia uciekła z młodszym rodzeństwem na Łempin. Poszłam na miasto, a tam też ani żywego ducha. Nikogo nie było, myślałam: do kogo ja pójde? Zobaczyłam panią Janczewską i ona wzięła mnie do siebie. Weszłam do niej, ten tobołek trzymam, a tam pełno ludzi. Wszyscy odmawiali różaniec. Ten dom był gdzie posterunek, stał tam drewniany budynek. Wyszłam stamtąd i poszłam na Plac Mickiewicza, w stronę dzisiejszej księgarni. Tam miała sklep z różnymi towarami Niemka Fraitrowa. Kiedy się do niego zbliżyłam usłyszałam polskie głosy i poszłam w tamtym kierunku. Zobaczyłam pełno ludzi, którzy próbowali rozbić drzwi i dostać się do środka, do towaru. Taki Majewski był, on był chyba z wysiedlenia, mówił po niemiecku i rozmawiał z Niemcem, który przechodził z wojskiem. Niemiec spytał się, czy w środku są buty, bo niektórzy żołnierze szli boso. Kiedy usłyszał, że są, bagnetem rozwalił drzwi. Majewski podał mu w worku buty a on wziął tylko te buty i powiedział do nas: „A teraz bierzcie, wszystko jest wasze” i zostawił nam latarkę. Wszyscy się rzucili na bele towaru, było ciemno i ludzie łapali to co mieli pod ręką. Samochodem przyjechała Fraitrowa, jak to zobaczyła to aż krzyknęła: „Ach, main liebe Got”. Widocznie o czymś zapomniała i się po to wróciła, zabrała jakąś rzecz i uciekła. Ja ściągnęłam z siebie palto, pobrałam to co było najbliżej i z tym poszłam do pani Janczewskiej. U niej wysypałam na łóżko to, co udało mi się wziąć. Wróciłam tam jeszcze raz z synem Janczewskiej. Powiedziałam mu: „Józiek, idziemy, tu nie ma nic, tam jest wszystko”. Kiedy byliśmy w sklepie wpadł Niemiec i zaczął strzelać. Ludzie uciekali, a ja się schowałam w skrzynkę, natomiast Józiek uciekł do Bieranowskich, Niemiec strzelał za nim i byłby go zabił, ale mu się nie udało. Ludzie kłócili się o to, co zostało, niektórzy podjeżdżali wozami. Ja wzięłam tyle, ile mieściło mi się w płaszczu, później się wymienialiśmy, ale wszystkich domowników obułam. Była wielka radość. Jak nie było niczego, to mamusia dała do krawca sukno z płaszczy wojskowych i on uszył nam ubrania. Przy szkole były magazyny wojskowe, ludzie podjeżdżali furmankami, a u nas mamusi nie było, dzieciaki same w domu zostały. Poszłam po chleb do magazynów, ludzie na furmanki kładli mąkę, beczki masła i oliwy. Rozłożyłam płaszcz i na ten płaszcz kładłam chleb w kostkach. Przyszedł do mnie tatuś i powiedziałam, żeby wziął mąki. Owszem, wziął tę mąkę, parę kroków uszedł i zostawił ją. Powiedział: „Nie córuchna, nie biorę. Niemcy wrócą i zabiją nas.” Ja mu odpowiedziałam, że jak się wrócą, to czyś brał, czyś nie brał, to jednakowo nam zapłacą. Ten płaszcz z chlebem ciągnęłam od szkoły do placu tu gdzie targowica. Za chleb dostaliśmy wszystko. Piekarnie były zamknięte, ludzie brali to co było drogie, a jeść trzeba było. Mamusia miała nawet żal do tatusia, że dzieciak tyle napytłował a on nic, ale jej odpowiedział, że on się do tego nie nadaje i rzeczywiście się nie nadawał, bojący był strasznie i chorowity. To zostało w nim po areszcie.

**- Czy utkwiło Pani w pamięci jakieś szczególne wspomnienie z dnia wyzwolenia Raciąża spod okupacji niemieckiej?**

Jak mamusia uciekła i nikogo nie było, a ja zostałam sama to poszłam do znajomej tam, gdzie ukrywała się moja siostra. Przyszłam i spotkałam tatusia, pomagał przy świniach. Wyszliśmy na dwór, a tu cisza, Niemców nie było. Most na Mławskiej był już wysadzony. Koło boiska stał duży niemiecki samochód i jeszcze dwa, koło figurki jeden i koło pana Szpojankowskiego drugi. Żołnierz niemiecki z karabinem stał na moście, który był zaminowany. Widocznie czekał na rozkaz wysadzenia mostu. Z tatusiem staliśmy na brzegu rzeki i zobaczyliśmy żołnierza schodzącego po schodkach i zapalającego zapalniczkę. Krzyknęłam, że chcą most wysadzić i chyba to go wystraszyło, bo żołnierz uciekł a most ocalał. Tatuś uderzył mnie w twarz i powiedział, żebym była cicho, bo bał się o mnie. Wtedy usłyszałam z drugiej strony mostu: „Strielajj! Strielaj, Strielaj”. Chmara ludzi w białych kombinezonach wybiegła z obu stron mostu. Wojsko radzieckie szło i krzychało: „Uraaa!!!”. Cieszyliśmy się, że to koniec, biegliśmy za nimi ja i taki Franek Goszczycki. Z samochodów Niemcy strzelali do radzieckich żołnierzy. Tych Rusków zabili siedmiu i ósmą Rosjanę. Ja z wojskiem radzieckim doleciałam do figurki, ale jeden z żołnierzy spytał się mnie: „Gierman?”. Odpowiedziałam, że nie i już nie szłam dalej, bo się bałam. Wróciłam, a tatuś powiedział do mnie: „Dzieciaku, tyś uratowała ten most”. Jak ci Rosjanie wpadli do miasta, jaka to była dzicz. Byli pijani, zabierali dosłownie wszystko. Z naszego mieszkania przy Dworcowej zabrali beczkę z kapustą i zegarek tatusia.

**- Wojna się skończyła, ale czas powojenny był również niespokojnym okresem...**

Po wojnie można było załatwić wytloki z buraków, ludzie z nich robili bimber. Wtedy za bimber można było wszystko dostać. My też z tych wytlóków narobiliśmy bimbru, mamusia to trzymała i ktoś na nią doniósł. Przyszła straż kolejowa i zrobili nam rewizję, ale niczego nie znaleźli. Następnym razem przyszedł pan Jebas, w piwnicy były butelki, przewracał je tak, żeby niczego nie było widać i powiedział, że piwnica jest pusta, a UB wszędzie szukało, nawet w piecu. Przyszedł do nas po bimber też taki, którego nazywali „Cacko”. Pracował w Służbie Ochrony Kolei, był dowódcą i wszyscy się go bali. Mamusia powiedziała, żeby mu oddać bimber, bo nam groził. Jak przyszedł transport kolejowy z wytłoczynami, w nocy jego ludzie odpięli wagon z Żychowa, z którego był „Cacko”, podjechali wozami z workami i prawie cały wagon załadowali na wozy. Ja specjalnie tam poszłam i wykrzychałam mu, że sam kradnie. Jak on mnie zobaczył to pozwolił zabrać część wytłocznin. Załadowaliśmy całą komórkę tego towaru. Mamusia narobiła bimbru tyle, że z Braniewa przyjeżdżała po niego kobieta, która zabierała bimber w kanistry i nim handlowała w swoim sklepie.

**-To był trudny czas...**

Siostra z córką mieszkały tuż po wojnie tymczasowo u nas, było mi jej szkoda. Miała małe dziecko, a nie było niczego. Z Raciąża ludzie jeździli na ziemie ponemieckie i przywozili stamtąd różne rzeczy. Jak się poszło na bazar to za jedzenie Niemcy oddawali wszystko. Zebrało się nas kilka osób, ja najmłodsza, kilka pań i panów i jedziemy w świat do Gdańska. Mamusia mi dała plecak jedzenia na wymianę. Siostra miała tego dzieciaczka, to ja z Gdańska wózek jej przywiozłam. Pomiędzy wagonami na rurach buforowych go ustawiłam i tak dojechałam do Raciąża. Pociąg nie zatrzymał się, je-

chał wtedy Tadek Dworakowski i taki Józiek Zdunowski, i oni wyskoczyli i wyrzucili wózek, a na końcu ja wyskoczyłam, mało brakowało a rozbiła bym się o betonowy słup. Różnie było, czasem bywałam okradana. Kiedyś, w Stargardzie Szczecińskim wyskakiwaliśmy z pociągu, mieliśmy tam kwaterę. Wyrzucałam paczki z pociągu i za nim wyskoczyłam paczek już nie było. We wszystko rodzinę zaopatrzyłam. Jeździło się wszędzie, dokąd pociąg dojechał. Było ciężko, ale ludzie musieli jakoś sobie radzić, bo życie toczyło się dalej.

**- Dziękuję za rozmowę.**

Zarząd Miejski w Raciszu  
 Stwierdza tożsamość niżej wymienionej osoby:  
 Nazwisko Chrostowska  
 Nazwisko panieńskie  
 u mężatek  
 Imiona Zofia  
 Data urodzenia 18 IV 1930 r.  
 Miejsce urodzenia Krasno Derski  
 Zawód pry. nauczyciel  
 Zameldowany dnia 1936 r.  
 w Raciszu  
 ulica Dworcowa Nr domu 5

**RYSOPIS**  
 Wzrost średni  
 Oczy niebieskie  
 Włosy brązowe  
 Znaki szczególne żadne

Chrostowska  
 (własnoręczny podpis)

Data wystawienia zaświadczenia:  
1 listop. 1948

(pieczęć)  
 Komisarz m. Racisz  
 (podpis urzędnika)



Województwo Warszawskie  
 Powiat Sierpecki  
 Miasto Racisz

**Tymczasowe  
 Zaświadczenie Tożsamości**  
 Nr. wykazu miasta D-8-Ch/48

Wydane na podstawie okólnika Nr. 42 Ministerstwa Administracji Publicznej z dnia 22. IX. 1945 r. L. Dz. IV. 1294/15.

Powojenne tymczasowe zaświadczenie tożsamości.



## Stefan Wawrowski



**Stefan Wawrowski** (1929-2016) naukę w szkole podstawowej przerwała mu wojna, dlatego ukończył ją dopiero w 1969 roku dla pracujących. W czasie wojny jego ojca wywieziono do Rosji na przymusowe roboty i on już jako mały chłopiec musiał nauczyć się wielu zawodów, żeby pomagać mamie w utrzymaniu licznego rodzeństwa. Podczas wojny został dotkliwie pobity przez Niemców, co pozostawiło ślad na jego życiu. Razem z żoną wychował trójkę dzieci. Do końca życia mieszkał i pracował w Raciążu.



*Stefan Wawrowski*

Niedawno minęła 67 rocznica wybuchu II wojny światowej a już w styczniu będziemy obchodzić 61 rocznicę wyzwolenia Raciąża spod okupacji niemieckiej. Te sześćdziesiąt kilka lat to w skali tysiącletniej historii miasta niewiele, jednak na tyle dużo, że niewiele już osób te czasy pamięta. Nie znalazłem zapisanych relacji świadków z tamtych wydarzeń. Wydarzeń tak wydawałoby się odległych a jednocześnie na tyle bliskich, że żyją jeszcze ich świadkowie. Niestety kolejne lata uciekają, osób które pamiętają jest wśród nas coraz mniej. Postanowiłem zapisać relacje z tamtych lat, zachować je jako świadectwa mijającej historii. Poprosiłem o wspomnienia mojego sąsiada – pana Stefana Wawrowskiego, który całe życie spędził w Raciążu. Również te trudne czasy – lata II wojny światowej.

**Mariusz Godlewski: Bardzo dziękuję że zgodził się pan ze mną porozmawiać o tych trudnych czasach. Jak dla mieszkańców Raciąża zaczęła się wojna? Co pan pamięta z tamtego dnia?**

Stefan Wawrowski: W 1939 roku miałem 10 lat. Pamiętam, że 1 września 1939 roku to był piątek. Na targowicy – która wówczas była w centrum miasta, w miejscu gdzie obecnie jest mały park – zbierali się ludzie. Przyjechały furmanki, handlarze rozstawiali

swoje towary. Moja przyszła żona odprowadzała stryja na pociąg. Stryj tak jak wielu innych został zmobilizowany i wyjeżdżał do jednostki. Później miało się okazać, że nigdy już nie wróci do domu. W pewnym momencie od zachodniej strony miasta nadleciały samoloty. Był duży huk. Zaczęły spadać bomby. Na szczęście nie na centrum miasta, gdzie było pełno ludzi. Wybuchwały na obrzeżach, około sześciu koło kościoła, kilka przy stacji kolejowej. Zaczęła się panika, ludzie gdzie tylko mogli uciekali z targu. Niedługo po samolotach zjawili się w mieście niemieccy żołnierze. Trzeba pamiętać, że w tamtym czasie granica z III Rzeszą przebiegała niedaleko Mławy, więc już przed południem Niemców było pełno w mieście. Przybyli samochodami, motocyklami, nawet rowerami. Przybyli, no i zostali na długie lata. Nikt się nie spodziewał wtedy, że to aż na tak długo.

**MG: Pojawili się w mieście i co dalej? Jak się zachowywali?**

SW: Rozlokowali się w kilku miejscach w mieście. Z wszystkich murowanych budynków wypędzono mieszkańców. Wprowadzili się tam Niemcy. Nie bardzo interesowali się, gdzie będą mieszkać poprzedni lokatorzy. Na ulicy Warszawskiej – u państwa Kornalewskich – rozlokowała się żandarmeria wojskowa. Żandarmeria cywilna była w piętrówce u pana Bronisława Siennickiego przy ulicy Warszawskiej. Na plebanii zamieszkał niemiecki komisarz miasta, księża zostali stamtąd wyrzuceni. W remizie strażackiej – w tym samym miejscu co dziś – założono areszt.

**MG: Pamiętam jak moja babcia Janina Godlewska opowiadała, że jako młoda dziewczyna podawała więźniom jedzenie przez kraty. Mieszkała niedaleko przy ulicy Kinickiej (Kilińskiego).**

SW: Rzeczywiście, były tam takie małe zakratowane okienka. Wokół Raciąża mieszkało sporo Niemców – kolonistów, np. w Łaszewie, Siemiątkowie. Oni przywitali faszystów jak swoich. Zaczęli przeprowadzać się do miasta, zajmować stanowiska, przejmować firmy. Sporo Niemców przyjechało też z Rzeszy. W obecnej rzeźni uruchomiono przetwórstwo mięsa dla żołnierzy niemieckich. Cała produkcja szła na front dla wojska. Niemcy rabowali bydło z całej okolicy i zmuszali ludzi do kontyngentów. Jako młodego chłopaka zatrudniano mnie do pasienia tego bydła na łąkach wokół rzeki a czasem dalej aż na Żychowie Górkach. Dla wojska pracowała też wielka piekarnia polowa, którą założono w miejscu gdzie teraz jest szkoła podstawowa. Stały tam wielkie wojskowe piece na kołach. Drugą piekarnię Niemcy założyli w synagodze przy ulicy Kilińskiego, a przy ulicy Kościuszki, u pana Karwowskiego, była niemiecka kuchnia wojskowa.

Na rynku, w budynku po starym ratuszu ( gdzie w latach 50-tych ubiegłego wieku była szkoła a potem długo sklep meblowy) założono jajczarnię, pracowało w niej wielu Polaków. Niemiec - nazywał się chyba Miller - właściciel jajczarni, mieszkał w budynku reagenta naprzeciwko stacji kolejowej.

**MG: O jajczarni opowiadała moja babcia, która jako kilkunastoletnia dziewczyna w niej pracowała. Kiedyś w czasie pracy rozmawiały i śmiały się z koleżankami. Zobaczył to właściciel i poszczuł je psem. Została mocno pogryziona w udo. Ślady pozostały na zawsze...**

SW: Wtedy było tak, że potrafili strzelać do kogoś lub go pobić za to, że nie ukłonił się Niemcowi. Mnie również właściciel jajczarni poszczuł psem, bo nie powiedziałem mu

dzień dobry. Na szczęście udało mi się uciec. Ten Miller poruszał się zawsze po mieście z psem-wilczurem. Pies chodził luzem. Jak ktoś mu się nie spodobał to szczuł nim ludzi. Nie jedną osobę w Raciążu pogryzł.

Niemcy rozlokowywali się nie tylko w samym mieście ale i w okolicach. Na Cieciersku był duży majątek państwa Lutomińskich. Wyszli właściciele a na ich miejsce przybył z Rzeszy Niemiec o nazwisku Lidkie. W tym gospodarstwie pracowało wielu ludzi z Raciąża, zmuszano ich do tego. Ja też tam jakiś czas pracowałem.

### **MG: A co się działo z ludnością żydowską?**

SW: Zaczęły się prześladowania Żydów. Wypędzano ich z domów, zamykano w getcie. Już w listopadzie hitlerowcy zgromadzili wszystkich Żydów w synagodze, żeby ich wywieźć z miasta. Niemieccy żandarmi przy ulicy Kilińskiego pochwycili przechodniów – Polaków i zmusili ich do rewidowania Żydów. Zastraszali bronią, kobiety rewidowały kobiety, mężczyźni mężczyzn. Wszystkie kosztowności i biżuterię musieli układać na stołach. Potem przepędzono Żydów do kuźni, która stała za torami kolejowymi, na przeciwko dawnej bazy GS – był to obóz przejściowy dla Żydów i stamtąd wywieziono ich koleją.

Trzeba sobie zdać sprawę, na jaką skalę była to wywózka. Raciąż stracił połowę mieszkańców. Przecież przed wojną w mieście było może z dziesięć sklepów polskich. Sklepy spożywcze mieli państwo Auguściakowie oraz Siennicy. Na Mławskiej był rzeźnik Nidzgorzki. Rzeźnikami byli też Bieranowski i Jędrzejewski. Grzybowscy mieli piekarnię i sklep na Błoniach, były jeszcze dwie inne piekarnie polskie – u Jabłońskich na Kinickiej oraz u Majewskich. Na Mławskiej był też sklep monopolowy i restauracja pana Miklewskiego. I to wszystko. Cały pozostały handel był w rękach Żydów. W centrum miasta - wokół rynku w większości były sklepy żydowskie – tam gdzie obecnie stoją bloki, gdzie jest urząd miasta. Żydzi mieli także swoją szkołę przy Warszawskiej, część chodziła też do polskiej szkoły. Cała ta społeczność zniknęła. W sumie pewnie około dwóch tysięcy ludzi zniknęło z dnia na dzień z miasta. Niemcy nie zaprzestali na żyjących, nie dano spokoju także zmarłym. Nieopodal lasu był cmentarz żydowski – kirkut. Hitlerowcy zniszczyli go także, rozwalili groby i wywieźli większość płyt nagrobnych.

### **MG: A jaki był stosunek Niemców do mieszkańców, którzy pozostali w mieście?**

SW: Polakom też utrudniano życie. W kościele urządzono magazyn paszowy. Składowano w nim w prasowanych kostkach paszę dla koni. Msze święte mogły odbywać się tylko w niedzielę w zakrystii, tam był tymczasowy ołtarz. Jednak niewiele osób chodziło, bo jak Niemcy zobaczyli, że ktoś wraca z kościoła, to zaczepiali i zabierali do sprzątnięcia latryn na ich kwaterach albo wymuszali inne uciążliwe i nieprzyjemne prace. Potrafili też pobić.

Polacy musieli się rejestrować w czymś w rodzaju niemieckiego biura pracy. Każdy tam był zapisany. Niemcy dokładnie wiedzieli co kto robi. Prace wyznaczali różne, czasem bardzo ciężkie, np. budowa dróg. Wokół Raciąża były kiepskie drogi. Niemcy je poprawiali, żeby były użyteczne dla wojska. Zatrudniali Polaków do robienia tłuczni na drogi. Tłukli oni kamienie na mniejsze, żeby je układać na drodze. Pracowało przy tym mnóstwo ludzi. Niemcy zwykle wypłacali im pensje z samochodów. Kiedyś powiedzieli, że pensja będzie rozdawana na łące, tam gdzie jest dziś stadion. Wszyscy

zgłosili się tam o wyznaczonej godzinie po pieniądze, często z żonami. Był też tam mój ojciec. W sumie około 70 osób. Kiedy wypłacano pieniądze, przyjechały trzy ciężarówki a teren otoczyli żołnierze niemieccy. Wszystkich mężczyzn przy lamencie i krzykach kobiet załadowano na ciężarówki i wywieziono. Tak jak stali. Okazało się później, że wywieziono ich na wschód, blisko frontu. Tam zmuszano do pracy przy budowie dróg. To była ciężka i wyczerpująca praca – wieczny głód. Władysław Czapliński potem opowiadał, że myślał wtedy, że chciałby się choć raz jeszcze w życiu najeść i umrzeć. Jedli tam obierki od ziemniaków. Jeden z pracujących Raciążków specjalnie położył się pod pociąg, żeby zostać rannym i wrócić do domu. Stracił obie nogi... Mój ojciec był tam sanitariuszem, nie pracował przy budowie dróg tylko przy niemieckim lekarzu. Dzięki mojemu ojcu, który dobrze poznał się z niemieckim lekarzem o nazwisku Flige, wielu mieszkańców wróciło do Raciąża z zaświadczeniem o chorobie i niezdolności do pracy, które wystawił ten lekarz na prośbę ojca..

Wracając do początku wojny, w mieście zamknięto szkołę, w której kierownikiem przed wojną był pan Gawliński. Jednak ludzie uczyli się po domach w małych grupkach. Ja kilka razy chodziłem na Folwark, tam nas uczyła kuzynka jednego z mieszkańców – pana Góreckiego. Było to niebezpieczne, ojciec bał się o mnie i później nie pozwalał mi się tam uczyć.

**MG: Co jeszcze zapamiętał Pan z okresu okupacji? Czy dało się odczuć większą solidarność mieszkańców?**

SW: Pod koniec wojny, przez miasto Niemcy przepędzali dużą ilość ludzi z zewnątrz. Prowadzili ich w wielkim zamieszaniu, kobiety, mężczyzn, dzieci. Nie wiem dokładnie skąd byli ci ludzie. Kiedyś podczas przemarszu takiej grupy obok znalazł się twój dziadek – Roman Godlewski. Mieszkał na rynku, więc ciągle obserwował takie grupy. Zwrócił on uwagę na rodzinę z dzieckiem, małą 5-6 letnią dziewczynką. Jak potem opowiadał, patrzył ciągle na tę rodzinę i na dziewczynkę, szkoda mu było dziecka. Zauważyła to matka, w zamieszaniu pchnęła dziecko w stronę Twojego dziadka. On chwycił ją za rękę i szybko odeszli. Wychowywał ją przez całą wojnę. Nikt go nie wydał Niemcom. Kilka lat po wojnie zjawił się ktoś u dziadka, prawdopodobnie z rodziny i dziewczynkę zabrał.

**MG: Była więc solidarność między ludźmi, skoro udało się uratować tę dziewczynkę – nikt nie wydał dziadka.**

SW: Była i nie była. Trafili się tacy, którzy współpracowali z Niemcami i nie jednemu dali w kość, a kilka osób przez nich zginęło. W Raciążu było ich dwóch: Szcześniak i Rutynowski. Był jeszcze Wróblewski, który jeździł końmi dla żandarmów. Nie można było mu ufać, ale nie dał się we znaki ludziom tak, jak tych dwóch.. Tamci bawili się z Niemcami, wydawali ludzi i znęcali się nad Polakami. Do tej pory mam po nich ślady na plecach. Kiedyś zmusili mnie i wielu innych chłopaków do udziału w polowaniu. Mieliśmy robić nagonkę. No i zamiast iść co kilka metrów, szliśmy w grupie rozmawiając. Szcześniak to zobaczył. Część uciekła, mnie złapali. Długo mnie bili z Rutynowskim po plecach i po całym ciele. Strasznie mnie zmalretowali. Do tej pory mam ślady po tym biciu. Byłem w fatalnym stanie. Dzięki pomocy niemieckiego lekarza Truderunga trafiłem do szpitala. Tak samo pobili wtedy Stanisława Rokickiego. Mieliśmy po 12 lat.

Innym Szcześniak też się przysłużył. Miał on gospodarstwo rolne, w nim między innymi

łąki. Zmuszał do pracy w gospodarstwie Polaków. Pewnego dnia Szcześniakowi miał ciąć łąkę Ignacy Kowalewski. Z jakiegoś powodu nie poszedł. Szcześniak z zemsty wydał go Niemcom, trafił do obozu. Nigdy już nie wrócił.

**MG: O tym Szcześniaku opowiadano u mnie w domu. Mój pradziadek Jan Godlewski, ojciec mojej babci Janiny, był wykształconym człowiekiem. Przed wojną był w Radzie Miejskiej Raciąża. Znał niemiecki i często służył za tłumacza niemieckim żołnierzom i żandarmom. Kiedyś z jakiegoś powodu Szcześniak kazał Niemcom zastrzelić mojego pradziadka, ci nie zrobili tego tylko dlatego, że znali go jako tłumacza.**

SW: Po wojnie był proces obydwu zdrajców. Przyjechali sędziowie z Warszawy a sąd odbył się w synagodze przy Kilińskiego. Zeznawało wielu pokrzywdzonych przez nich Raciążków – obydwu skazano na długoletnie więzienie. Dostali chyba po 9 lat.

**MG: Czy w Raciążu ginęli ludzie z rąk Niemców?**

SW: Ginęli. Nie ciągle, ale były takie wypadki. Drastycznym przykładem może być śmierć 40 letniego Stanisława Krajewskiego. Wybrał się on kiedyś za plebanię na ogród kopać chrzan. Zobaczyła go żona niemieckiego komisarza miasta, który tam wtedy mieszkał. Próbowała go wygonić z ogrodu, ale on nie wyszedł. Wezwała żandarmów. Ci przyjechali i chcieli aresztować Polaka. To był bardzo silny mężczyzna, nie dawał się żandarmom. Chyba uderzył kilku z nich. Zawieźli go do więzienia w remizie i tam zastrzelili.

**MG: Straszna kara za tak drobną rzecz. Wokół miasta jest tyle lasów. Czy działała w nich partyzantka?**

SW: Działała. Pomagali im też mieszkańcy Raciąża. I drogo za to płacili. Między lasem a miastem mieszkała rodzina Kucińskich. Mieli gospodarstwo rolne. Była tam stodoła, a pod nią bunkier z tunelami. Tunele były wyprowadzone w pola w stronę lasu. W bunkrze ukrywali się partyzanci. W partyzantce byli obydwaj synowie Kucińskich Marian i Paweł. Udawało im się przez całą prawie wojnę. Jednak w 1944 roku Niemcy zrobili obławę. Była strzelanina, partyzanci tunelami zdołali uciec. W trakcie obławy zginął jeden z braci, drugi uciekł. Małżeństwo Kucińskich wraz z córką Ireną zostali aresztowani, trafili do obozu. Tylko córka wróciła. Najstarszy – dziadek Kuciński zginął zastrzelony na miejscu.

**MG: Czy Pan w czasie wojny stracił kogoś z rodziny?**

SW: Moja żona straciła brata. Ojciec mojej żony - Kęsicki - był kominiarzem, pracował w Raciążu. Niemcy nakazali mu przeprowadzkę wraz z całą rodziną do Bieżunia, bo tam nie było kominiarza. Nie było wyjścia, cała rodzina musiała się przeprowadzić i zamieszkać w Bieżuniu. Stało się tak pewnego dnia, że na szosie gdzieś koło Bieżunia partyzanci zabili Niemca. Okupanci z zemsty zaczęli przeprowadzać egzekucje na przypadkowych Polakach. Strzelali do każdego kogo spotkali. Brat żony Zbigniew Kęsicki przejeżdżał tamtędy na rowerze – jechał do pracy. Zastrzelili go na drodze między Sierpcem a Bieżuniem. Uciekał w łąki – tam go znaleźli.

**MG: Słyszałem o tym wydarzeniu w domu od babci Janiny.**

SW: No tak. Zbyszek był jej narzeczonym. Czekala na niego w Raciążu, miał tego dnia przyjechać do niej. Nie przyjechał ...

**MG: Żona resztę okupacji spędziła w Bieżuniu?**

SW: Tak. Żona pracowała tam u kolonistów niemieckich, kierowników poczty w Bieżuniu, Jana i Leokadii Szpeflich. To byli przyzwoici ludzie. Dobrze żyli z Polakami, przekazywali informacje z poczty do partyzantów. Łączniczką z partyzantami była moja żona. Nosila informacje do lasu. Nie było to zbyt bezpieczne zajęcie ogólnie mówiąc. Na szczęście nie wpadła. Udawało się aż do zakończenia wojny. Zresztą państwo Szpeflich pozostali w Polsce po wojnie. Długo mieszkali w Bieżuniu, potem przenieśli się do Wąbrzeźna. Z czasów wojny pozostała na cmentarzu w Bieżuniu zbiorowa mogiła żołnierzy AK, spoczął w niej również brat mojej żony. Jest tam też zbiorowy grób partyzantów.

**MG: Wróćmy do Raciąża. Był pan wtedy młodym chłopakiem. Zmuszany był pan do różnych prac. Jednak młodość ma swoje prawa, nie szukaliście jakichś rozrywek, co robiliście poza pracą?**

SW: Na przykład trochę dorabialiśmy. Zbieraliśmy niedopałki papierosów, wybieraliśmy tytoń i jak zebrała się większa ilość to sprzedawaliśmy. Czasem sięgaliśmy po rozrywki, które mogły nas i nasze rodziny kosztować życie. Cóż, człowiek był młody i nie myślał. W okolicach miasta, między innymi w lesie sierakowskim, także na Błoniach, na łąkach u jednego gospodarza, Niemcy urządzili magazyny amunicji. Nie były to jakieś klasyczne magazyny, po prostu w skrzyniach przechowywano amunicję, leżały stosy pocisków. Nikt jej nie pilnował, bo ludzie bali się tam zbliżyć. No i my mieliśmy z tej amunicji rozrywkę zabieraliśmy po kilka pocisków i chodziliśmy na most kolejowy je wysadzać. Podkładaliśmy je na tory jak jechał pociąg. Dla zabawy. Robiliśmy to wiele razy. Kiedyś przesadziliśmy. Załadowaliśmy z kolegami tej amunicji na taczkę więcej. Poszliśmy na most kolejowy, niedaleko wykopaliśmy dół, włożyliśmy słomę, pociski, słomę itd. Podpaliliśmy. Jak zaczęły wybuchać, to ludzie w Raciążu myśleli, że to jakaś bitwa. Na miejsce wybuchów przyjechali Niemcy. Zdażyliśmy już jednak uciec. Ktoś mnie wydał, że tam byłem. Bałem się wrócić do domu. Niemcy byli tam przede mną. Pobili strasznie mojego ojca, żeby powiedział gdzie jestem. Mówił, że jestem w Łempinie w pracy u jednego gospodarza. Ten gospodarz na szczęście to potwierdził. Skończyło się na pobiciu ojca. Mnie nic nie zrobili.

**MG: Czy później – w trakcie okupacji nie było już nalotów?**

SW: Pamiętam jedną taką jedną sytuację, kiedy na miasto spadła bomba. W czasie wojny obowiązywało zaciemnienie. Nawet jeden promień światła nie mógł wydostać się na zewnątrz. Jeśli Niemcy zobaczyli, że światło przebija przez okno, wpadali do domu i potrafili pobić wszystkich domowników. Często nie kończyło się na biciu. Pamiętam przy ulicy Zawoda stała kuźnia. Pewnego wieczoru 1942 roku było tam kilka osób: kowal, jego córka, również mój ojciec i jeszcze kilku mężczyzn. Jak to chłopcy popili trochę, no i zapomnieli o zaciemnieniu. Akurat nad miastem przelatował kukuruźnik, zobaczył światło i zrzucił bombę. Trafiła w kuźnię. Żona Kowala zginęła na miejscu. Ojciec na szczęście przeżył. Takie to były czasy.

**MG: Kiedy zbliżał się styczeń 1945 roku – czas wyzwolenia Raciąża, czuć to było w zachowaniu Niemców w mieście? Bali się? Byli lepsi dla Polaków?**

SW: Najbardziej zbliżające się wyzwolenie było słychać. Co wieczór, przez pół roku przed wkroczeniem Rosjan, dobiegał z daleka pomruk dział i wystrzałów - chyba gdzieś z rejonu Modlina. A Niemcy – cóż, do końca pozostali takimi jak podczas całej okupacji. Tuż przed samym wyzwoleniem omal nie doszło do tragedii masowego wymordowania ludności Raciąża. Pracowaliśmy wtedy z kilkoma Polakami w remizie strażackiej, gdzie obok aresztu zrobili warsztat naprawy silników samochodowych. Pamiętam dzień 18 stycznia 1945 roku. Tego dnia często dzwoniły telefony. Kazik Dąbrowski, z którym pracowaliśmy, rozumiał o czym Niemcy mówią. Padł rozkaz, żeby wszystkich ludzi przepędzić do budynków po jednej stronie ulicy Kinickiej (dziś Kilińskiego) i obrzucić granatami. Widzieliśmy to z warsztatu. Zaczęli ustawiać ludzi na jednej stronie. Wtedy nadleciały samoloty radzieckie. Niemcy zaczęli krzyczeć „Iwan! Iwan!”. Znowu zadzwonił telefon – słuchaliśmy jak rozmawiają – ktoś przekazał, że Rosjanie są już w Strzegowie. Niemcy zaczęli uciekać w popłochu, zostawiając ludzi w spokoju. Wieczór 18 stycznia to był pierwszy dzień od wielu lat kiedy w mieście nie było Niemców. Prawie nie było, wiem o jednym który został, o nazwisku Rosół. To był dobry człowiek, żył w przyjaźni z Polakami. Już rankiem 19 stycznia zjawiała się w Raciążu Armia Radziecka.

**MG: Bez walki?**

SW: Był jeden taki epizod. W mieście doszło do wysadzenia mostu na Raciążnicy. Zrobił to dobrowolec, Ukrainiec w służbie niemieckiej. Kiedy Rosjanie wkraczali, on krzyczał do nich po rosyjsku: Ja wasz brat, nie strzelajcie. Jednak zastrzelili go na rogu Mławskiej i Rynku. I tak pozostawili. Nie dali go pochować. Czołgi po nim przejeżdżały. Pamiętam, że jak Rosjanie wkraczali do Raciąża, to ciągle pytali: Skolko do Berlina? W mieście pojawiło się też NKWD oraz radziecka komenda miasta.

Niemcy bronili się w rejonie Kraszewa, tam zginęło 21 radzieckich żołnierzy. Ich ciała przywieziono do Raciąża i pochowano na terenie targowiska miejskiego – dziś Małego Parku. Groby otoczono płotem. Powstał mały - dwadzieścia na dwadzieścia metrów cmentarz żołnierzy radzieckich. Jednak obok na placu odbywały się po wojnie tak jak przed wojną targi. Nie było to odpowiednie miejsce na cmentarz. Chyba w latach 50-tych przyjechali Rosjanie i zabrali szczątki żołnierzy do Związku Radzieckiego.

**MG: Z wojennej pożogi miasto wyszło bez połowy mieszkańców. Czy nikt z przedwojennych mieszkańców narodowości żydowskiej nie zdołał wrócić po wojnie do miasta?**

SW: Kilka, chyba około 10 osób wróciło. Wrócili młodzi ludzie, którym udało się przetrwać obozy i uniknąć szalejącej wokół śmierci. Mogli mieć po 18 - 20 lat. Mężczyźni i kobiety. Niektóre kobiety były w ciąży. Zamieszkali przy ulicy Zielonej w swoim przedwojennym domu. To byli nasi sąsiedzi, mieszkaliśmy niedaleko, znaliśmy się sprzed wojny. Była to rodzina handlarza koni o nazwisku Cender. I wtedy stało się coś strasznego. W nocy banda napadła na ten dom. Zaczęli po kolei mordować tych ludzi. Jedna z dziewczyn wyskoczyła z pierwszego piętra na pole i uciekła do naszego domu. Mocno się poturbowała skacząc, ale uratowała życie. Mordercy nie odważyli się przyjść do naszego domu. Mój ojciec był takim trochę felczerem, długo opiekował się tą dziewczyną, aż wyzdrowiała. Potem wyjechała z Raciąża. Nigdy chyba nie wróciła.



Pamiętam jak ciała zabitych ułożono w starej synagodze. Straszny widok, do tej pory go pamiętam. Nikt nigdy za ten mord nie odpowiedział.

**MG: Trudno cokolwiek na to powiedzieć. Przeżyli wojnę, wrócili szczęśliwie do domu i tutaj spotkała ich śmierć. Trudno to zrozumieć.**

SW: To były ciężkie czasy. Nie wszyscy partyzanci złożyli broń. Walczyli z nową władzą. Broń mieli też zwykli bandyci i złodzieje, rabowali sklepy i ludzi. Funkcjonariusze UB też potrafili dać się ludziom we znaki. Pamiętam z tamtych czasów dwóch braci Ciarkowskich – Stanisława i Zygmunta. Całą wojnę byli w AK, po wojnie nie złożyli broni, walczyli przeciwko PRL. Zygmunta rozstrzelali, prawdopodobnie w Płońsku. Drugi brat był ranny pod Ciecierskiem. Leżał w szpitalu w Sierpcu, przykuty kajdankami do ściany. AK go stamtąd wykradło. W końcu go aresztowali, dostał dożywocie.

**MG: Nie dla wszystkich przyszło wyzwolenie ... Bardzo dziękuję za rozmowę. Mam nadzieję na kolejną, o latach powojennych. Internauci na pewno dowiedzieli się od Pana wielu zupełnie nowych rzeczy o historii naszego miasta. Opowieść ta jest tym bardziej ważna, bo pochodzi od uczestnika tych zdarzeń, jest świadectwem o tamtych czasach. Jeszcze raz bardzo dziękuję.**



*Żona Jadwiga Wawrowska*



*Jadwiga i Stefan Wawrowscy z dziećmi*



*Tablica nagrobna*

Wywiad został przeprowadzony przez Mariusze Godlewskiego. Dziękujemy portalowi [www.raciaz.eu](http://www.raciaz.eu) za udostępnienie tekstu.

*Publikacja opracowana jako nieodpłatny wkład członków zespołu redakcyjnego oraz osób współpracujących w ramach realizacji niniejszego projektu.*

*Osoby przeprowadzające wywiady oraz autorzy publikacji nie ponoszą odpowiedzialności za treść informacji udzielonych przez rozmówców.*

## Źródła wykorzystane w publikacji

Arceusz M., Stanisław Arceusz. *"Krótka biografia napisana dla potomnych przez syna Mieczysława"*, Wydanie II: wrzesień 2013 r.

Fabrykiewicz (Pawelecka) A., *"Wspomnienia z czasów okupacji, wspomnień wysłuchała Danuta Kantorowska"*, Płock 2019.

Godlewski M., wywiad z Barbarą Brzosko „*W remizie był Wehrmacht i więzienie*” [w:] Puls Raciąża, 2015, nr 3(46).

Godlewski M., Wywiad ze Stefanem Wawrowskim „*W rocznicę wybuchu II wojny światowej*”, [www.raciaz.eu](http://www.raciaz.eu)

Górska M., Wywiad z Haliną Arceusz „*Opowieść o Wielkanocy i życiu młodych ludzi w czasie okupacji*” [w:] Puls Raciąża, 2016, nr 4(51).

Kowalska K., *"Ze wspomnień Krystyny Kowalskiej, opracowanie Marianna Górska"*, Raciąż 2016.

Leszczyńska B., Wywiad z Zofią Oprzałkowską „*Lata wojenne i powojenne*”, Raciąż 2019.

Olizar I., *"Wspomnienia, tekst relacji nagranej przez M. Giżejowską"* [maszynopis], Raciąż 1989.

Pniewska T., *"Przeżycia wojenne Teresy Pniewskiej"* [rękopis], Raciąż 2018.

Talaśka A.B. *"Wspomnienia o wojnie Anny Barbary Talaśki"*.

Wychódzki H. *"Ze wspomnień Henryka Wychódzkiego"* [rękopis], Raciąż 2012.

# SPIS TREŚCI

Słowo Prezesa Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Raciążu.....	6
Słowo Burmistrza Raciąża .....	7
Słowo Dyrektora MCKSiR w Raciążu.....	8
Przedmowa .....	9
<b>Część pierwsza – wspomnienia:</b>	
Mieczysław Arceusz "Stanisław Arceusz. Krótka biografia napisana dla potomnych przez syna Mieczysława".....	12
Anna Fabrykiewicz (Pawelecka) „Wspomnienia z czasów okupacji” .....	48
Krystyna Kowalska „Ze wspomnień Krystyny Kowalskiej” .....	52
Irena Olizar „Wspomnienia” .....	58
Teresa Pniewska „Przeżycia wojenne” .....	102
Anna Barbara Talaśka „Wspomnienia o wojnie” .....	112
Henryk Wychódzki „Ze wspomnień” .....	115
<b>Część druga – wywiady:</b>	
Halina Arceusz „O Wielkanocy i życiu młodych ludzi w czasie okupacji” .....	127
Barbara Brzosko „W remizie był Wehrmacht i więzienie” .....	132
Zofia Oprzałkowska „Lata wojenne i powojenne” .....	138
Stefan Wawrowski „W rocznicę wybuchu II wojny światowej” .....	160
Źródła wykorzystane w publikacji.....	171